ANTYKLERYKALIZM
Czas wielkiego przesilenia

WOŚ vs TRZASKOWSKI
Czego Platformę nauczył PiS

DYKTATURA MŁODYCH
Pokolenia, którym demokracja się nie opłaca

PIOTR UKLAŃSKI:
Polska wraca na przedmurza

Kraków 14 października 2018 nr 42 (3614) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Prymas Wojciech Polak

Kościół nikogo nie wyklucza

STRONY SPECJALNE:
MEDAL ŚW. JERZEGO 2018
EWA BŁASZCZYK
ABP WOJCIECH POLAK

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

MANTA

Polska firma rodzinna

REKLAMA

TELEWIZORY Z FABRYKI W POLSCE

KS. ADAM

Boniecki: *Antyklerykalizmy są różne*

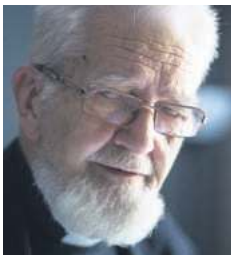

„Antyklerykalizm" (od anty i gr. klerikos, „mający władzę religijną") to – według słownika – „ideologia społeczno-polityczna i postawa życiowa wyrażająca się w niechętnym lub wrogim stosunku do udziału kleru w życiu społecznym i politycznym". Jego źródłem jest „sprzeciw wobec przejawów działalności duchowieństwa, a szerzej – instytucji wyznaniowych religijnych", zmierzających do wtrącania się w pozareligijne życie społeczeństwa, napominania lub ingerencji w sprawy dotyczące prawa.

Bp Tadeusz Pieronek w wywiadzie dla „Deonu" (11 stycznia) jest bardziej radykalny. Mówi, że „klerykalizm" jest czymś, co tworzyło się przez wieki, miało różne formy i znaczyło zawsze to samo: dominację duchowieństwa nad tymi, których mogli sobie podporządkować. I dodał: „jestem antyklerykałem, ponieważ klerykalizm jest złem, które wypacza misję kapłańską".

Antyklerykalizm antyklerykalizmowi nie jest równy. Ten z definicji encyklopedycznych, domagający się całkowitego oddzielenia Kościoła od państwa, będzie istniał tak długo, jak długo biskupi będą zgodnie z poglądem św. Augustyna uważali, że mają być psami i głośno szczekać, a nie bezczynnie siedzieć, kiedy coś niedobrego się dzieje, bo ich misją jest czuwanie nad zasadami. Zabieranie głosu w obronie życia, moralności chrześcijańskiej, ale też gdy – to cytat z biskupa Pieronka – „ktoś łamie konstytucję, która jest podstawą całego ustawodawstwa, to trzeba się odezwać. Jeśli ktoś narusza podstawowe prawa wolności, jak na przykład te dotyczące zgromadzeń, jeśli ktoś dzieli ludzi na dobry sort i gorszy sort, to to są rzeczy moralne, które prowadzą do zrelatywizowania prawdy". Biskupi głos w pozakościelnych sprawach zawsze kogoś będzie irytować, choć ten typ antyklerykalizmu jest chwiejny: zaostrza się, kiedy ingerencja Kościoła nie jest po naszej myśli, a zanika, kiedy jest.

Antyklerykalizm może mieć postać nienawistną wobec wszystkich wartości promowanych przez Kościół. Takim był antyklerykalizm kierujący się hasłami rewolucji francuskiej, w czasie której zginęło tysiące duchownych. Taki był antyklerykalizm sowiecki, który Tadeusz Żychiewicz nazwał „antyklerykalizmem inkwizycyjnym" i za przedstawiciela tegoż uważał Władysława Gomułkę, który atakował Kościół „bez względu na okoliczności, zawsze, wszędzie z furią, wrzaskiem i pianą na ustach".

Antyklerykalne emocje pobudziła liberalizacja życia społeczno-politycznego, która nastąpiła w wyniku upadku komunizmu w 1989 r. Było to reakcją na pojawienie się nieistniejących w Polsce od 1939 r. partii chrześcijańskich, domagających się wzmocnienia pozycji Kościoła katolickiego i wartości chrześcijańskich w życiu publicznym. Podniosły się wówczas alarmistyczne głosy, że w miejsce „dyktatury czerwonych" grozi nam „dyktatura czarnych". Obawy te były, moim zdaniem, mocno przesadzone, choć trudno zaprzeczyć, że mogły brać asumpt z niektórych niefortunnych wypowiedzi i poczynań ludzi Kościoła.

Istnieje także „antyklerykalizm polski". Antyklerykał polski do generalizujących, negatywnych sądów o „personelu Kościoła" zwykł dodawać zastrzeżenie, że „są wyjątki". Negatywne sądy i ogólna niechęć nie dotyczą zaprzyjaźnionego z nim czy z jego rodziną księdza Kazia, proboszcza X, znajomego biskupa Y, dominikanów itd.

Osobno należałoby opisać „antyklerykalizm" papieża Franciszka. W „Liście do Ludu Bożego" (18 sierpnia) o nadużyciach seksualnych w Kościele pisał o „niewłaściwym sposobie rozumienia władzy w Kościele – bardzo częstym w wielu wspólnotach, w których doszło do nadużyć seksualnych, nadużyć władzy i sumienia – jakim jest klerykalizm (...) Powiedzenie »nie« wobec nadużyć oznacza stanowcze odrzucenie wszelkich form klerykalizmu". W Santiago de Chile powiedział biskupom, że misja jest sprawą całego Kościoła, a nie tylko księdza czy biskupa. I dodał: „świeccy nie są naszymi parobkami ani naszymi pracownikami. Nie muszą powtarzać jak papugi tego, co mówimy".

Różne bywają antyklerykalizmy. Wśród nich jeden jest nawet papieski. ©℗

TP

Zapraszamy na spotkanie z ks. Adamem Bonieckim

Wrocław,
czwartek, 11.10, godz. 15.00
Spotkanie autorskie.
Miejsce: sala 208,
Instytut Filologii Angielskiej
Uniwersytetu Wrocławskiego
(ul. Kuźnicza 22).

Zapraszamy na VII Zjazd Klubów „Tygodnika Powszechnego"
podczas którego spotkają się czytelnicy naszego pisma z całego świata.

Jest to okazja do udziału w debatach, spotkaniach oraz warsztatach.
W tym roku udział w debatach wezmą: PROF. EWA ŁĘTOWSKA, PROF. ANDRZEJ ZOLL, DR RADOSŁAW PTASZYŃSKI, JUSTYNA DĄBROWSKA, ZUZANNA RADZIK, IGNACY DUDKIEWICZ, JAKUB WYGNAŃSKI. W programie zjazdu nie mogło zabraknąć również wspólnego czytania. MICHAŁ OKOŃSKI zaprasza na rozmowę o tekście „Racje polskie, racje żydowskie" Jerzego Turowicza. Więcej informacji o wydarzeniach znajdą Państwo na: www.klubtygodnika.pl/ZjazdKlubow oraz na stronie 34.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MEDAL ŚW. JERZEGO

37 A kogo to obchodzi
ANNA GOC
O EWIE BŁASZCZYK
Uświadamiając, czym jest śpiączka, zakładając fundację Akogo?, budując klinikę Budzik, zadbała o tych, dla których w systemie służby zdrowia nie było dotąd miejsca.

40 Kościół nikogo nie wyklucza
ROZMOWA Z ABP. WOJCIECHEM POLAKIEM, PRYMASEM POLSKI:
Mechanizmy kontrolujące, przewidziane w prawie, chronią mnie jako biskupa przed sobą samym. Przed moimi słabościami, przed pokusą uzurpacji niezgodnej z Ewangelią.

22 Nadchodzi dyktatura młodych
KLAUS BACHMANN
Młodzi będą w znikomym stopniu reprezentowani w instytucjach politycznych. Ale będą w maksymalnym stopniu płacić podatki, które trafią do starszych. Mogą wtedy odwrócić się od demokracji.

26 Nasz elektorat nie wybacza
ROZMOWA RAFAŁA WOSIA Z RAFAŁEM TRZASKOWSKIM
PiS w Europie równa się zero. Zero kontaktów, zero kompetencji w sprzedawaniu swoich racji, zero umiejętności budowania koalicji. Przez nich wróciliśmy do ligi państw nieprzewidywalnych.

64 Rzadko słońce, częściej deszcz
KORESPONDENCJA MARKA RABIJA Z BANGLADESZU
W czerwcu lało przez 18 dni, w lipcu przez 22. W sierpniu mokra ziemia zaczęła pod własnym ciężarem wyjeżdżać spod szałasów uchodźców. Tak żyje się dziś w obozach dla Rohingów.

86 Nowy utracony świat
BARTOSZ HLEBOWICZ:
Indianie przełamali nieufność i przyjęli białych pielgrzymów. Ci odpłacili im szacunkiem i wsparciem w konfliktach z innymi plemionami. Takie były zapomniane początki wspólnej, tragicznej historii.

MARCIN BONDAROWICZ x2 // BEATA ZAWRZEL / REPORTER // TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER // MAREK RABIJ DLA „TP" // CALIFORNIA STATE LIBRARY / DOMENA PUBLICZNA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Zakaźna choroba sejmowa
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Nadchodzi dyktatura młodych
KLAUS BACHMANN

26 Nasz elektorat nie wybacza
ROZMOWA Z RAFAŁEM TRZASKOWSKIM

30 Koniec świata pekaesów
BARTOSZ JÓZEFIAK: *Do co piątej polskiej wsi nie dojeżdża transport publiczny*

33 Legionista Pio
KALINA BŁAŻEJOWSKA: *Gdańskie Muzeum II WŚ poszerza grono postaci, które mają związek z polską niepodległością*

■ ■ WIARA

44 To nie jest herezja
JÓZEF MAJEWSKI: *Argumenty przeciw święceniom kapłańskim kobiet*

48 Odrzucić pancerz, zobaczyć świat
ROZMOWA Z KS. GRZEGORZEM STRZELCZYKIEM

51 Pod upadłym aniołem
SEBASTIAN SMOLIŃSKI: *Co sukces „Kleru" mówi nam o polskiej publiczności?*

■ ■ ŚWIAT

56 Nie chcę biernie patrzeć
MARTA ZDZIEBORSKA: *Wierni w Kalifornii domagają się śledztwa w sprawie pedofilii wśród księży jak w Pensylwanii*

59 Tonący brzydko się chwyta
JAN SMOLEŃSKI *o sporze wokół nominacji sędziego do Sądu Najwyższego USA*

ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Nigdy nie mów „wszyscy"
ARTUR SPORNIAK I MARCIN ŻYŁA

Przez Polskę przetacza się fala antyklerykalizmu. Jaki krajobraz po niej zostanie? Oto raport „Tygodnika".

16 Bez złotej korony
ROZMOWA Z PROF. BOGDANEM DE BARBARO, PSYCHIATRĄ I PSYCHOTERAPEUTĄ:

Narastający w Polsce antyklerykalizm wiąże się z klimatem politycznym i przyzwoleniem na agresję, a nawet wrogość społeczną.

■ FELIETONY ■

35 ANNA DZIEWIT-MELLER
54 SZYMON HOŁOWNIA
67 WOJCIECH BONOWICZ
96 PAWEŁ BRAVO **92** JAN KLATA
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: PRYMAS WOJCIECH POLAK
Fotografia: DAMIAN KRAMSKI
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

61 Doświadczenie graniczne
PATRYCJA BUKALSKA: *Słowacja: szczegóły morderstwa młodego dziennikarza*

62 Król Lew i znikające miliony
WOJCIECH JAGIELSKI: *George Weah w polityce nie czuje się jak kiedyś na boisku*

64 Rzadko słońce, częściej deszcz
MAREK RABIJ

■ ■ HISTORIA

68 Drugie powstanie krakowskie
PIOTR HAPANOWICZ: *Jako pierwsze duże miasto, sto lat temu Kraków zrzucił obce rządy*

■ ■ NAUKA

72 Najnowsi Nobliści BARTOSZ KABAŁA, MARCIN BÓJKO I MIROSŁAW DWORNICZAK

■ ■ KULTURA

76 Polonus ROZMOWA Z PIOTREM UKLAŃSKIM, ARTYSTĄ WIZUALNYM: *Polska wraca na przedmurza*

81 Fotografia ojczysta w 2018 roku
PIOTR KOSIEWSKI

82 Buty Kieślowskiego
ANITA PIOTROWSKA: *Jego agnostyczne „nie wiem" brzmiało niczym najgłębsza mądrość*

85 Usłyszmy się ANITA PIOTROWSKA *o polskim dokumencie artystycznym*

86 Nowy utracony świat
BARTOSZ HLEBOWICZ

88 Wiersze pierwsze
MONIKA OCHĘDOWSKA: *Literatura dziecięca zdominowała polski rynek książki*

89 Warto zobaczyć w TV

92 Hillary jako Medea LEKTOR *o książce „Kobiety i władza. Manifest"*

■ ■ ZMYSŁY

94 Kulik i wyimaginowana wspólnota
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

Międzynarodowy marsz przeciwników obowiązkowych szczepień, Warszawa, czerwiec 2018 r.

ZAKAŹNA CHOROBA SEJMOWA

Skierowanie projektu antyszczepionkowego do dalszych prac to nie triumf obywateli. To klęska lekarzy, naukowców i Ministerstwa Zdrowia.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Formalnie ubiegłotygodniowa decyzja Sejmu nie musi oznaczać nic. Obywatelski projekt zakładający zniesienie obowiązku szczepień może zostać zmieniony na dalszych etapach prac, odrzucony przez Sejm albo – jak to bywało w podobnych sytuacjach wielokrotnie – dopełnić żywota w parlamentarnej zamrażarce. Ruch sejmowej większości (głównie posłów PiS, Kukiz'15 i części klubu PSL-UED) można by czytać tak: szanujemy lęki i obawy części społeczeństwa, chylimy czoło przed 120 tysiącami obywateli, którym chciało się zabrać głos w ważnej sprawie. Można by to tak interpretować, gdyby nie fakt, że PiS-owi zdarzało się już zlekceważyć obywatelskie projekty podpisane przez wielokrotnie liczniejsze grupy (patrz: poparty przez prawie milion Polaków pomysł przeprowadzenia edukacyjnego referendum).

Ale decyzja Sejmu ma znacznie ważniejszy niż ten formalny wymiar: to usankcjonowanie dość powszechnego przekonania, że dyskusja „antyszczepionkowców" ze zwolennikami obowiązkowej ochrony dzieci jest sporem

równoprawnych stanowisk. Zwłaszcza że z sejmowej mównicy padały argumenty odnoszące się nie tylko do szacunku dla obywatelskiej aktywności, ale też do meritum, a głos zabierali również posłowie z wykształceniem medycznym (prezentujący stanowisko klubu PiS Krzysztof Ostrowski, lekarz, odwoływał się do społecznych obaw o... bezpieczeństwo szczepionych dzieci).

„Spór antyszczepionkowców ze zwolennikami szczepień jest dyskusją równoprawnych racji tak samo, jak w przypadku dyskusji astronomów ze zwolennikami tezy, że Ziemia jest płaska" – mówił niedawno w wywiadzie dla „Tygodnika" pediatra i były kandydat na rzecznika praw dziecka Paweł Kukiz-Szczuciński, rozbrajając niektóre „antyszczepionkowe" mity (jak ten o związku z autyzmem), ale też tłumacząc, że choć niepożądane odczyny poszczepienne faktycznie występują, to ich ryzyko jest wielokrotnie mniejsze niż ryzyko związane z odstąpieniem od szczepienia. Szczuciński przyznał również jednak: jednym z powodów popularności idei „antyszczepionkowych" jest kryzys zaufania do środowiska lekarskiego. „Może nawet ja sam jestem za to jakoś współodpowiedzialny – dodawał. – Bo jeśli nie poświęcam pacjentowi wystarczająco dużo energii, empatii, nie mam czasu, by mu pewne rzeczy spokojnie wyjaśnić, to być może w konsekwencji nabiera on po wyjściu z gabinetu wątpliwości".

Tak, ubiegłotygodniowa decyzja Sejmu to nie triumf obywateli, ale symboliczne potwierdzenie klęski naukowców, lekarzy i urzędników Ministerstwa Zdrowia; konsekwencja nie tylko braku czasu dla pacjenta, ale też stylu komunikatów: ograniczających się zwykle do straszenia przed – realnymi skądinąd – społecznymi konsekwencjami rezygnacji ze szczepień, a w najlepszym razie piętnujących rozpowszechnianie medycznych mitów. Zróbmy zresztą eksperyment: kto z państwa zapamiętał jakiś telewizyjny spot tłumaczący ludzkim językiem, przed czym chronią nas szczepienia? Komunikat wykładający szczegółowo, czym jest niepożądany odczyn poszczepienny? Jakie są jego objawy i z czego wynikają?

Jeśli nic się w najbliższym czasie nie zmieni, popularność antyszczepionkowych idei będzie tylko rosła. Choćby dlatego, że nie czujemy się chorobami zakaźnymi zagrożeni (a nie jesteśmy nimi zagrożeni, bo – jak zauważał w „Tygodniku" Kukiz-Szczuciński – mamy szczepionki...). Jest też inny pewnik: tej popularności nie zawahają się w odpowiednim momencie skonsumować politycy, grając coraz śmielej na „antyszczepionkowej" nucie. I wpadając np. za kilka miesięcy na pomysł, by głosowany w ubiegłym tygodniu jako obywatelski projekt uczynić obowiązującym w Polsce prawem. ©℗

W SKRÓCIE

MANIPULACJA. Sejm znów nie wybrał rzecznika praw dziecka. Agnieszkę Dudzińską – niezłą, zdaniem ekspertów, kandydatkę zgłoszoną przez PiS – pogrążyła manipulacja jedną z jej wypowiedzi telewizyjnych na temat eutanazji, dokonana przez posłankę opozycji i wpływająca na zmianę stanowiska parlamentarnej większości.

SEKSIZM. Reprezentujący dotąd Platformę Obywatelską prezydent Legionowa Robert Smogorzewski, który prezentując kandydatki swojego komitetu do rady miasta używał określeń „trochę za ładna", „napalona", „pani od seksu", po nagłośnieniu tej prezentacji przez media zrezygnował z członkostwa w partii. Czy z prezydenta zrezygnują wyborcy, na razie nie wiadomo.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

MĘSKOŚĆ. Może wyborcy uznają, że ciężko pracuje? „Bardzo ciężko dla Polski pracuje, a to, że kiedyś mu zdarzało się coś powiedzieć, a nawet użyć słowa tzw. męskiego, mówię o mężczyznach, niech ktoś pierwszy rzuci kamieniem" – powiedział wszak Jarosław Kaczyński o Mateuszu Morawieckim.

MOCARZE. Słów w ogóle jest coraz mniej. Po lekturze zamieszczonego przez „Do Rzeczy" „mocnego" (tak zapowiedziano na okładce) wywiadu z Mateuszem Morawieckim zauważyliśmy, że tygodnik ten, podobnie jak konkurujący z nim tytuł „Sieci", wydrukowały w ostatnich numerach „mocne" rozmowy z Julią Przyłębską, Jonnym Danielsem i Zbigniewem Ziobrą oraz zamieściły „mocny" tekst Łukasza Warzechy i „mocną" deklarację Jarosława Gowina. Ponieważ zdarzyły się także rozmowy „szczere", nie możemy się doczekać na tekst, wywiad lub deklarację „ciekawą".

Otrzymali imię i grób

IPN

NAZWISKA 21 ŻOŁNIERZY wojennego i powojennego podziemia, których szczątki udało się odnaleźć w różnych miejscach Polski oraz zidentyfikować, ogłosił w minionym tygodniu IPN.

„Ojca nie znam. Miałam sześć tygodni, jak został aresztowany. Podczas rewizji wszystkie jego zdjęcia zostały zabrane i [nawet] tej fotografii nie widziałam nigdy w życiu" – mówiła Maria Leśnikowska-Pietrasik, córka porucznika AK Tadeusza Leśnikowskiego, na uroczystości w Pałacu Prezydenckim, gdzie rodziny (te, do których udało się dotrzeć) otrzymały tzw. noty identyfikacyjne. Jej ojciec (na zdjęciu), rocznik 1916, walczył w kampanii 1939 r. i potem w AK. Aresztowany w 1949 r. pod fałszywym zarzutem szpiegostwa i skazany na śmierć, został zabity w 1950 r. w więzieniu mokotowskim. Szczątki znaleziono podczas ekshumacji na Łączce na Powązkach. Córka wspominała, że wcześniej jej matka latami szukała na własną rękę grobu męża.

Dziś wiadomo, że takich miejsc jak Łączka są setki. W tym roku Biuro Poszukiwań i Identyfikacji (struktura powstała kilka lat temu w IPN) pracowało w kilkudziesięciu miejscach w Polsce i na Litwie. Szukano też nadal na Łączce i dziedzińcu więzienia na ul. Rakowieckiej – szef Biura prof. Krzysztof Szwagrzyk wierzy, że w jednym z tych miejsc spoczywa legendarny rotmistrz Witold Pilecki. ©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Wiejska samoorganizacja

KOŁA GOSPODYŃ WIEJSKICH, jedna z najstarszych form społecznej samoorganizacji, doczekały się ustawy, która reguluje ich status i zasady tworzenia. Koło może założyć dziesięć osób; na terenie wsi może działać jedno koło i mogą do niego należeć tylko mieszkańcy tej konkretnej wsi. Koła otrzymały też długo wyczekiwaną osobowość prawną: będą mogły korzystać z dotacji unijnych i z budżetu państwa.

Posłowie opozycji sądzą, że przyczyną, dla której tę tak korzystną dla wsi ustawę przyjęto tak szybko (nie odbyły się konsultacje społeczne, choć upominało się o to kilka organizacji, a głosowano ją nocą), są nadchodzące wybory samorządowe.

W Polsce jest 25 tys. kół gospodyń wiejskich, a działa w nich milion osób. ©℗ EB

Co słychać na taśmach

PAWEŁ BRAVO

Ujawnione ostatnio kolejne nagrania z restauracji Sowa i Przyjaciele, jeśli kogoś powinny szczerze oburzyć, to klientów banku, którym do 2015 r. kierował obecny premier. Warto, by się dowiedzieli, ile jeszcze z zysków, jakie zapewniali bankowi, płacąc słone prowizje i opłaty, poszło na zapomogi dla kumpli i znajomych prezesa. Oraz ile jeszcze fikcyjnych „badań” mimowolnie finansowali.

Jedyny potencjalnie wybuchowy ślad to domniemane istnienie drugiej taśmy, dowodzącej, iż Mateusz Morawiecki mógł uczestniczyć w nielegalnych operacjach z nieruchomościami. To zarzut oparty na mglistych zeznaniach oskarżonych, których wiarygodność z definicji należy traktować sceptycznie. Jeśli zaczyna się z tego powodu mówić o aferze, świadczy to, że kelnerzy z Sowy dostarczyli nam czegoś więcej niż obrazu komitywy wyższych szarż biznesu i polityki, załatwiających interesy ponad partyjnymi podziałami (ciekawe, czy przy obecnej polaryzacji coś z niej przetrwało?). Sprawa taśm ukazuje bowiem głębię paranoi, która każe nam się ekscytować hakami, zamiast szukać jawnych powodów, by uważać Morawieckiego za niewłaściwą osobę na stanowisku premiera. ©℗

Milion prawomocny

TOWARZYSTWO CHRYSTUSOWE złoży skargę kasacyjną w Sądzie Najwyższym na zasądzenie od zakonu precedensowego odszkodowania dla ofiary pedofila, byłego chrystusowca Romana B. Poznański Sąd Apelacyjny podtrzymał przyznanie powódce miliona złotych zadośćuczynienia, 16 tys. zł tytułem comiesięcznej renty za okres od maja 2016 r. do grudnia 2017 r. oraz 800 zł miesięcznej renty, płatnej od stycznia 2018 r. Wyrok jest precedensowy nie tylko ze względu na wielkość odszkodowania, ale też na obciążenie nim zakonu, a nie sprawcy. ©℗ ASK

BISKUP DO SKRZYWDZONYCH

Bp Andrzej Czaja wystosował list do wiernych, w którym ujawnił dane na temat pedofilii w diecezji opolskiej. Informuje o dziesięciu księżach oskarżonych o wykorzystanie seksualne osoby małoletniej (sześć spraw zakończono, trzy trwają, jeden z księży został uniewinniony). „Zostało skrzywdzonych i na całe życie okaleczonych co najmniej dziewięć osób” – pisze bp Czaja i obiecuje pełne wsparcie dla ofiar („Mam na myśli fachową pomoc psychologiczną i duchową oraz prawną”). W liście znalazła się też prośba o wybaczenie. „Przepraszamy Was i prosimy o wybaczenie nam ciężkich grzechów naszych!” – napisał biskup opolski, a także wezwał diecezjan: „Straszny los ofiar wykorzystania seksualnego znany jest najczęściej jedynie najbliższym. Dlatego kieruję do Was gorący apel, byście nie przemilczali znanych Wam przypadków molestowania seksualnego małoletnich”. Wcześniej dane na temat pedofilii ujawnili biskup płocki Piotr Libera i biskup polowy Józef Guzdek. Uczynili to jednak podczas konferencji prasowych. ©℗ ASK

MARCIN SMULCZYŃSKI / EAST NEWS

ZMARŁ TWÓRCA „INTEGRACJI”

Trudno o odejście bardziej nieoczekiwane. Tydzień temu opublikowaliśmy rozmowę z nim. Wywiadu udzielił nam przed kilkunastoma dniami, autoryzował ją nieco ponad tydzień temu („Nie mam uwag. Pozdrawiam serdecznie i dziękuję bardzo” – pisał). Trzy dni później stracił przytomność. Nie odzyskał jej już do końca.
Piotr Pawłowski – sam częściowo sparaliżowany, po nieszczęśliwym skoku w młodości – zrobił więcej niż ktokolwiek inny dla likwidowania barier ludzi niepełnosprawnych: stworzył Fundację „Integracja” i mający 300 tys. użytkowników portal niepełnosprawni.pl. Miał 52 lata. ©℗ PW

Więcej: tygodnikpowszechny.pl

ALESSANDRO BIANCHI / REUTERS / FORUM

Rozeznanie w synodzie

KOŃCZY SIĘ PIERWSZY TYDZIEŃ SYNODU poświęconego młodzieży. Początkowe sesje biskupi i kardynałowie przeznaczyli na „rozeznanie” – mówili o problemach młodych ludzi w ich krajach, tworzyli listę najważniejszych spraw. Na wiele z nich wskazała sama młodzież, wypełniając *online* przedsynodalne ankiety (przyszło ich ponad 100 tys.). Niektóre wyglądają raczej na „problemy młodych według biskupów”. Pojawiały się tematy różnego rodzaju i rangi: skrajna bieda, wyrzucenie na margines społeczny, brak perspektyw na lepsze życie, emigracja wymuszona sytuacją polityczną lub ekonomiczną, wykorzystywanie przez grupy przestępcze, kwestia zachowania czystości przedmałżeńskiej, utrata wiary, odejście z Kościoła.

Wystąpienia biskupów pozwoliły też „rozeznać” sytuację w ich gronie. Jedni uznali za właściwe uderzyć się w piersi i przeprosić za zło, jakiego młodzież doświadczyła od Kościoła tracącego w jej oczach wiarygodność (abp Fisher z Sydney). W ujawnianiu przestępstw i afer seksualnych księży widzą „wyznanie grzechów” – pierwszy, niezbędny krok do przemiany Kościoła (bp Gobilliard z Lyonu). Inni skoncentrowali się na obronie *status quo* – bp Chaput z Filadelfii zażądał wykreślenia z dokumentów Synodu określenia „młodzi LGBT”, jako niezgodnego z katolicką wizją człowieka. Zarysowały się pierwsze linie sporu i różnice zdań.

„Nie będzie tematów tabu” – zapewniał kard. Baldisseri, ale na wszelki wypadek biuro prasowe nie relacjonuje wszystkich wystąpień na Synodzie, tłumacząc się troską „o zapewnienie maksymalnej wolności wypowiedzi uczestników”, a oficjalne informacje ograniczają się do streszczenia obrad przez zaproszonych na konferencję prasową gości oraz publikacji listy dyskutantów.

Obrady potrwają do 27 października. Bierze w nich udział 267 biskupów i kardynałów, a także 23 zaproszonych ekspertów i 49 audytorów (obie grupy bez prawa głosu). Wśród tych ostatnich jest 36 osób w wieku 18–29 lat. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Tekst oddano do druku w poniedziałek 8 października o godz. 14.00.

Zmarł Anba Biszoj, jeden z najważniejszych biskupów koptyjskich

METROPOLITA DAMIETTY MIAŁ 76 LAT. Urodził się w 1942 r. jako Makram Eskander Nicola. Skończył studia inżynieryjne, ale mimo że dostał posadę wykładowcy uniwersyteckiego, postanowił przyjąć mniszy habit. Odrzucił propozycję zagranicznego doktoratu, a także możliwość zostania żonatym duchownym i w 1969 r. wstąpił do klasztoru Deir Al-Sourian. Już rok później – wbrew swojej woli – przyjął święcenia kapłańskie, a w 1972 r. koptyjski papież Szenuda III, znowu przy sprzeciwie mnicha, wyświęcił go na biskupa Damietty. Odtąd był znany jako Anba Biszoj (na pamiątkę jednego ze starożytnych ojców pustyni).

YOUTUBE

W 1990 r. Szenuda wyniósł go do rangi metropolity; odtąd Anba Biszoj stał się jedną z najznaczniejszych postaci Koptyjskiego Kościoła Ortodoksyjnego.

Koptowie żyją głównie w Egipcie, jest ich ok. 7–10 mln. Korzeni swojej wspólnoty upatrują w działalności św. Marka. Po 451 r. nie przyjęli dogmatu chalcedońskiego o dwóch naturach (boskiej i ludzkiej) Chrystusa i odłączyli się od innych wspólnot chrześcijańskich. Anba Biszoj zasłynął zaangażowaniem w ruch ekumeniczny. Działał w Światowej Radzie Kościołów: był m.in. członkiem jej Komitetu Naczelnego i najistotniejszej z Komisji – Wiara i Ustrój. Sekretarz generalny ŚRK, pastor luterański Olav Fykse Tveit z Norwegii, wspominając Anbę Biszoja, docenił jego oddanie sprawie „jedności i wspólnego świadectwa".

©℗ MACIEJ MÜLLER

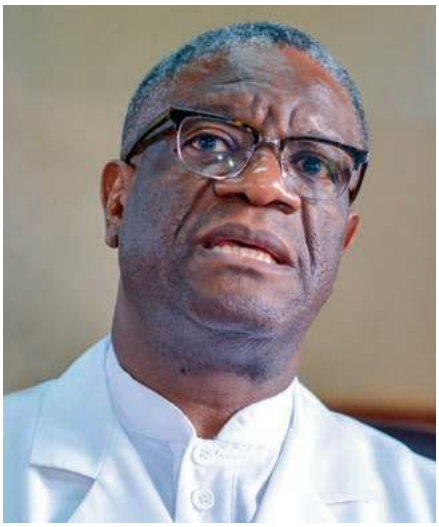

ALAIN WANDIMOYI / AFP / EAST NEWS

FRANCOIS LENOIR / REUTERS / FORUM

Pokojowy Nobel: przeciw gwałtom wojennym

KIEDY W 1999 R. DENIS MUKWEGE, ginekolog i działacz społeczny, ufundował w kongijskim Bukavu szpital, myślał, że posłuży on pacjentkom z powikłaniami ciąży. Ale w regionie już od roku trwały walki – i zgłaszały się do niego głównie ofiary gwałtów popełnianych przez żołnierzy i rebeliantów. Lekarz pomógł ok. 20 tysiącom z nich. Kilkanaście lat później do pewnej wsi w Iraku wkroczyły oddziały tzw. Państwa Islamskiego i 21-letnią jazydkę Nadię Murad sprzedano jako niewolnicę seksualną. Historia jej niewoli i ucieczki, choć publicznie powtarza ją z bólem, uświadomiła milionom ludzi, czym jest gwałt wojenny. Teraz oboje zostali laureatami Pokojowej Nagrody Nobla.

Liczba gwałtów popełnianych podczas wojen przez uzbrojonych mężczyzn to jedna z nielicznych kategorii danych, których ONZ nie podejmuje się szacować. Jest ich tak dużo, że bywają – jak w Kongu, gdzie konflikt trwa w 10 z 26 prowincji – elementem wojskowej strategii. Okrucieństw tych zbrodni, dokonywanych wedle świadectw Mukwegego nawet na 18-miesięcznych dzieciach, z użyciem narzędzi, podczas narkotycznych orgii, na przemian z zabijaniem – na Zachodzie nie pojęliśmy jeszcze w pełni. Doświadczenie Murad dodaje do tego obrazu traumę zgwałconych kobiet, które ukojenia nie znajdują nawet po nastaniu pokoju; wykluczanych z lokalnych wspólnot razem z niechcianymi dziećmi lub do końca życia traktowanych jako obiekty seksualne. Tegoroczny Nobel to, na szczęście, najmniej polityczne wyróżnienie od lat – i jedno z najbardziej doniosłych.

©℗ ŻYM

Czytaj także:
Wojciech Jagielski o Denisie Mukwege
na powszech.net/mukwege

Renovabis dla Europy

ĆWIERĆWIECZE ISTNIENIA obchodziła w minionym tygodniu niemiecka fundacja katolicka Renovabis. Powołana przez niemiecki Episkopat w 1993 r., otrzymała szczególne zadanie: wspierać – w duchu chrześcijańskiej solidarności, realizowanej w praktyce – odbudowę struktur w Kościołach chrześcijańskich i szeroko pojętej kościelnej „otulinie" w krajach dawnego bloku wschodniego. Nie tylko w sferze duszpasterskiej, ale też charytatywnej, edukacyjnej, medialnej i społecznej (np. usuwanie skutków wojen na Bałkanach). Jej łacińska nazwa nawiązuje do wersetu z psalmu 104: „I odnawiasz oblicze ziemi".

Finansowana przez niemieckie diecezje i prywatnych darczyńców, początkowo fundacja koncentrowała się na Europie Środkowej – w chwilach kryzysu, jakich doświadczał zwłaszcza w latach 90., również „Tygodnik Powszechny" mógł liczyć na wsparcie Renovabis. Dziś fundacja koncentruje się na regionach, gdzie pomoc jest bardziej potrzebna – jak Ukraina, Białoruś czy Azja Środkowa.

Do dziś Renovabis wsparła łącznie 23 tys. projektów, wydając na to 715 mln euro.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Londyn–Bruksela: napięcie rośnie

PATRYCJA BUKALSKA

Negocjacje dotyczące brexitu wchodzą w decydującą fazę: w najbliższym czasie okaże się, czy możliwe jest porozumienie. Już wkrótce, 17 i 18 października, na unijnym szczycie powinny zostać przedstawione warunki porozumienia w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii, co dokona się – niezależnie od stanu negocjacji – wiosną 2019 r. Choć porozumienia wciąż nie ma i coraz częściej dopuszcza się możliwość twardego brexitu, z Unii płyną sygnały, iż ugoda jest nadal możliwa i może uda się ją osiągnąć do końca listopada lub, najpóźniej, do końca roku.

Sytuacji nie ułatwia słaba pozycja premier Theresy May w jej Partii Konserwatywnej, a także w rządzie i parlamencie. Jej plan jest krytykowany nawet przez część partyjnych kolegów – niektórzy otwarcie deklarują, że go nie poprą. Dodatkowo pole manewru May ogranicza fakt, że jej rząd jest zależny od poparcia irlandzkiej partii unionistów DUP. Tymczasem kwestia Irlandii Północnej – która miałaby wyjść ze wspólnego rynku i unii celnej wraz z resztą Wielkiej Brytanii, ale zarazem nie mieć twardej granicy z Republiką Irlandii – nadal nie została rozwiązana w negocjacjach.

Jakby tego było mało, do dyskusji włącza się Szkocja (gdzie w referendum brexitowym większość opowiedziała się za pozostaniem w Unii): domaga się prawa do skorzystania ze specjalnych propozycji dla Irlandii Północnej, jeśli zostaną one wypracowane. W Szkocji coraz głośniej dają o sobie też znać zwolennicy niepodległości: w minioną sobotę ulicami Edynburga przeszedł ich kolejny marsz, jak dotąd największy – pod błękitną szkocką flagą szło kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Tymczasem na niedawnej konwencji konserwatystów w Birmingham premier May starała się emanować optymizmem. Zapowiadała: „Nie zdradzimy wyniku referendum i nie dopuścimy do rozerwania naszego kraju”.

©℗

W SKRÓCIE

NISZCZARKA. Wylicytowany w domu aukcyjnym Sotheby’s na 1,2 mln euro obraz Banksy’ego uległ samozniszczeniu po tym, gdy wybrzmiał pieczętujący jego zakup dźwięk galeryjnego młotka. „Dziewczyna z balonem” wyfrunęła na oczach świata przez zamontowaną w ramie obrazu niszczarkę do papieru, ustanawiając swoisty precedens w świecie kolekcjonerów. Niszczarkę zamontował sam artysta.

SOTHEBY'S / BEEM / EAST NEWS

CZARTORYSCY. Aktualna wartość Banksy’ego jest dziś równie dyskusyjna jak to, czy wytransferowanie z Polski do Lichtensteinu przez Fundację Czartoryskich 90 mln euro – ze sprzedaży w 2016 r. Skarbowi Państwa zbiorów fundacji, w tym „Damy z łasiczką” – było zgodne z prawem i statutem fundacji. Na wniosek ministerstwa kultury sprawę ma badać prokuratura.

SUKIENNICE. Mniejszymi kwotami operowano na licytacji kramów w krakowskich Sukiennicach. Chętnych do handlowania tam rękodziełem było pół setki. Nowa najemczyni zwolnionego przez Cepelię miejsca zapłaci za wynajem 40 tys. zł miesięcznie. Poprzednia licytacja ofert najmu kramu odbyła się w 1994 r.

TYTUS. Ukazała się nowa księga przygód Tytusa, Romka i A’Tomka, poświęcona 100-leciu odzyskania niepodległości. 95-letni autor Henryk Jerzy Chmielewski, znany jako „Papcio Chmiel” obiecuje, że to nie ostatni tom popularnej serii.

JUBILEUSZ. Trochę młodsza od „Papcia Chmiela” jest łódzka Szkoła Filmowa, która zainaugurowała jubileuszowy 70. rok akademicki.

Wielki cyberatak z Chin?

NOWA CUDOWNA BROŃ Chińczyków mieści się na czubku zastruganego ołówka: to chip, który miał być umieszczany potajemnie na produkowanych w Chinach płytach głównych, przeznaczonych do serwerów najważniejszych firm i instytucji świata. Tak wynika z ustaleń dziennikarskiego śledztwa „Bloomberg Businessweek”. Dziennikarze twierdzą, że chińscy rządowi hakerzy mogli zdobyć w ten sposób dostęp do serwerów firm Apple i Amazon, a nawet CIA. Zainstalowany w fabrykach chip otwierał hakerom tzw. tylne drzwi. Przez podejrzane serwery przechodziły m.in. dane z dronów i wideokonferencje amerykańskich kongresmenów.

Apple, Amazon i firma Supermicro (producent płyt) zaprzeczają, a część specjalistów wątpi w podane przez media szczegóły operacji. Analitycy zwracają uwagę, że publikacja zbiega się w czasie z próbami przekonania przez Biały Dom opinii publicznej, że to nie Rosjanie, lecz Chińczycy stanowią największe cyberzagrożenie. Dziennikarze podtrzymują swoją wersję.

Jak dotąd nikt nie został przyłapany na tak wielkiej operacji manipulowania fizycznym osprzętem. Były agent Edward Snowden twierdził, że CIA i NSA przechwytywały czasem komputery przeznaczone dla interesujących ich odbiorców i wprowadzały do nich modyfikacje. Ale zrobienie z tego procederu masowego, i to już na etapie produkcji, byłoby dla branży szokiem. Z Chin pochodzi dziś 90 proc. wszystkich komputerów PC i 75 proc. telefonów komórkowych.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Szachy: nasi zagrali na medal

CHESS24

ALE GO NIE DOSTANĄ. Reprezentanci Polski zajęli czwarte miejsce w Olimpiadzie Szachowej rozgrywanej w gruzińskim Batumi. Po dziewięciu rundach Polacy prowadzili w tabeli, ale na koniec przegrali z Chińczykami, którzy wywalczyli złoto (to nasza jedyna porażka w zawodach) i zremisowali z Indiami. Nad nami w klasyfikacji znalazły się jeszcze USA i Rosja, których w bezpośrednich meczach pokonaliśmy.

Kacper Piorun i Jacek Tomczak nie przegrali żadnej swojej partii, Radosław Wojtaszek i Kamil Dragun – po jednej. Lider naszej drużyny, zaledwie 20-letni Jan Krzysztof Duda (na zdjęciu z lewej) przegrał trzy razy, ale to on musiał mierzyć się z najlepszymi zawodnikami rywali. Z trzema szachistami z najwyżej notowanej piątki na świecie – Amerykaninem Fabiano Caruaną, Azerem Shakhriyarem Mamedyarovem i Ormianinem Levonem Aronianem – Duda zremisował.

©℗ ŁK

ASIAWIRE / EAST NEWS

Ostatnie zdjęcia w życiu

AMERYKAŃSKI „JOURNAL OF FAMILY MEDICINE AND PRIMARY CARE" opublikował wyniki pierwszych takich badań: aż 256 osób zginęło w latach 2011-16 podczas robienia *selfie*. Większość ofiar stanowią mężczyźni, najczęstszy rodzaj śmierci to utonięcia, wypadki drogowe i upadki z wysokości. Naukowcy postulują tworzenie w miejscach niebezpiecznych „stref bez *selfie*", ale problem jest szerszy, bo wpatrzeni w smartfony ludzie bywają niebezpieczni nie tylko dla siebie. W Chinach miasta malują już specjalne pasy na chodnikach, aby oddzielić takich „zombie" od ludzi pamiętających o otoczeniu (na zdjęciu). Napisy na pasach głoszą: „Nie patrz w dół przez resztę swojego życia" – a złośliwi wątpią, czy będąc pochłoniętym swoim urządzeniem, można w ogóle takie pasy zauważyć. Niemiecki Augsburg montuje tymczasem sygnalizację świetlną w chodnikach, aby zapobiec wchodzeniu na czerwone przez piszących SMS-y. Światowa Organizacja Zdrowia zaczęła badać tzw. *distracted walking* (chodzenie w roztargnieniu) jako problem zdrowotny. ©℗ ŻYM

Nagroda Nike dla Marcina Wichy

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Tegoroczny finał Nagrody Nike był mocny, choć nietypowy. Żadnej powieści, wiersze Ewy Lipskiej, Wojciecha Bonowicza i Jerzego Kronholda, małe prozy Mikołaja Grynberga i Pawła Sołtysa, biografia Ireny Sendlerowej autorstwa Anny Bikont. Jurorzy (i czytelnicy „Wyborczej") wybrali książkę Marcina Wichy „Rzeczy, których nie wyrzuciłem". Urodzony w 1972 r. grafik, projektant, rysownik, autor eseju „Jak przestałem kochać design" i książek dla dzieci podjął się zadania karkołomnego: napisał elegię na śmierć matki, motywem przewodnim czyniąc pozostawione przez nią rzeczy. Dotknął emocji najboleśniejszych i najbardziej uniwersalnych, nigdy nie przekraczając granicy ekshibicjonizmu. W nakreślonych oszczędnym językiem obrazkach zmieścił mnóstwo: świadectwo żałoby, portret zmarłej, opis relacji matka–syn, żydowskie historie rodzinne, szkic do życia codziennego inteligentów w PRL-u. Forma najzwięźlejsza okazała się najbardziej pojemna. Wicha „pisze o czułości, której na co dzień się wstydzimy, i robi to w taki sposób, że wstydzić się nie ma za co" – powiedział w laudacji Marek Zaleski. To książka, która po lekturze zostaje z nami na zawsze. ©

Państwo wobec kultury

RZĄD PRZYJĄŁ PROJEKT nowelizacji ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej. Najwięcej zmian dotyczy konkursów na dyrektorów instytucji kultury. Nowe przepisy rozdzielają obowiązki komisji konkursowej i organizatora wobec kandydatów i doprecyzowują obecny tryb prowadzenia konkursów. Projekt dopuszcza sytuację, gdy konkurs pozostanie nierozstrzygnięty, jeśli żaden kandydat nie spełni wymagań. Przepisy zobowiązują też do upublicznienia programu nowego dyrektora instytucji w ciągu siedmiu dni od powołania go na stanowisko. Doprecyzowano też kwestie dotyczące udzielania dotacji na zadania objęte mecenatem państwa, umożliwiając finansowanie opieki nad dziedzictwem narodowym poza granicami kraju.

Zmiany dotyczą również zasad przekształcania instytutów badawczych. Instytut Śląski w Opolu i Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie mają uzyskać status państwowych instytucji kultury, gwarantujący im finansowanie. ©℗ MOC

Ołeh Sencow kończy głodówkę

UKRAIŃSKI REŻYSER, który w rosyjskiej kolonii karnej odbywa wyrok 20 lat więzienia – został skazany w 2015 r. za „terroryzm" (w istocie: za sprzeciw wobec aneksji Krymu) – napisał w odręcznym liście przekazanym przez adwokata, że zaprzestaje trwającej od maja głodówki, gdyż władze więzienne zagroziły, że będą go przymusowo karmić. Głodując, Sencow przyjmował tylko płyny; ostatnio jego stan bardzo się pogorszył. Reżyser głodował, żądając wolności nie tylko dla siebie, ale też dla prawie 90 obywateli Ukrainy, którzy przebywają dziś w rosyjskich więzieniach (część z nich to tatarscy i ukraińscy aktywiści z Krymu). ©℗ WP

Napis w przejściu podziemnym – pojawił się niedługo po wprowadzeniu lekcji religii do szkół. Warszawa, 1992 r.

NIGDY NIE MÓW „WSZYSCY”

Przez Polskę przetacza się fala antyklerykalizmu. Jaki krajobraz po niej zostanie? Oto raport „Tygodnika”.

ARTUR SPORNIAK, MARCIN ŻYŁA

MAREK SZYMAŃSKI / FORUM

Kraków, rok 1456. Pod bramą Floriańską kat ścina braci Gnojnickich – dwóch duchownych o mizernej w mieście opinii, którzy ukradli pokaźną kwotę. To ewenement. W średniowiecznym *christianitas* księża i mnisi podlegają sądom kościelnym i zakonnym. Rada miejska wie jednak, że oddanie sprawy biskupowi skończyłoby się łagodną karą kanoniczną. Świeccy sprawnie przeprowadzają więc proces i wykonują wyrok, po czym proszą Stolicę Apostolską o dyspensę. Oburzony biskup nakłada na Kraków interdykt (zakaz sprawowania obrzędów), na radnych – ekskomunikę. Boi się precedensu.

Warszawa, rok 2018. Pod hasłem „Ręce precz od dzieci", w marszu-proteście przeciw tuszowaniu przestępstw pedofilii, ulicami przechodzi kilka tysięcy ludzi. Wykrzykują hasła: „Kościół kryje pedofilów", „Mamy dość podłości kleru", „Płochliwe koloratki, traficie za kratki". Zatrzymują się pod świątyniami, odczytują nazwiska skazanych księży, przekazują sobie „mapę pedofilii w polskim Kościele", na której zaznaczono miejsca popełnienia przestępstw. Manifestacje odbywają się też w kilku innych miastach.

Napięcie rośnie

Choć działy się w tak różnych epokach i dotyczyły odmiennych, nieporównywalnych ze sobą zjawisk, to właśnie między tymi dwoma wydarzeniami rozciąga się panorama polskiego antyklerykalizmu – pojęcia tak szerokiego, że podpadają pod nie zarówno apele o karanie „przestępców w sutannach", jak i prześladowanie księży przez komunistów. Są antyklerykałowie nienawidzący kleru. Są tacy, którzy kochają Kościół, gorszą ich jednak jego doktrynerstwo, przywileje oraz wpływ na sprawy społeczne i politykę. Jest wśród nich wielu księży. Przy pomocy antyklerykalizmu można też opisywać zbiorową tożsamość, silnie w Polsce związaną z Kościołem i katolicyzmem, a jednocześnie gotową dziś do coraz głośniejszego sprzeciwu wobec chciwości, nieczystości i nadużyć władzy duchowieństwa – tych prawdziwych i tych domniemanych.

Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny „Więzi": – Mniej więcej trzy miesiące temu na naszym facebookowym profilu zaczęło się pojawiać tak dużo agresywnych opinii, że trzeba było zacząć je kasować. Napięcie w społeczeństwie rośnie.

Prof. Józef Baniak, socjolog religii: – Krytyki duchowieństwa nie da się już zahamować. Ewentualne próby jej wyciszenia spotkają się z odmową ludzi, także młodzieży. A krytykę tylko nasilą.

O. Tomasz Gałuszka, dominikanin, historyk średniowiecza: – Od Soboru Watykańskiego II Kościół jest wspólnotą wszystkich ochrzczonych, nie tylko księży. Dziś obserwujemy nakładanie się tej nowej eklezjologii na starą, mocno klerykalną. Oraz „wytrącanie się", z jednej strony, antyklerykalizmu, z drugiej – klerykalizmu świeckich i sekularyzacji duchownych. To o tej ostatniej jest „Kler".

„Ludzie, co wy robicie?!"

Premiera głośnego filmu Wojciecha Smarzowskiego, który tylko w pierwszy weekend zobaczyło niemal milion Polaków, zbiegła się w czasie z innymi wydarzeniami. Pojawiły się nowe informacje o wykorzystywaniu seksualnym nieletnich przez księży w Stanach Zjednoczonych. Odbyła się akcja „Baby Shoes Remember", podczas której na ogrodzeniach kościołów i kurii zawisły dziecięce buciki. W rocznicę porozumień sierpniowych abp Sławoj Leszek Głódź wręczył tzw. Pierścień Inki prezesowi TVP, powszechnie uznawanej za propagandowe ramię rządu. Wreszcie: poznański sąd apelacyjny podtrzymał wyrok 1 mln zł odszkodowania, które zgromadzenie chrystusowców ma wypłacić kobiecie w dzieciństwie przetrzymywanej i gwałconej przez księdza z tego zakonu.

Zdaniem Nosowskiego wszystko to sprawiło, że punkt krytyczny został przekroczony – a wokół Kościoła szybko zmienia się klimat społeczny: – Nieprzypadkowo podczas demonstracji 7 października zjednoczyły się ruchy ateistyczne i fundacja Nie Lękajcie Się, pomagająca ofiarom nadużyć seksualnych. Ludzie zrzeszeni w fundacji nie spotkali się z na tyle wiarygodną reakcją Kościoła, by uwierzyć, że także po jego stronie mają sojuszników – mówi naczelny „Więzi".

O bojkot „Kleru" zaapelowało Stowarzyszenie Dziennikarzy Katolickich i kilku publicystów mediów publicznych, ale reakcja instytucjonalnego Kościoła była stonowana. Episkopat powstrzymał się od krytyki filmu, a biskup opolski Andrzej Czaja obejrzał go w kinie i skomentował: „Wręcz jakby przez ten film Pan Bóg woła w naszą stronę, do nas księży, do nas najbardziej pogubionych to już w szczególności: Ludzie, co wy robicie?!". W ostatnią niedzielę ogłosił też list pasterski, w którym poinformował o księżach ze swojej diecezji oskarżonych o wykorzystywanie seksualne nieletnich i poprosił o modlitwę w intencji świętości życia kapłanów.

– Nie dziwię się masowym wyprawom do kin – mówi prof. Zbigniew Mikołejko, filozof religii. – Podobna sytuacja zdarzyła się w 1961 r., kiedy pojawiła się „Matka Joanna od Aniołów" Jerzego Kawalerowicza. Z ambon grzmiano, żeby nie chodzić, ale katolicy masowo do kin poszli. Poszła także moja wierząca matka. To jest podobny odruch, i podobnie nic z niego nie wyniknie.

Innego zdania jest Zbigniew Nosowski: – „Kler" może być tym „dnem", od którego Kościół wreszcie się odbije. Obrazem niewiele więcej da się już powiedzieć złego o Kościele. Formuła jest już właściwie ↦

↦ wyczerpana. A jeśli ludzie Kościoła będą reagować mądrze, będzie to okazja do zmiany.

Moralność bez Kościoła

Zmiany jednak – czego?

Badania CBOS z 2015 r. przyniosły ciekawe rezultaty: aż 88 proc. respondentów nie rażą krzyże w budynkach publicznych, np. w urzędach, szkołach; ponad 80 proc. nie ma nic przeciw religijnemu charakterowi przysięgi wojskowej, lekcji religii w szkołach oraz uczestniczeniu księży i biskupów w uroczystościach państwowych. Co trzeci badany Polak ma jednak zastrzeżenia co do wypowiadania się Kościoła na tematy moralne i obyczajowe; 55 proc. krytykuje zajmowanie przez Episkopat stanowiska wobec ustaw uchwalanych przez Sejm i aż 84 proc. rażą księża mówiący ludziom, jak głosować w wyborach.

Badania pokazują więc nietypowy rys polskiego antyklerykalizmu: nie jest on zasadniczo skierowany przeciwko obecności Kościoła w sferze publicznej, natomiast karmi się próbami ingerowania biskupów w ustawodawstwo zwłaszcza w sferze moralnej: postulat zaostrzania ustawy antyaborcyjnej czy blokowanie legalizacji *in vitro*. To po wsparciu przez biskupów projektu zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej na murach kurii warszawskiej po raz pierwszy pojawiły się ostre antyklerykalne hasła: „Oto krew moja i ciało moje – wara wam!", „Mordercy", „Pedofile", „Dość piekła kobiet!".

„W ciągu zaledwie dwóch lat odnotowanych zostało 837 aktów profanacji symboli religijnych i miejsc świętych. Widać też rosnące nastroje antyklerykalne. Doświadcza ich obecnie już co dziesiąty kapłan. Oto obraz sporego kraju w centrum Europy, w którym dominuje katolicyzm. Oto obraz... Polski" – donosił w maju z emfazą portal pch24.pl. Katoliccy tradycjonaliści odnieśli się w ten sposób do opublikowanej monografii „Wolność religijna", przygotowanej przez organizację Pomoc Kościołowi w Potrzebie, Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego i Instytut Ordo Iuris. Przedrukowano w niej artykuł ks. Wojciecha Sadłonia z 2016 r. Dyrektor ISKK przedstawia w nim wyniki pierwszych w Polsce badań nad dyskryminacją religijną, której doświadczają duchowni, przeprowadzonych w latach 2012-14. Wynika z nich, że co ósmy ksiądz (12 proc., a nie co dziesiąty, jak napisali tradycjonaliści) doświadczył aktów agresji (głównie słownej), a w co jedenastej parafii doszło do aktu profanacji miejsca kultu. Ponieważ jednak te badania są jak na razie jedyne, nie da się wnioskować o dynamice zjawiska.

> Po 1989 r. polski Kościół **nie natrafił na żaden opór,** ani na poziomie energii, ani intelektualnym.

Jak woda

– Można powiedzieć: jesteśmy słabymi ludźmi, bo reagujemy dopiero na fikcję. Poważnej dyskusji o Kościele nie zrodziła Tylawa czy działalność Rydzyka, tylko film Smarzowskiego. Nie Sławoj Leszek Głódź, lecz Janusz Gajos – mówi Bartłomiej Dobroczyński, psycholog.

Powód? W Polsce Kościół katolicki nigdy nie trafił na opór, który zmusiłby go do samooczyszczenia się. – Aksjologicznie, mentalnie był zawsze w sytuacji komfortowej – kontynuuje Dobroczyński. – A komfort to okoliczność potencjalnie demoralizująca. Indianie północnoamerykańscy mówią, że sarnami opiekują się wilki. U nas Kościół takich „wilków" nie miał.

O. Tomasz Gałuszka: – Oczywiście, można powiedzieć, że pierwszym przykładem działań antyklerykalnych było zabójstwo św. Wojciecha. Albo reakcja pogańska w latach 30. XI stulecia. Ale dopiero od XIII w. możemy mówić o antyklerykalizmie w dzisiejszym rozumieniu. Pojawiła się zamknięta i uprzywilejowana grupa we wspólnocie Kościoła, która poprzez wzbogacanie się i czasami ostentacyjną konsumpcję zaczęła wzbudzać niechęć, a nawet zawiść wśród wiernych świeckich. Jednak, co warto powiedzieć, w średniowieczu największymi antyklerykałami byli zakonnicy, którzy prowadzili niekończące się spory z klerem diecezjalnym.

Zdaniem historyka prof. Andrzeja Chwalby od czasów oświecenia politykę antyklerykalną utożsamiano w Polsce z postawą antykościelną, a czasem wręcz antyreligijną: – Pozycja naszego Kościoła była w skali europejskiej od dawna wyjątkowa: kiedy decydowano o powołaniu interrexa, nawet kalwińscy posłowie głosowali za tym, aby był nim prymas Kościoła rzymskokatolickiego – mówi prof. Chwalba. I dodaje, że kiedy wybuchła I wojna światowa, na 9 mln mieszkańców Galicji do Kościołów czy związków wyznaniowych formalnie nie należało zaledwie ok. 250 osób.

Także w międzywojniu antyklerykałowie nie prowadzili frontalnej walki z Kościołem. Wywodzący się z tych czasów tzw. antyklerykalizm intelektualny (Tadeusz Boy-Żeleński, Irena Krzywicka) przygasł wraz z wojną i rządami komunistów. Po 1989 r., zdaniem wielu, polski Kościół nie natrafił na żaden opór, ani na poziomie energii, ani intelektualnym. Po Ruchu Palikota, jedynej programowo antyklerykalnej partii w parlamencie, nie ma już dziś śladu.

– W latach 90. Kościół mógł działać jak woda, metodą najmniejszego oporu – mówi Dobroczyński.

Psycholog wyróżnia dziś dwa rodzaje antyklerykalizmu: – Pierwszy jest aksjologiczny: „nie lubię księży niezależnie od tego, czy i jak jestem wierzący". Np. „jestem żydem, ale mam prawo wymagać, aby duchowni piętnowali antysemityzm" – wymienia. – Drugi to antyklerykalizm epistemologiczny, w tym motywowany marksistowsko-dawkinsowsko: „istnieje grupa ludzi, która opowiada bzdury, utrzymuje ludzi w fałszywej świadomości; to mafia, która na fałszywych obietnicach sprzedaje czeki bez pokrycia".

Także o dwóch typach antyklerykalizmu mówi prof. Mikołejko: – Pierwszy można nazwać mieszczańskim: jest on ideowy i intelektualny, ma rodowód oświeceniowy. Współcześnie charakteryzuje się dążeniem do niewpuszczania Kościoła i kościelności w przestrzeń funkcjonowania państwa i w miarę możliwości także w przestrzeń życia publicznego. Ma on niewielkie znaczenie w naszym kraju. W Polsce dominuje antyklerykalizm ludowy czy potoczny. Podstawą jego istnienia jest krytyka stylu życia i sposobu funkcjonowania duchowieństwa: nadmierne bogacenie się, ekscesy obyczajowe, alkoholizm, mieszanie się do polityki w sposób trywialny i doraźny.

Prof. Mikołejko zaznacza, że towarzyszy mu jednocześnie silny udział w praktykach religijnych. Dlatego jest możliwy właśnie w Kościele klerykalnym – takim, w którym aktywność ludu bożego jest niewielka, ponieważ ten lud boży z całym lenistwem duchowym zdaje odpowiedzial-

ność za własny Kościół na „funkcjonariuszy kultu”.

Stała grupa

O „rosnących nastrojach antyklerykalnych” skrajni konserwatyści wnioskują po wskaźniku społecznej wrogości wobec religii. Bada go co roku prestiżowy amerykański Pew Research Center w ponad 190 krajach, w tym w Polsce.

Wskaźnik rzeczywiście wzrasta aż ponadtrzyipółkrotnie między rokiem 2007 a 2012 (taki wzrost odnotowuje ks. Sadłoń w swoim artykule). Ale po pierwsze w ciągu następnych dwóch lat spada on o połowę, by wzrosnąć w roku 2016 do poziomu dwukrotnej wartości z roku 2007. A po drugie, mierzy on akty dyskryminacji, ale motywowane nie tylko antyklerykalizmem, lecz także wrogością jednej religii względem drugiej (np. katolicyzmu względem islamu czy na odwrót). Nie można zatem na jego podstawie wnioskować o tendencji wzrostowej antyklerykalizmu w Polsce. To zjawisko wciąż czeka u nas na osobne zbadanie.

Zbigniew Nosowski: – Od początku III RP w badaniach opinii publicznej regularnie pojawia się ok. 20-procentowa grupa ludzi, którzy zawsze występują przeciwko temu, co mówi Kościół katolicki. Ta grupa raz ujawnia się bardziej, raz mniej, czasem znajduje sojusznika politycznego. Teraz też jest umiejętnie wykorzystywana przez niektórych polityków i ideologów.

To idzie młodość – świecka

Prof. Józef Baniak, socjolog religii, źródła nowych postaw antyklerykalnych polskiej młodzieży dzieli na dwie kategorie: religijno-kościelne i świeckie. Te pierwsze wymieniać można długo: udawana lub pozorowana pobożność wielu księży; nieatrakcyjność czy wręcz posępność mszy i nabożeństw; nieprzygotowane homilie i kazania, głoszone „na żywioł”, z dominantą moralizatorstwa i polityki; lekceważenie świeckich; nierozumienie problemów i potrzeb młodzieży; niemoralne życie wielu księży; pedofilia i molestowanie seksualne dzieci i młodzieży. To tylko najważniejsze.

– „Pełno wszędzie kleru w państwie i w gminie”, tak młodzi opisywali w moich badaniach z 2016 r. naciski biskupów na władzę ustawodawczą i wtrącanie się proboszczów w sprawy gmin – opowiada prof. Baniak. – Młodzież ma otwarty umysł i świetnie obserwuje rzeczywistość: odnotowuje zarówno „pokropki”, czyli obecność duchownych na świeckich imprezach, jak i żądania zwrotu majątków i innych nieruchomości przez parafie i zakony.

> Kłopot z antyklerykalizmem polega na tym, że zwykle **wiąże się z krzywdzącymi uogólnieniami.**

Zdaniem socjologa, jeśli Kościół instytucjonalny zlekceważy dziś oczekiwania młodzieży, po jakimś czasie nie znajdzie jej w swoich szeregach: „Młodzi będą realizować swoje cele religijne i świeckie bez pomocy i wykładni moralnej kleru” – podkreśla.

Zbiorowy wyrzut sumienia

Zapytany o psychologiczne źródła polskiego antyklerykalizmu, Bartłomiej Dobroczyński, współautor (razem z Mirą Marcinów) książki „Niezabliźniona rana Narcyza. Dyptyk o nieświadomości i początkach polskiej psychoanalizy”, stawia tezę, że jako naród nigdy nie przeszliśmy procesu radykalnej dekonstrukcji własnej tożsamości: – W efekcie od stuleci pielęgnujemy w sobie dziecinne wyobrażenie na swój temat. A politycy, ale także niektórzy ludzie Kościoła, wykorzystują to – mówi. I dodaje: – Dojrzałe myślenie, którym wykazują się zmodernizowane narody, wyraża się w przekonaniu, że dobro i zło są nierozdzielne. Nikt się nie obraża, gdy mówi się o złych stronach osób lub instytucji. Podczas gdy w Polsce, zamiast troski, „ataki na Kościół” uznaje się za opluwanie, niszczenie.

Inne wytłumaczenie ma prof. Zbigniew Mikołejko: – Na antyklerykalizm potoczny wpływa to, co Jan Paweł II nazwał ateizmem praktycznym, który polega na wymywaniu z codziennego życia pierwiastka duchowego. Pozostają szczątkowe jego formy: po katolicku się ochrzcić, poślubić, pogrzebać. Obrzędowość zostaje oderwana od religijności. A zasada brzmi: jeśli jestem bierny w swojej wierze, to obojętnieję.

Ruchy antyklerykalne byłyby w tym ujęciu swego rodzaju wyrzutami sumienia.

Co przyniesie jutro

Nawet polska wieś nie jest wolna od uśpionego antyklerykalizmu: – Od końca XIX w. niektórzy biskupi Galicji i Królestwa Polskiego zakwestionowali prawo ludności chłopskiej do samostanowienia i tworzenia własnych, ludowych stronnictw politycznych. Proponowali tworzenie stronnictw zachowawczo-katolickich, mówiło się wręcz o „wojnie” Witosa z biskupami tarnowskimi. Nawet ks. Stojałowski był traktowany jak antyklerykał – przypomina prof. Chwalba.

Bartłomiej Dobroczyński: – Polacy nie mają tożsamości poza Kościołem katolickim. Tylko „pod tym krzyżem, pod tym znakiem”... Politycy nie są w stanie zerwać z tą wizją.

O. Tomasz Gałuszka: – Mogło być znacznie „gorzej”: w XI w. rozwijano koncepcję angelizacji duchownych: ksiądz nie jest ani mężczyzną, ani kobietą, musi być kimś innym, „trzecią płcią”. Dziś jestem optymistą. Kościół na powrót stanie się wspólnotą wszystkich, klerykalizm zostanie ograniczony.

Zbigniew Nosowski: – Ludowy antyklerykalizm może się odrodzić, a nawet doprowadzać do zrywania z Kościołem, jeśli okaże się, że konieczność płacenia odszkodowań może w niektórych diecezjach dotknąć także samych wiernych. Ja sam uczestniczyłbym w takich zbiórkach, ponieważ wynika to z samego społecznego wymiaru grzechu. Ale nie każdy będzie wyrozumiały.

Sześćset lat po

Dla o. Tomasza Gałuszki problem z antyklerykalizmem jest taki, że zwykle wiąże się on z generalizacją i mocnymi kwantyfikatorami: „wszyscy”, „zawsze”, „nigdy”.

Podaje przykład: już w 1421 r. grupa proboszczów krakowskich zwróciła się do sądu biskupiego ze skargą na byłego prowincjała dominikańskiego, który mówił z ambony, że kler zakazuje przychodzenia do dominikanów z powodu chciwości – bo jako spowiednicy pozbawieni byliby wtedy przychodu z pokut pieniężnych. I prowincjałowi wytknięto właśnie, że stosuje uogólnienia, obarcza całą zbiorowość.

Minęło sześćset lat, wokół prawie wszystko się zmieniło. Po *christianitas* została nostalgia pielęgnowana głównie wśród konserwatystów. Nie zmienił się odruch uogólniania.

©℗ ARTUR SPORNIAK, MARCIN ŻYŁA

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Bez złotej korony

PROF. BOGDAN DE BARBARO, PSYCHIATRA I PSYCHOTERAPEUTA:

Narastający w Polsce antyklerykalizm wiąże się z klimatem politycznym i przyzwoleniem na agresję, a nawet wrogość społeczną.

ANNA GOC, MARCIN ŻYŁA: W Stanach Zjednoczonych ujawnia się kolejne skandale pedofilskie wśród duchowieństwa, u nas trwa dyskusja po premierze „Kleru". Czy to zmienia nastawienie Polaków do Kościoła?

BOGDAN DE BARBARO: Od dłuższego czasu obserwuję narastającą spiralę agresji i zjawisko polaryzacji stanowisk. Dotyczy to nie tylko polityki, ale także stosunku do Kościoła. Ze społecznego punktu widzenia jest to bardzo niepokojące.

Relacji do duchowieństwa przyglądam się z kilku perspektyw. Po pierwsze, poznałem wielu księży, a spotkania z niektórymi były ważnymi doświadczeniami osobistymi, współkształtującymi moje życie duchowe. Po drugie, jestem psychoterapeutą osób, które w dzieciństwie lub adolescencji były ofiarami księży pedofilów. Po trzecie, prowadzę terapię księży, którzy borykają się z problemami popędowości, samotnością, poczuciem osaczenia, zmagają się z problemami emocjonalnymi. Wreszcie po czwarte: zdarza mi się usłyszeć czy przeczytać jakąś wypowiedź przedstawicieli Kościoła. Czasem budującą i wzmacniającą, czasem taką, która mnie zawstydza i szokuje.

A więc mój obraz Kościoła w Polsce jest wielowarstwowy i niejednoznaczny. Bo znam księży, dzięki którym przybywa dobra, i wiem o takich, którzy sieją zło i zgorszenie.

Kluczowym pojęciem w naszej rozmowie może zatem być zaufanie – do Kościoła i duchowieństwa. Lub, w przypadku antyklerykałów, jego brak.

Kredyt ufności, którym dwunastoletnie dziecko obdarza księdza, może być, paradoksalnie, jedną z ważniejszych pułapek.

Dziecko może być spragnione bliskości. Jeśli ksiądz to pragnienie – bardziej lub mniej świadomie, bardziej lub mniej cynicznie – wykorzysta dla realizacji własnej patologicznej popędowości, dochodzi do tragedii z niczym nieporównywalnej. Dorosłe ofiary księży pedofilów, które spotykam w swoim gabinecie, są nadal, nawet po kilkunastu latach, niezwykle głęboko zranione, a ich życie psychiczne i duchowe – uszkodzone.

Kiedy usłyszałem, jak jeden z biskupów przepraszał za, jak to sformułował, „łzy ofiar", zrozumiałem, że wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak wielkim przestępstwem i krzywdą jest pedofilia. Przecież tu nie chodzi o łzy, tylko o psychiczne zdewastowanie młodego i emocjonalnie bezradnego człowieka.

Ale zjawisko narastającego obecnie w Polsce antyklerykalizmu wiązałbym raczej z klimatem politycznym i przyzwoleniem na agresję, a nawet wrogość społeczną. Odwzorowaniem agresji w polityce są – w kontekście relacji z Kościołem – albo strategia obronno-ochronna, zgodnie z którą każdy zarzut pod adresem kleru jest traktowany jako „spisek lewaków", albo ofensywa osób nastawionych antykościelnie, które atakują księży przy okazji problemu pedofilii w Kościele. Za każdym razem jesteśmy skazani na uproszczenia, które nie pozwalają dostrzec, że są księża-przestępcy i są tacy, którzy są głęboko dobrymi ludźmi.

I dlatego niektórzy tak żarliwie bronią Kościoła, nawet w sytuacjach, w których pewnych aspektów jego działania obronić się nie da?

Bliskie jest mi myślenie, że ci, którzy czują się nie dość silni, by nie bać się różnych postmodernistycznych zagrożeń, przyjmują postawę obronną i zaprzeczeniową. Zgodnie z nią „my, katolicy, jesteśmy jak trzeba", a „zgniły Zachód" – by użyć określenia rodem z propagandy peerelowskiej – nam zagraża. Zamiast pogłębić rozumienie tego, co się dzieje, zamiast zło nazwać złem i szukać sensownych dróg wyjścia z kryzysu, uciekamy często do nacjonalistycznej wersji katolicyzmu, skądinąd nadużywanej przez polityków prawicy. Mam żal do polskiego Episkopatu, że niektórzy biskupi wzmacniają ten trend, a w każdym razie na tę wersję katolicyzmu dają przyzwolenie. Taka „żarliwa obrona Kościoła" jest przecież na dłuższą metę dla niego zabójcza.

Kim są polscy antyklerykałowie?

Wyobrażam sobie, że to bardzo różni ludzie. Są wśród nich ci, do których ostatnio dotarła świadomość ogromu zła, które wyrządzili księża pedofile. Ale – powiedzmy to w tym miejscu – przecież zło idące od niektórych księży to także ich pycha, zarozumiałość, zamiłowanie do bogactwa, narcystyczne wywyższanie się ponad tych, którym mają służyć. Myślę, że ci, którzy to dostrzegają i piętnują, to grupa ludzi niesiona autentyczną wrażliwością etyczną i przekonaniem, że zło należy zwalczać, jakiejkolwiek byłoby natury. I są wśród nich zarówno ateiści, agnostycy, jak i ludzie wierzący w Boga i związani z Kościołem.

Inną grupę stanowią osoby agresywne, które są gotowe wykorzystać okazję do ekspresji gniewu czy wściekłości. Obojętne, czy będzie to fakt, że Lewandowski nie strzelił karnego, czy sensacja, że jakaś para celebrytów przeżywa kryzys w swoim związku, czy to, że ujawniono kolejny skandal w Kościele.

Wśród antyklerykałów można też znaleźć „ideologów", czyli ludzi przekonanych, że sama religia jest złem, a zło w Kościele – tego przejawem. Są to często filozofowie, socjolodzy czy psycholodzy traktujący religie jako niebezpieczne iluzje społeczne. Oni otrzymują dziś kolejne „dowody" na to, że religie doprowadzają do strasznych rzeczy. W ten sposób dochodzi do połączenia – a w istocie: pomieszania – duchowości, religijności i jej patologii z patologią Kościoła.

Mówi się, że polski antyklerykalizm ma trzy nurty: ludowy, inteligencki oraz – od stosunkowo niedawna – antyklerykalizm młodych. Może są to trzy różne opowieści, które nie stykają się ze sobą i przez to nie odnoszą efektu?

Antyklerykalizm lewicowy, czyli np. socjologiczna czy filozoficzna analiza prof. Jana Hartmana czy prof. Magdaleny Środy, jest interesujący; czasem przenikliwy, czasem jednostronny, bo emocjonalny. Ma też ograniczony zasięg.

Z kolei antyklerykalizm młodych jest bardziej ufundowany na buncie, na postawie „na pohybel poglądom panującym w poprzednim pokoleniu" lub „precz z dominującym dyskursem". Dziś młodzi nie podchodzą do księży bezkrytycznie. Nie „kupują" już wszystkiego tak łatwo, jak kiedyś. W PRL-u czułem, że ksiądz jest też antykomunistą. Podział na „my" i „oni", w którym Kościół instytucjonalny był z „nami", był wyraźny i dodawał ducha. Po 1989 r. to pękło. Młodzi ludzie łatwiej zauważą, że katecheza jest na niskim poziomie, a jeśli katecheta jest nieudolny, to zrezygnują z chodzenia na religię. Na autorytet trzeba sobie u nich zapracować.

Jednym z najgłębszych przeżyć okresu młodzieńczego była dla mnie peregrynacja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, inicjatywa prymasa Stefana Wyszyńskiego. Pamiętam jak dziś: było ciemno i ulicą Straszewskiego w Krakowie szedł pochód z kopią obrazu. PRL był czasem tak silnej jedności kleru i społeczeństwa, że nawet ci, którzy nie mieli wiele wspólnego z religią, będąc przeciwko systemowi stali po jednej stronie z Kościołem. A w stanie wojennym Kościół był niszą dla podziemnej Solidarności. Podobało mi się, że lewicowość była blisko wrażliwości chrześcijańskiej.

Kiedy pomyślę, że dzisiaj dla wielu Polaków wzorcowym katolikiem jest o. Tadeusz Rydzyk, to aż mi się zimno robi. Przecież to dewastacja samej idei chrześcijańskiej. Co się stało z pokorą chrześcijańską, ze skromnością, z miłością i miłosierdziem? A osławiony sojusz tronu z ołtarzem – to nie ma nic wspólnego z Ewangelią! Antyklerykalizm wzrasta, gdy rośnie klerykalizm.

Co by się zatem musiało stać, żeby klerykalizmu było mniej?

Zakładam, że rozumiemy klerykalizm jako bezwzględne uwielbienie księży tylko dlatego, że są księżmi. Jak go redukować? Mówiąc patetycznie: dążąc do dojrzałości. Poszukując w księdzu kogoś, kto jest ze mną w dialogu, pomaga pogłębić moją duchowość. Ksiądz nie ma mi zastępować ojca, którego bezkrytycznie słucham i który miałby mi zaspokoić moje emocjonalne niespełnienia. Bo dziś siła księdza często polega na tym, że bywa przez wiernych przeżywany jako ojciec – ktoś, kto za mnie myśli, decyduje i mówi, kto jest dobry, a kto zły. Chciałbym, żeby ksiądz pomagał rozumieć skomplikowany współczesny świat przez pryzmat Ewangelii, a nie mówić, na kogo mam głosować. Chciałbym, żeby ksiądz traktował osoby dorosłe jak dorosłe, a nie jak dzieci, które mają się bać świata, ksiądz zaś wesprze i powie, co robić. Chciałbym, żeby od ołtarza nie padały teksty o charakterze jednostronnej politycznej agitki.

↦

↦ Jeśli jestem wewnętrznie silny, nie muszę się bać świata. Liczę się z tym, że jest on skomplikowany, niejednoznaczny, chciałoby się powiedzieć: „płynny" – i w związku z tym szukam własnego jego rozumienia. I wtedy z przyjemnością rozmawiam z duchownym, który mi moje rozumienie pogłębi.

A bez tego – mamy skrajne postawy „za" i „przeciw"?

Gdy księża wyobrażają sobie, że będą ojcami opiekującymi się swoimi dziećmi, część z tych „dzieci" się buntuje. Inni – tu znów działa sprzężenie zwrotne – zwierają szeregi. Stąd u niektórych skłonność do idealizacji Kościoła i wręcz paranoidalna jego obrona, wyrażająca się absurdalnym przekonaniem, że ujawnianie pedofilii w Kościele to w istocie spisek i atak na Kościół. A przecież, jeżeli chcę, żeby Kościół uległ uzdrowieniu, to nie znaczy, że go atakuję.

Może ten lęk jest uzasadniony? Może niektóre dzisiejsze ruchy intelektualne czy kulturowe rzeczywiście sprzyjają agresywnym antyklerykałom?

Nie widzę tu żadnych spisków, a to, co się dzieje, jest dla mnie procesem. Gdybym był optymistą, powiedziałbym, że procesem ozdrowieńczym. Ponieważ ujawnia się agresja społeczna, dochodzi do polaryzacji stanowisk, której sprzyja zjawisko opisanej przez Elego Parisera bańki filtrującej – oglądania tych samych portali internetowych i czytania tych samych gazet, które utwierdzają nas w przekonaniu, że mamy rację. Powtórzę więc, że z tego punktu widzenia największą determinantą zjawiska nasilenia antyklerykalizmu jest sprzężenie zwrotne. I w tym sensie antyklerykalizm nie istniałby bez klerykalizmu – i odwrotnie.

Oczywiście, chciałoby się, żeby tak nie było. Wolałbym namysł i refleksję nad tym, czym jest w Polsce i czym mogłaby być religijność, jaka może być rola Kościoła w objaśnianiu świata, co powinno się stać w procesie przygotowywania do posługi kapłańskiej, żeby księża nie doprowadzali do ludzkich tragedii. Wtedy można byłoby lepiej zrozumieć, na czym polegają religia i duchowość. Tymczasem to, co się dzieje, prowokuje nas do jednoznacznego opowiedzenia się: jesteś za czy przeciw klerowi? I jeszcze, nie daj Boże, powstaje wrażenie, jakby to pytanie było tożsame z pytaniem: jesteś za czy przeciw Chrystusowi!

ANDRZEJ BANAS / POLSKA PRESS / EAST NEWS

BOGDAN DE BARBARO:

Gdy księża wyobrażają sobie, że będą ojcami opiekującymi się swoimi dziećmi, część z tych „dzieci" się buntuje.

Czy istnieje w Polsce ukryty, wciąż nieujawniony antyklerykalizm? Np. bazujący na uprzywilejowaniu ekonomicznym Kościoła?

Nie wykluczam, że uprzywilejowanie ekonomiczne Kościoła stanie się jeszcze przedmiotem społecznej dyskusji. Część z nas przyzwyczaiła się do tego, że Kościół jest zasobny. Może dlatego, że w naszej psychice tkwi potrzeba, żeby był król, dwór i poddani. Król niech nosi złotą koronę, a jego dworzanie złote szaty. Kościół często odpowiada na tę, nie zawsze uświadamianą, potrzebę. Czyż nie jest żenujące, że katolicka duma realizowana jest poprzez budowanie coraz większych pomników papieżowi? Czy to ma być pogłębienie wiary chrześcijańskiej, że powstają wielkie świątynie? Czy zbliżymy się do Boga, jeśli wieże kościołów będą wysokie i ze szlachetnego metalu? Dla mnie jest to dramatyczne wypaczenie idei chrześcijańskich. Mnie przekonują zakonnicy, którzy są skromni, ale głoszą Słowo Boże i żyją Słowem Bożym. Księża jeżdżący alfa romeo – nie.

To program antyklerykalizmu wewnątrzkościelnego. Wielu katolików życzyłoby sobie ubogiego Kościoła-wspólnoty.

W przeszłości w ten sposób inicjowano reformy. Sprzedawanie odpustów czy wszelkie formy antropomorfizacji Boga z reguły kończyły się dla Kościoła wstrząsem. Rozumiem, przyjmuję to, że religijność ludowa może potrzebować koronacji Chrystusa na króla Polski. Ale mnie wciąż wydaje się to heretyckie wobec Boga – a już na pewno wobec Chrystusa – żeby na głowę zakładać mu złotą koronę. To redukcjonizm: sprowadzanie *sacrum* do *profanum*. To tak, jakby sobie wyobrazić, że Jezus jest bogatym, przebogatym, najbogatszym człowiekiem i ma być królem Polski. A jego matka najlepiej niech zostanie królową Polski. Trudno się potem dziwić antyklerykałom, że prześmiewczo zauważają, że „to nie wypada", żeby matka była królową, gdy syn ma być królem. Nie trzeba też być teologiem, żeby zauważyć, iż sprowadzanie boskości do ludzkich atrybutów to jakaś dziecinna wersja, która w XXI w. nie ma sensu. Chyba, żeby uznać, iż religia ma promować niedojrzałe emocje i nacjonalistyczny katolicyzm.

A może zbliżamy się do momentu, w którym to, co do tej pory takich wyobrażeń broniło, jednak pęknie, i ów „dobry" antyklerykalizm przeważy – a Kościół stanie się skromny?

Wyobrażam sobie dwa scenariusze. Pierwszy: obecna sytuacja skostnieje. Po jednej stronie zostaną „lewactwo" i „bluźniercy". Na przeciwnym biegunie spotkamy skrzywdzonych przez ciemny spisek katolików-nacjonalistów, którzy będą chcieli koronować Chrystusa na króla Polski. I te dwie grupy będą się wzajemnie znieważać. Ten scenariusz mnie smuci, ale jest prawdopodobny. Drugi scenariusz, bliższy memu sercu, ale mniej prawdopodobny, jest taki: „Kler" i ostatnie wydarzenia to zimny prysznic, który ozdrowi, pomoże ludziom odróżnić Kościół pyszny od Kościoła służącego Bogu i ludziom. ©℗

Rozmawiali ANNA GOC i MARCIN ŻYŁA

PROF. BOGDAN DE BARBARO *jest psychiatrą i psychoterapeutą, kierownikiem Katedry Psychiatrii Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.*

REKLAMA

100 LAT ODRODZONEJ ADWOKATURY POLSKIEJ

PAWEŁ

Śpiewak: *Praojcowie u Tronu Wiekuistego*

Abraham był poruszony świadczeniem Tory przeciw Izraelowi. „To ty przychodzisz, by mówić przeciw swemu ludowi? Czy pamiętasz dzień, w którym Święty Jedyny chodził po świecie i szukał tych, którzy ciebie przyjmą? Nikt nie chciał ciebie wziąć, aż Hebrajczycy zebrali się pod górą Synaj i przyjęli i uszanowali Pięcioksiąg. I ty teraz w dniu ich nieszczęścia świadczysz przeciw nim?”. Tora zamilkła i odeszła od Tronu Wiekuistego. Bóg zawołał: „Niech teraz stawią się dwadzieścia dwie litery”. Litery mówiły o tym, jak bardzo lud wybrany przekroczył prawa. Abraham zapytał literę alef: „Czy nie pamiętasz, jak Święty Jedyny pojawił się na górze Synaj i zaczął wypowiadać dziesięć przykazań, które zaczynają się od słowa *Anochi,* Jam jest twoim Bogiem. Żaden inny naród nie znał tych słów i tylko on mógł pojąć sens Przykazań, a ty świadczysz przeciw niemu?”. Alef cofnęła się i zamilkła. Wystąpiła litera bet, a Abraham rzekł jej: „Tylko mój naród jest biegły w studiowaniu Ksiąg, a te zaczyna literą bet”. Litera cofnęła się. Podobnie postąpiły pozostałe.

Wtedy Abraham rzekł: „O Panie wszechświata, czy nie pamiętasz, kiedy kazałeś ofiarować mego syna Izaaka jako ofiarę całopalną? Wtedy moje serce zamieniło się w kamień i stało się okrutne, i nie było we mnie współczucia dla Izaaka. Czy nie pamiętasz tego zdarzenia przez wzgląd na mnie i czy nie masz litości dla moich dzieci?”. Bóg milczał. Wtedy odezwał się Izaak: „O Panie wszechświata, gdy ojciec prowadząc mnie na górę powiedział: Bóg wskaże owieczkę na ofiarę, ja nie broniłem się, jak ojciec mnie wiązał. Leżałem na stosie ofiarnym, a ojciec sięgnął po nóż. Czy nie będziesz o tym pamiętał przez wzgląd na mnie i czy stać Ciebie na litość wobec moich dzieci?”.

Potem zaczął mówić Jakub: „O Panie wszechświata: czyż nie przebywałem 22 lata u Labana? Gdy opuściłem dom, spotkałem Ezawa, który chciał zabić moje dzieci... Były jako owce prowadzone na rzeź, a ja dbałem o nie jak kura o swoje kurczaki. Cierpiałem jako ojciec. Czy nie zapamiętasz tego przez wzgląd na mnie i czy nie znajdziesz litości dla moich dzieci?”.

Mojżesz zaczął mówić: „O Panie wszechświata, czy nie byłem wiernym pasterzem Izraela przez lat 40, kłusując jak koń na pustkowiu? Ale gdy nadszedł czas wejścia do ziemi obiecanej, zadekretowałeś, że moje kości spoczną na pustyni. A teraz, gdy zostali wygnani, posłałeś po mnie, bym lamentował i płakał nad nimi”. Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Jeremiasza: „Idź przede mną, tak bym mógł ich zaprowadzić do ziemi Izraela i nikt nie ośmieli się położyć na nich swoją dłoń”. I tak doszli do brzegów rzek Babilonu.

Bóg stanął wobec żądań praojców. Domagali się w dniu zburzenia Świątyni litości i prosili o wybaczenie dla swego ludu. Bóg cały czas milczał. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Dlaczego ja*

Dlaczego mnie to spotkało? Tylu innych jechało tym samym pociągiem i nikomu nic, a tylko ja wylądowałem na wózku. Rak, zawał, zator, złamana noga na dwa dni przed ślubem, krach gospodarczy, wybuch wojny, dlaczego akurat teraz, dlaczego akurat tej wiosny, dlaczego, dlaczego? Z góry trzeba powiedzieć, że odpowiedzi niemożliwej do podważenia nie ma, również ta podsuwana przez Biblię nie zadowala.

Prorok Izajasz, opisując los człowieka sprawiedliwego, którego Kościół utożsamia z Jezusem, mówi: „Pan pragnął zmiażdżyć go cierpieniem. Jeśli swoje życie odda jako ofiarę wynagradzającą”. Sprawiedliwy sługa za to, że „wydał na śmierć samego siebie i został zaliczony do przestępców”, za to, że „wstawiał się za przestępcami (...) wielu uczyni sprawiedliwymi, bo on weźmie na siebie ich winy. Dlatego w dziedzictwie przydzielę mu wielu i wielkie rzesze posiądzie jak zdobycz”. W ten sposób „pragnienie Pana spełni się przez niego. Po swojej udręce zobaczy światłość i nasyci się tym, co pozna”.

Przebaczyć to wziąć na siebie odpowiedzialność i zadośćuczynienie za grzechy innych. Dla nas ludzi jest to możliwe tylko częściowo. W tej dziedzinie zawsze będziemy spóźnieni. Jak wynagrodzić naszym rodzicom, rodzeństwu, przyjaciołom, nie mówiąc o wielu, wielu innych, którzy wsparli nas w nieszczęściu dobrym słowem, mieli dla nas czas, ponieśli uszczerbek na zdrowiu, wspomogli groszem itd. I nie chodzi tylko o dobre uczynki czy działalność filantropijną, ale o styl myślenia i postępowania, o to, co jest istotą Ewangelii i Eucharystii, o oddanie swego ciała i krwi, czyli siebie, na pokarm.

Niepokoi nas jednak stwierdzenie Izajasza: „Pan pragnął zmiażdżyć go cierpieniem”. Czy to znaczy, że Bóg jest sadystą? Owszem, niektórzy pobożni chrześcijanie tak Boga widzą. Twierdzą, że „kogo Pan Bóg kocha, na tego zsyła krzyżyki”, np. w postaci choroby czy innych doświadczeń i trudności. Dlatego pytają: dlaczego ja, dlaczego moje dziecko, mój współmałżonek, przyjaciel musi aż tak cierpieć?

A zobaczmy, co nam wyjdzie, gdy to pytanie odwrócimy. A dlaczego nie ja? Dlaczego nieszczęścia powinny mnie omijać, a nękać innych? Przecież widząc, w jaki okrutny sposób spełniło się na Jezusie proroctwo Izajasza, jedno jest pewne: jeśli Bóg nawet własnemu rodzonemu Synowi nie zapewnił łatwego życia, to i nam tego nie obiecuje. Przeciwnie, skoro za Jezusem Boga nazywamy Ojcem, to znaczy, że jesteśmy gotowi spełnić Jego „pragnienie”. Patrząc na Jezusa jako Syna Bożego możemy się spodziewać, że Bóg zechce posyłać nas tam, gdzie dzieją się rzeczy najstraszniejsze. Nie po to jednak, byśmy tam cierpieli i ginęli, ale nieśli pomoc, ratowali cierpiących i ginących, za co, tak czy inaczej, zawsze płaci się życiem. Łatwego życia Bóg nam nie obiecał. Nie wyjął też nas spod praw przyrody. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Trzy minuty milczenia

Bóg nie jest poza mną,
ja tylko w Nim przestaję,
On mi ozdobą jest,
ja światło, blask Mu daję.

ANIOŁ ŚLĄZAK

Mający wszelkie formy,
złocisty, świecący,
najwyższy cel, jedyny
blask, żar o tysiącu
promieni przebywa
w setkach miejsc.

PRAŚNA UPANISZADA

Kiedy piszę ten tekst, mam za sobą już dwa dni Synodu Biskupów w Rzymie. Relacje z Synodu – jak widzę w mediach – są przekazywane niemal „na żywo": o czym mówili ojcowie? Jakie tematy wybijają się na plan pierwszy? Czego można się spodziewać? Itd.

Ja chciałbym koniecznie przekazać jeden szczegół, wręcz drobiazg, prawdziwy „okruch", wprowadzony do prac synodalnych zaraz pierwszego dnia i to przez samego papieża.

Otóż, przemawiając na otwarcie obrad Franciszek poprosił, aby po każdych pięciu wystąpieniach ojców synodalnych następowało trzyminutowe milczenie.

Trzeba Wam wiedzieć, że czas w auli synodalnej jest mocno napięty i reglamentowany: każdy ojciec (jest ich ponad 260; a trzeba jeszcze doliczyć ekspertów, audytorów i gości) ma prawo do przynajmniej jednej czterominutowej wypowiedzi... A jednak papież nakazał, aby po każdych pięciu wystąpieniach zarządzić trzy minuty ciszy.

Po co?

By słuchać.

Kogo?

A kogo słucha się w ciszy?

Najpierw 20 minut słuchamy kolejnych ludzi. Ważnych ludzi: kardynałów, arcybiskupów, biskupów, pracowników watykańskiej kurii... wreszcie młodzieży. Ale potem potrzebne są przynajmniej trzy minuty milczenia, by posłuchać Pana. Co On chce powiedzieć swojemu Kościołowi? Także głosami tych, którzy dopiero co przemawiali w zgromadzeniu synodalnym. Co On chce powiedzieć? W którą stronę chce prowadzić Kościół? Czego oczekuje od swojego Kościoła?

Przez pierwsze dwa dni Synodu niemal bez przerwy, jak refren, wracało wezwanie do słuchania – zwłaszcza młodych ludzi. Niektórzy z ojców chętnie określali młodych mianem „proroków", i podkreślali, iż Kościół koniecznie dziś potrzebuje ich proroctwa.

Zapewne. Czy jednak owe proroctwo młodych, jakiego oczekuje Kościół, ma się wziąć w nich jedynie z tego, że są po prostu młodzi? Czy wystarczy być młodym, by być prorokiem? Albo, czy przestaje się być prorokiem tylko dlatego, że ktoś się zestarzał? Czy proroctwo nie jest charyzmatem, który w człowieku rodzi się ze spotkania z żyjącym Bogiem? Czy młodzi będą prorokami, jeśli nie poprowadzimy ich ku temu doświadczeniu: spotkania sam na Sam z jedynym Panem, który udziela nam Ducha? Czy poprowadzimy ich tam – czy otworzymy ich dary Ducha – jeśli sami nie będziemy mieć tego doświadczenia?

Prawda, słuchać z uwagą siebie wzajemnie – to już jest dużo. Dla wielu z nas nawet bardzo dużo... Ale usłyszeć w tych głosach Słowo od Boga, i zobaczyć Jego działanie (nie tylko mądrość, ale i moc) kierowane dziś do Kościoła – to zupełnie inne wyzwanie.

Po to właśnie jest cisza. Warunek wstępny tego, by podnoszone na Synodzie idee i postulaty nie były wyłącznie naszymi pomysłami. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (14-21 X)

28. niedziela zwykła:
Mdr 7, 7-11; Ps 90; Hbr 4, 12-13;
Mk 10, 17-30;
Poniedziałek: Ga 4, 22-24. 26-27. 31 – 5, 1;
Ps 113; Łk 11, 29-32;
Wtorek: Ga 5, 1-6; Ps 119; Łk 11, 37-41;
Środa: Ga 5, 18-25; Ps 1; Łk 11, 42-46;
Czwartek: 2 Tm 4, 9-17a; Ps 145; Łk 10, 1-9;
Piątek: Ef 1, 11-14; Ps 33; Łk 12, 1-7;
Sobota: Ef 1, 15-23; Ps 8; Łk 12, 8-12;
29. niedziela zwykła: Iz 53, 10-11;
Ps 33; Hbr 4, 14-16; Mk 10, 35-45.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

NADCHODZI DYKTATURA MŁODYCH

Już wkrótce wyborcy po pięćdziesiątce staną się najważniejszą grupą w elektoracie każdej partii. To oni będą najskuteczniej wpływać na ich decyzje polityczne. Tylko po co młodym taka demokracja?

KLAUS BACHMANN

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Jesteśmy starzejącym się społeczeństwem i nawet tak chwalony program 500 plus tego nie zmieni. Przyczynił się do redukcji biedy (która, wbrew powszechnym przekonaniom, zmniejszała się już długo przed rządami PiS), ale nie spowodował wzrostu dzietności kobiet. Taka sytuacja rzutuje jednak na rynek pracy i na finanse publiczne, jakość usług w służbie zdrowia, na konkurencyjność gospodarki i na życie codzienne każdego z nas. A także na to, czy będziemy żyć w demokracji.

Imigracja działa krótko

Już w tej chwili panujące długo w Polsce dwucyfrowe bezrobocie przekształciło się w brak rąk do pracy, co zmusiło rząd do sprowadzenia kilkuset tysięcy pracowników z Ukrainy, Indii, Bangladeszu i innych krajów, wbrew retoryce antyukraińskiej i antymuzułmańskiej. Ludzie ci mają u nas w większości pozwolenia na krótki pobyt, co oznacza, że nie mogą się osiedlić (choć, jak doświadczenie innych krajów z taką imigracją pokazuje, wielu i tak będzie to robić, legalnie lub nie) i że podatki oraz składki zapłacą głównie w krajach pochodzenia, gdzie też poślą swoje zarobki, zamiast je wydawać w Polsce, kreując tym dochody dla państwa z VAT. Zatrudnianie tej siły roboczej przyczynia się do stabilizacji krajów pochodzenia, wspiera kurs ich walut i – w przypadku Ukrainy – pośrednio pomaga finansować wojnę w Donbasie. Pomaga też polskim przedsiębiorstwom w utrzymaniu niskich płac, przez co sprzyja konkurencyjności polskiego eksportu. Powoduje natomiast problemy dla ukraińskich firm, które muszą płacić swoim pracownikom więcej, aby ich powstrzymać przed emigracją.

Jedno jest pewne: imigracja zarobkowa to krótkotrwały sposób na problemy rynku pracy. Nie jest jednak żadnym remedium na średnio- i długotrwałe skutki starzenia się społeczeństwa. Pracownicy zagraniczni – na obecnych zasadach – w znikomym stopniu przyczyniają się do rozwiązywania problemów z finansowaniem naszych rent, emerytur i systemu opieki zdrowotnej. Aby temu zaradzić, należałoby dawać prawo do stałego pobytu i pozwolenia na pracę tylko tym imigrantom, którzy mają realne szanse, by zarabiać grubo powyżej przeciętnej kra-

jowej. Tylko wtedy płaciliby składki i podatki w Polsce – i to w takiej wysokości, że ich wpłaty mogłyby się przyczynić do wyrównania deficytu w tym zakresie. Musiałoby to dotyczyć kilkuset tysięcy imigrantów rocznie, aby wyzerować niekorzystny efekt obecnych trendów demograficznych. Długofalowo – w perspektywie kilku pokoleń – niewiele by to dało, bo doświadczenie innych krajów pokazuje, że tacy imigranci zarobkowi tylko w pierwszym pokoleniu mają dużo dzieci. Potem dostosowują się do miejscowych obyczajów. Problem powraca: w społeczeństwie umiera więcej ludzi, niż się rodzi.

Roboty nie zabiorą pracy

Niektórzy pocieszają się, że dzięki rozwojowi sztucznej inteligencji wkrótce w ogóle nie będziemy musieli pracować, bo wyręczą nas (także imigrantów) roboty. Postęp technologiczny, automatyzacja i racjonalizacja towarzyszą ludzkości od zarania dziejów, ale zawsze tylko przejściowo zmieniały relacje między pracującymi i niepracującymi. Następowało to, kiedy rozwój technologii nagle zwiększył zapotrzebowanie na specyficzną siłę roboczą. Każda taka zmiana, od wynalezienia silnika parowego po początek ery kompu- ↦

↦ terowej albo rozwój internetu, spowodowała silne perturbacje na rynkach pracy. Niektóre zawody obumarły, powstały nowe.

Podczas tej ewolucji rozszerzył się zasięg państwa opiekuńczego. Kiedyś nasz los w przypadku choroby albo popadania w biedę zależał od rodziny, Kościoła, związku zawodowego lub gminy. Dziś w takich przypadkach nie musimy prosić o pomoc, lecz mamy do niej prawo. Prawo to gwarantuje państwo w postaci urzędu pracy, ośrodka pomocy społecznej i ośrodka opieki zdrowotnej. Tak się składa, że ta ekspansja państwa opiekuńczego miała miejsce tylko i wyłącznie w krajach, które najszybciej przyczyniały się do postępu technologicznego. Bezrobocie poza fazami kryzysów było tam niższe niż w krajach, gdzie postęp technologiczny kroczył bardzo wolno. Nie spowodował on zaniku pracy, przesuwał jedynie pracujących do „sfery budżetowej".

Dlatego nie ma powodu, by uznać, że następny skok technologiczny całkowicie zlikwiduje zapotrzebowanie na ludzką pracę, tym bardziej że ludzie nie pracują (i nigdy nie pracowali) tylko po to, aby zdobyć środki konieczne do fizycznego przetrwania. Nawet kiedy popyt na pracę czysto zarobkową zmaleje, to i tak ludzie będą pracować w celu samorealizacji. I to akurat są zazwyczaj najbardziej kreatywni i społecznie użyteczni pracownicy.

Duży udział starszych, zazwyczaj niechętnych nowościom, konserwatywnych i nieufnych wobec postępu ludzi musiałby hamować popyt na sztuczną inteligencję. Młodzi pewnie zachwycaliby się robotem, który pozwala pisać na laptopie w czasie jazdy samochodem i zastąpiłby im asystenta albo sekretarki, ale emeryci mieliby mniej powodów do zachwytu, gdyby się okazało, że w domu opieki muszą umieć programować, by skłonić robota do częstszej zmiany pościeli. W starzejącym się społeczeństwie to starsi kreują więcej popytu na usługi niż młodzi, usługodawcy musieliby się do nich dostosować. Nie odwrotnie.

Innymi słowy: roboty nam nie pomogą ani wyrównać deficytu siły roboczej na rynku pracy, ani zbilansować system emerytur i rent, opieki zdrowotnej i ubezpieczenia społecznego. Imigracja zaś ulży rynkowi pracy jedynie na krótką metę, a do rozwiązywania pozostałych, długofalowych problemów nie przyda się w ogóle.

Wydojone pokolenie

Podobnie jest z polityką prorodzinną, nawet taką, która stawia tylko na zwiększenie dzietności kobiet i byłaby skuteczniejsza od 500 plus. Gdyby się udało nakłonić kobiety do rodzenia większej liczby dzieci, mielibyśmy lepszą perspektywę na zbilansowanie finansów publicznych w przyszłości. Ale ze wszystkich pozytywnych impulsów dla rynku pracy, dla systemu rent i emerytur i dla opieki zdrowotnej korzystalibyśmy i tak dopiero w następnym pokoleniu. Dopiero wtedy obecnie urodzone dzieci wchodziłyby na rynek pracy i zaczęłyby płacić składki oraz podatki.

Kiedy zaczną pracować, czekają je olbrzymie obciążenia podatkowe, które będą finansować bieżące emerytury i wykup obligacji państwowych, nabytych kiedyś w ramach kapitałowych planów emerytalnych przez fundusze emerytalne ich rodziców. Czekają je też olbrzymie składki na ubezpieczenie zdrowotne, by umożliwić leczenie licznych starych i chorych ludzi.

Sąsiednie kraje zdają sobie z tego sprawę, więc obniżają poziom emerytur i rent albo wydłużają wiek emerytalny. W Niemczech to się już stało, a w Rosji właśnie się dzieje. Trzeba to zrobić wtedy, kiedy wpływ na wyniki wyborów tych, których obniżenie wieku emerytalnego dotyka, jest jeszcze mały. Kiedy nikt w Polsce już nie będzie mógł wygrać wyborów bez poparcia starszych ludzi (a ci – inaczej niż młodzi obywatele – chętnie i karnie idą na wybory), to o obniżeniu rent i emerytur i o podwyższaniu wieku emerytalnego można będzie zapomnieć. Wtedy rządom zostanie już tylko dojenie młodych. Aż uciekną za granicę.

Najważniejszy elektorat

Już wkrótce wyborcy po pięćdziesiątce staną się najważniejszą grupą w elektoracie każdej partii i tą grupą nacisku, która najskuteczniej będzie mogła wpływać na decyzje polityczne. Ta armia ludzi będzie miała też o wiele więcej wolnego czasu niż młodzi pracujący, aby budować strukturę, organizować się, koordynować swoje działania i naciskać na władzę na każdym szczeblu. Pewnie nie będzie ideologicznie jednorodna (bo teraz też nie jest), ale będzie na pewno bardziej zachowawcza, sceptyczna wobec jakichkolwiek zmian i niechętna modernizacji.

I będzie obojętna wobec regulacji rynku pracy, niechętna wobec zwiększenia nakładów na edukację, szkolnictwo i badania (bo to emerytów w znikomym stopniu dotyczy). Spajana bardzo silnym wspólnym interesem: aby utrzymać emerytury i renty na wysokim poziomie.

Żadna siła polityczna nie będzie mogła tego lekceważyć. Jak to konkretnie działa, można obserwować od kilku lat w Niemczech: poprzednia wielka koalicja natychmiast po jej powstaniu ogłosiła całą listę dobrodziejstw socjalnych dla starszego pokolenia. Co rządzącym w Niemczech wpada do głowy, kiedy minister finansów oznajmia o większych wpływach z podatków? Jak nimi obdarować „biednych rencistów".

Nie jest możliwe jednoczesne konkurencyjnej gospodarki, wysokich świadczeń emerytalnych, niskiego wieku emerytalnego i zbilansowanych finansów państwa. Ale wbrew powszechnym obawom nie czekają nas „głodowe emerytury", tylko „głodowe płace realne" dla pracujących.

Nie jest to jednak wcale powód do radości dla starszych, szczególnie jeśli są demokratami. W takiej Polsce (w Niemczech i w każdym innym starzejącym się społeczeństwie) młodzi mają bowiem o wiele mniej powodów, aby popierać demokrację. I będzie ich ubywało. Demokracja (i rządy prawa) mogą chronić młodych przed nadużyciami państwa, ale oni sami faktycznie partycypować w podejmowaniu decyzji już nie będą.

Starzejące się społeczeństwo redukuje bowiem niemal do zera jedną z podstawowych zasad demokracji przedstawicielskiej: „*No taxation without representation*" (żadnego opodatkowania bez reprezentacji). Młodzi będą w znikomym stopniu reprezentowani w instytucjach politycznych, ale za to będą w maksymalnym stopniu płacić podatki, które zostaną natychmiast rozdysponowane wśród starszych. Trudno się będzie dziwić, że w takiej sytuacji odwrócą się od demokracji.

Ucieczka od demokracji przedstawicielskiej w demokrację bezpośrednią też im nie pomoże – w referendach starsi też będą mieli przewagę. Najbardziej racjonalnym wyjściem dla kurczących się mas pracujących będzie liberalna dyktatura, która powstrzyma redystrybucję ich dochodów. Starsi ani nie pójdą na barykady, ani nie uciekną za granicę, jeśli dostaną mniejsze emerytury i gorszą jakość usług medycznych.

Odbierz babci dowód

Każdy z polskich rządów w ostatnich latach reagował na tę perspektywę tak samo: cicho, bez rozgłosu liberalizując zasady imigracji i przyznawania obywatelstwa. Obecny rząd robi to samo, ale sam sobie ograniczył pole manewru ostrą retoryką ksenofobiczną. Na uregulowanie imigracji zarobkowej na podstawie publicznie i szeroko konsultowanej legislacji nie ma co liczyć. Cudzoziemcy, którzy w innych okolicznościach chętnie osiedliliby się w Polsce, bardzo niechętnie reagują na objawy ksenofobii. Niemcy doświadczyli tego na własnej skórze po 2000 r., kiedy socjaldemokratyczno-zielony rząd chciał rekrutować wysoko kwalifikowanych pracowników z Indii do sektora IT, a chadecka opozycja rozpoczęła ksenofobiczną kampanię przeciwko temu. Hinduscy specjaliści woleli emigrować do Kanady i USA.

Ale nawet gdyby obecny rząd polski przeistoczył się w najbardziej miłujący imigrantów gabinet niepodległej Polski, to i tak mógłby zaledwie spowodować napływ pracowników do sektorów gospodarki o niskich zarobkach. Dlatego nie przyczyniłby się do wyrównania deficytów w emeryturach, rentach i składkach na NFZ.

Konieczna jest więc większa imigracja zarobkowa na stałe, włącznie z liberalizacją zasad przyznawania obywatelstwa tak, by młodzi imigranci mogli uczestniczyć w podejmowaniu decyzji politycznych i równoważyć wpływy starszych pokoleń. Trudno jednak oczekiwać, że sam program osiedlania cudzoziemców w Polsce rozwiąże problemy finansowe i pozwoli na utrzymanie demokracji. Imigrantów nigdy nie będzie tak dużo, by wyrównać całkowicie trendy demograficzne.

> Młodzi będą w znikomym stopniu reprezentowani w instytucjach politycznych, ale za to będą w maksymalnym stopniu płacić podatki, które zostaną rozdysponowane wśród starszych. **Mogą wtedy odwrócić się od demokracji.**

Jeśli chcemy dać większy wpływ młodym na sprawy publiczne, zostaje tylko radykalny środek – redystrybucja praw obywatelskich między pokoleniami. Nie wiem, czy hasło „odbierz babci dowód" z 2007 r. faktycznie zmniejszyło frekwencję wyborczą wśród starszych kobiet, ale wiem, że żadna grupa społeczna, którą kiedykolwiek objęto prawem wyborczym, nie zrezygnuje z niego bez walki. Więcej: odebranie ludziom starszym prawa wyborczego musiałoby spowodować kompletną izolację polityczną Polski, na wzór embarga, które ONZ zastosowała wobec RPA, kiedy władze tego kraju nie chciały przyznać większości dorosłych mieszkańców praw wyborczych.

Nie tędy droga. Można natomiast obniżyć wiek wyborczy i w ten sposób zwiększyć wpływ młodszych wyborców wobec starszego pokolenia albo ostrożnie odejść od zasady „równości głosu", przydzielając rodzicom głosy (albo jego odpowiednie ułamki) według liczby dzieci do czasu, kiedy te dzieci będą mogły same wziąć udział w wyborach. Dzięki temu rodzice z małoletnimi dziećmi staną się szybko ważnym potencjalnym elektoratem każdej partii, co z kolei powinno doprowadzić do znacznie lepszych warunków wychowywania dzieci (np. prorodzinnego systemu podatkowego) i tym samym odbić się większą dzietnością kobiet. Tak wyśmiewana niedawno w Polsce propozycja Jarosława Gowina jest poważnie rozważana w świecie: od Japonii po Niemcy.

Można się wtedy spodziewać powstania lepszych niż dziś warunków pogodzenia pracy z rodzicielstwem – i to dla obu płci. Proste transfery gotówkowe na rzecz (albo lepiej: z powodu) dzieci to sposób na redystrybucję, zwiększenie równości społecznej i obniżenie skali ubóstwa, ale one same w sobie większego przyrostu demograficznego nie zapewniają, jeśli nie towarzyszy im odpowiednia infrastruktura w postaci powszechnie dostępnych żłobków i przedszkoli oraz bezpiecznego transportu.

Najlepiej to widać we Francji, która od kilkudziesięciu już lat łączy wszystkie te elementy i nie ma niżu demograficznego. Społeczeństwo starców nie jest takimi zabiegami zainteresowane. Emeryci troszczą się jeszcze o swoje własne wnuki (o ile je mają), ale dlaczego mieliby się martwić placami zabaw i przedszkolami lub pytaniem, kto zapłaci emerytury ich dzieci i wnuków? Skoro to i tak dotyczy okresu, w którym – nawet przy najlepszym systemie opieki zdrowotnej – będą już na tamtym świecie?

© KLAUS BACHMANN

TP

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA" ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK

Europa patrzy w przyszłość: euro – strefa Schengen – praworządność – tożsamość

poświęcony zakończonej właśnie XVIII Międzynarodowej Konferencji z cyklu „Rola Kościoła katolickiego w procesie integracji europejskiej", a w nim m.in.:

- Donald Tusk, przewodniczący Rady Europejskiej, o europejskich planach na przyszłość;
- Prof. Hanna Suchocka, honorowa przewodnicząca Komisji Weneckiej, b. premier RP, o potrzebie troski o rządy prawa;
- Prof. Zoltán Fleck, dyrektor Centrum Teorii Państwa i Społeczeństwa, Uniwersytet Loránda Eötvösa w Budapeszcie, o wyzwaniu rzucanym Europie przez Węgry.

WSPÓŁWYDAWCA FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNEREM WYDANIA JEST FUNDACJA KONRADA ADENAUERA W POLSCE Konrad Adenauer Stiftung

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Rafał Trzaskowski, Warszawa, wrzesień 2018 r.

Nasz elektorat nie wybacza

RAFAŁ TRZASKOWSKI, KANDYDAT NA PREZYDENTA WARSZAWY:

PiS w Europie równa się zero. Zero kontaktów, zero kompetencji w sprzedawaniu swoich racji, zero umiejętności budowania koalicji. Przez nich wróciliśmy do ligi państw nieprzewidywalnych.

RAFAŁ WOŚ: „Bronisław Geremek uczył mnie Cywilizacji europejskiej w Kolegium Europejskim w Natolinie, po francusku. Był poważny, zadumany i srogi. Dostałem najwyższą notę na roku, bo mój ówczesny francuski nie pozwolił na oratorskie popisy i zmusił do wypowiedzi chłodnej, precyzyjnej i oszczędnej" – ten Pana internetowy wpis to już jest klasyk.

RAFAŁ TRZASKOWSKI: Współpracownicy mi mówią: napisz coś z okazji śmierci profesora Geremka. Ja im na to, że nie znoszę wpisów okolicznościowych, no ale Geremek, niedziela, więc napisałem. Oni mówią: „Boże, jaka nuda, napisz coś od serca".

No to Pan napisał, że nawet „ASZdziennik" nie musiał nic podkręcać.

Napisałem. Oczywiście bardziej o sobie niż o Geremku. Dlatego staram się nie mówić już o sobie, tylko o Warszawie. Rano przeczytałem i...

I zobaczył Pan, że kabotyńskie.

Pretensjonalne. Nikt się nie spodziewał, że to będzie tak ważny temat kampanii.

Dziwi się Pan? To dla oponentów jak gwiazdkowy prezent, choć był wtedy lipiec.

Teraz już wiem, że w czasie kampanii każda drobnostka to potencjalne zagrożenie.

A zastanawiał się Pan kiedyś, czy nie kryje się za tym jakiś głębszy problem? Znajomy powiedział mi żartem, że przez Pana uwierzył w reinkarnację. Bo jakoś tak niezwykle łatwo zastąpił Pan nieszczęsnego prezydenta Komorowskiego w roli króla kampanijnych wpadek i cesarza internetowych memów.

A dziwi to pana?

Tak. A Pana nie?

Nie. Proszę pamiętać, że po tamtej stronie jest profesjonalny przemysł niszczenia przeciwników. Setki milionów złotych w telewizji publicznej pompowane w manipulacyjną i chamską kampanię oczerniania przeciwników i chwalenia swoich.

Wy tak nie robiliście z „nimi"?

Nie ma w ogóle porównania. PiS produkuje setki materiałów dziennie – manipulujących, szkalujących i kłamiących za publiczne pieniądze. Do tego internet, w którym „przez ostatnie osiem lat" PiS zakładał strony internetowe, kluby zwolenników i armie botów.

A kto Wam bronił zawalczyć o internet?

Każdy, kto chce się z PiS bić o najwyższą stawkę, zostanie zaatakowany przez ich machinę propagandową. Ale nie ma co narzekać. Wiedziałem, z czym się mierzę, i stawiam temu czoło. Z uśmiechem na ustach.

Zmierzyć się to jedno, a nie dawać powodów do kpin to drugie.

Pan ze Schetyną i Rabiejem robicie sobie sesje zdjęciowe w komunikacji publicznej. I tu Was akurat nie PiS, tylko Jan Śpiewak pięknie wypunktował pokazując, że zbiorkomem do pracy jeżdżą setki tysięcy ludzi, ale nikt nie wrzuca swoich zdjęć do sieci z hasztagiem #UwagaJadę.

To byłby problem, gdybym ja komunikacją nie jeździł. Ale ja jeżdżę co drugi dzień. Na przemian z samochodem.

To po co się Pan fotografuje?

Ja się fotografuję? Mamy spotkanie wyborcze, w którym mówimy, że do budowy metra potrzebne są środki unijne, a te są zagrożone przez awanturniczą politykę PiS, a potem schodzimy do metra, żeby jechać do Sejmu. No to fotografowie schodzą z nami i robią zdjęcia. Przecież im tego nie zabronię.

Zostawmy rzeczywistość medialną i pomówmy o sprawach poważniejszych.

Nareszcie.

Wielu wyborców ma z Pana formacją polityczną nie od dziś taki oto problem: poza tym, żeby odsuną bądź nie dopuścić PiS-u do władzy, to tak szczerze mówiąc nie bardzo wiadomo, po co na Was głosować.

Żyjemy w określonej rzeczywistości i mamy takich, a nie innych kandydatów. Trzeba wybrać tych, którzy mają program sensowny, wypracowany, oparty na wiedzy, doświadczeniu i na liczbach. Którzy mają dobre międzynarodowe kontakty potrzebne do pozyskiwania pieniędzy na inwestycje.

Porywające...

A czy lepsze mają być spotkania wyborcze Patryka Jakiego, na które wchodzą wyselekcjonowani ludzie, a kandydat przez godzinę opowiada o mnie i Hannie Gronkiewicz-Waltz? U mnie hasło „PiS" prawie nie pada. Kiedyś mierzyliśmy czas i wyszło, że pierwszy raz powiedziałem „Patryk Jaki" po półtorej godziny.

To musi być Pan w swojej formacji prawdziwym odmieńcem. Bo jak słucham Pana kolegów i koleżanek, to straszenie PiS-em jest u nich do tego stopnia intensywne, że powstaje podejrzenie, iż poza partią Kaczyńskiego nic ich nie interesuje.

Ja jestem kandydatem na prezydenta Warszawy i mówię o konkretnych sprawach Warszawy. O wspólnych aspiracjach i pomysłach na miasto, seniorach, edukacji i polityce mieszkaniowej. W innych miastach jest podobnie. Nitras, Sutryk, Wałęsa, Jaśkowiak – oni wszyscy mówią o swoich miastach.

Tym chętniej zapytam o sprawę fundamentalną. Czy zastanawiał się Pan, dlaczego Pana formacja polityczna poniosła w roku 2015 tak spektakularną porażkę? Odpowiedź na to pytanie to z punktu widzenia Waszej przyszłości sprawa kluczowa.

Po pierwsze i najbardziej banalne: po ośmiu latach u władzy ludzie chcieli zmiany. To było naturalne. Na tym polega demokracja. Po drugie, faktycznie było coś takiego, że w drugiej kadencji zabrakło energii, żeby przekonywać do swoich racji.

Mówmy wprost: osiedliście na laurach.

Raczej weszliśmy na pewne utarte tory. Trzecim problemem była absolutna nieumiejętność przetłumaczenia korzyści z modernizacji kraju dla zwykłego obywatela. Opowiadaliśmy o setkach kilometrów nowych dróg czy inwestycjach. A ludzie chcieli wiedzieć, co to oznacza dla nich. Tak konkretnie. I trzeba powiedzieć, że PiS w tamtej kampanii bardzo ciężko pracował i umiał dać odpowiedzi, których myśmy nie dawali.

Ludzie, ludzie! Trzaskowski PiS wychwala!!

Niektórzy nasi politycy mieli w sobie za dużo tego niedobrego paternalizmu. „No jak to, nie widzisz, że Polska się dzięki nam zmieniła na lepsze?! Przecież wszyscy przy zdrowych zmysłach to widzą!". Niestety PiS bardzo często wprowadza w błąd opinię publiczną. A na początku dał wielu ludziom poczucie, że z nimi rozmawia. Tego akurat się od nich nauczyliśmy i dlatego jestem od ośmiu miesięcy wśród ludzi na ulicach Warszawy.

A Pan czasem nie wpada w ten ton? Ostatnio słyszałem Pana w radiu, jak Pan klarował Robertowi Mazurkowi, że w Warszawie wszystko zmienia się na lepsze i jak on szelma może tego nie dostrzegać.

Staram się nie wpadać w ton, że jeśli ktoś nie chce na nas głosować, to znaczy, że czegoś nie rozumie. I w Polsce, i w Warszawie potrzebujemy dziś realnej poprawy jakości życia i zmniejszania nierówności między obywatelami. W Warszawie np. pomiędzy dzielnicami. Nie powinno być tak, że na Pradze nadal są kamienice niepodłączone do sieci ciepłowniczej, w Wesołej nieutwardzone drogi, a w Wawrze w niektóre dni dusi nas smog z niskiej emisji.

Czy ja dobrze rozumiem, że Pan jest takim liberałem z wyrzutami sumienia, co to zrozumiał, że trzeba się dzielić bogactwem? Bardziej sprawiedliwie niż dotychczas, bo bez tego będzie źle?

Wszyscy się uczymy. Na Zachodzie było tak, że jak nie byłeś socjalistą za młodu, to będziesz świnią na starość. U nas to się inaczej układało. Większość mojego pokolenia za młodu było radykalnie liberalne.

Pan też?

Jak miałem dwadzieścia lat, to myślałem, że niewidzialna ręka rynku nam wszystko ustawi.

→

POŻEGNANIE

W bolesną pierwszą rocznicę śmierci

Ś. † P.

Anny Szałapak

14 października o godzinie 13.00
w Uniwersyteckiej Kolegiacie św. Anny
zostanie odprawiona msza święta.

Zawiadamiają

MATKA, RODZEŃSTWO I PRZYJACIELE

Z Korwinem Pan flirtował?

Nie. Radykalny byłem raczej na polu ustrojowym, bo mi się Leszek Moczulski podobał, a potem głosowałem w 1990 r. na Lecha Wałęsę – wbrew całej rodzinie po inteligencku trzymającej z Mazowieckim.

No i niewidzialna ręka nie ustawiła nam wszystkiego.

Nie ustawiła. Dlatego dziś, jak ktoś chce być nowoczesnym politykiem, to musi stać przy wykluczonych. Nie tylko kulturowo, ale też społecznie i ekonomicznie. Trzeba to robić, bo przy całej swojej retoryce obóz rządzący zawodzi na tym polu. Pokazał to choćby protest opiekunów osób z niepełnosprawnością.

Z drugiej strony 500 plus to jednak ich projekt. Wy mówiliście, że się nie da..

To prawda. W temacie 500 plus przyznam uczciwie, że moje zdanie ewoluowało. Początkowo byłem sceptyczny. Dziś widzę także jego zalety.

Co Pana przekonało?

Przekonały mnie zmniejszające się nierówności. Przekonało mnie to, że pieniądze w kieszeni dają ludziom poczucie upodmiotowienia i przywracają godność. Że to oni podejmują decyzje.

Od logiki 500 plus już tylko krok do bezwarunkowego dochodu podstawowego, czyli pieniędzy za samo istnienie. Poparłby Pan taki projekt?

Rozmawiamy na ten temat. Zwłaszcza w Europie. Ja jestem wiceszefem Europejskiej Partii Ludowej i wydaje mi się, że takie pomysły mieszczą się dziś w politycznej agendzie liberalno-konserwatywnych partii, takich jak Platforma.

Mówi Pan, że odrobiliście w Platformie lekcję z utraty władzy w roku 2015. Że teraz już rozumiecie lepiej Polskę i Polaków. Więc może ten PiS jakoś Wam się przysłużył? Bez konkurenta bylibyście może zadufanymi w sobie buforami, którzy „nie mają z kim przegrać”?

To nie PiS nas zmobilizował. Ten przełom, który się w myśleniu Platformy rozpoczął gdzieś w czasie drugiej kadencji Tuska, był bardziej związany z kryzysem 2008 r. To był ten czynnik. Nawet ja, który broniłem przez cały czas unii gospodarczo-walutowej, doszedłem do wniosku, że tę sprawę Unia Europejska zawaliła. Politycy europejscy nie dopilnowali nadzoru bankowego, nie rozpięli równie mocnej we wszystkich miejscach siatki zabezpieczeń socjalnych. Mnie oczy otworzyła praca w Parlamencie Europejskim, gdy odkrywałem, że w tej idealizowanej Unii zwiększa się rozwarstwienie społeczne i różne rodzaje wykluczenia.

RAFAŁ TRZASKOWSKI:

PiS na początku dał wielu ludziom poczucie, że z nimi rozmawia. Tego akurat się od nich nauczyliśmy i dlatego jestem wśród ludzi na ulicach Warszawy.

Czyli to nie Kaczyńskiemu zawdzięczamy, że liberałowie tacy jak Pan przestali myśleć, iż wolny rynek wszystko załatwi?

Nie. To nie jemu. Ale moje zastrzeżenia do PiS nie są głównie związane z ich programem socjalnym czy słuchem społecznym sprzed lat. Ja jestem na nich wściekły z innych powodów.

Za co konkretnie?

Za niszczenie kapitału społecznego. Myśmy go przez lata mozolnie budowali. A oni go niszczą. Myśmy państwo odpartyjniali, wprowadzali ekspertów. W urzędach, w spółkach skarbu państwa. Oni upartyjniają. Niszczą to dzieło.

Niech się Pan nie gniewa, ale nie znam siły politycznej, która by mówiła inaczej. Zawsze „nasze” nominacje są merytoryczne, a „tamci” nominują partyjniaków.

Przyjaciółka prezesa Kaczyńskiego Janina Goss pożyczyła mu kiedyś 250 tys. złotych. A po przejęciu władzy przez PiS dostała stanowisko członka rady nadzorczej PGE. Wszędzie setki Misiewiczów – ludzi bez żadnego przygotowania i edukacji.

To prawda. Ale chyba Pan nie powie, że Wam nie można takich historii wyciągnąć. Sam pamiętam, jak „Dziennik Gazeta Prawna” ujawnił, że córka wicepremiera Rostowskiego pracuje w gabinecie politycznym jego kolegi z rządu, Radka Sikorskiego. A teraz na taśmach Sowy słyszymy, jak trwają poszukiwania posady w spółkach skarbu dla platformerskiego ministra Aleksandra Grada, bo on się przyzwyczaił do zarabiania kilkudziesięciu tysięcy miesięcznie.

Tego się nie da porównać. To jest różnica jakościowa. Córka ministra Rostowskiego była świetnie przygotowana do pracy i nie piastowała stanowiska kierowniczego. Poza tym, niech pan spojrzy, co oni robią w Europie.

No właśnie, to Pana specjalizacja. Niech mi Pan wytłumaczy, co oni tam właściwie robią nie tak. Za bardzo się stawiają Niemcom i Brukseli?

Przede wszystkim ten skrajny brak profesjonalizmu! Oni nawet tego swojego programu wobec Europy nie potrafią zrealizować. Sprawa pracowników delegowanych? Przegrali z kretesem.

To prawda. Choć ja się akurat z tego cieszę. Polscy pracownicy we Francji czy Holandii dobrze na tym wyjdą, bo nie będą już traktowani jak siła robocza drugiej kategorii.

To niech się pan cieszy. I zapyta tych, którzy jeździli za granicę zarabiać, co o tym sądzą. Ale są inne przykłady klęsk. Na przykład energetyka, co się wkrótce odbije na podwyżkach cen energii. I Polacy PiS-owi będą to zawdzięczać. PiS w Europie równa się zero. Zero kontaktów, zero kompetencji w sprzedawaniu swoich racji, zero umiejętności budowania koalicji.

Czy ja wiem? Na razie wprowadzenia w życie poważniejszych sankcji wobec Polski udało im się uniknąć.

Nic nie potrafią. Niech pan spojrzy na Orbána. On to umie robić. Niestety, bo to jest polityczny gangster. Ale wie, kiedy trzeba być pragmatycznym, ma kontakty, rozmawia. Dzięki temu umie się utrzymać w Europejskiej Partii Ludowej. Widziałem go wiele razy podczas zamkniętych spotkań. Potrafi zarysować czerwone linie, umie uprzedzić, że będzie w domu straszył Unią. A potem mówi, gdzie są pola, na których może się cofnąć. Bo Orbán nie jest dyletantem. A oni są.

To akurat powinno Pana cieszyć. Gdyby Kaczyński był Orbánem, to Wy, opozycja, moglibyście już politycznie nie istnieć.

Mnie teraz nie chodzi o moją formację. Mówię z perspektywy państwa. Pisowska dyplomacja niszczy pracę 30 lat polskiej dyplomacji. Zanim oni doszli do władzy, Polska zaczęła wreszcie grać w pierwszej lidze europejskiej polityki. Wreszcie zaczęliśmy siedzieć przy najważniejszym stole. Dziś już nie siedzimy. Wróciliśmy do ligi państw nieprzewidywalnych.

PiS odpowie na to, że może i siedzieliście. I pewnie to Was napełniało niesamowitą dumą. Ale byliście tam w charakterze przysłowiowej paprotki. Bez realnego wpływu na to, co się dzieje.

To proszę porównać, jaki budżet unijny wynegocjowaliśmy my, a jaki teraz negocjują oni. 30 procent cięć! To jest kosmos. To cena za ich politykę. A niestety to dopiero początek.

Wróćmy do Polski. I do Pana formacji. Czy nie ma Pan wrażenia, że w Pana obozie politycznym zaczyna zwyciężać zasada, że kto nie z nami, ten przeciwko nam?

U nas? Nie widzę tego.

A ja to widzę coraz częściej. Jak nie jesteś zagorzałym antypisowcem, to cię czyni z gruntu podejrzanym pożytecznym idiotą kaczystowskiego reżimu.

Nasz elektorat jest wymagający. Oni nie przyjmą biało-czarnej wizji świata. Będą analizować każdą wypowiedź. Tylko jakaś część jest pewna na sto procent naszych racji, a resztę trzeba ciągle przekonywać. Tu nie ma tak jak w najtwardszym elektoracie PiS-u, który czasem zachowuje się jak zakon.

Zaraz Pan powie, że Wasza część Polski to ta oświecona, a „tamci" to czerń.

Nie, nigdy tego nie powiem. Chcę powiedzieć, że spora część elektoratu PiS jest bezkrytyczna i sporo wybacza swoim idolom. A nam nasz elektorat rzadko wybacza błędy. I dlatego my nie możemy budować polityki na zasadzie „kto nie z nami, ten przeciwko nam". Ja tak nie rozumuję.

Notujemy i będziemy się przyglądać. Zwłaszcza że w tych bardziej przychylnych stronie liberalnej mediach dużo jest ostatnio nastrojów odwetowych. Słychać żal, że depisizacji nie było po odzyskaniu władzy w roku 2007. Politycy też to podkręcają. Schetyna zapowiada falę rozliczeń pisowskich dygnitarzy za łamanie konstytucji. Podobnie ma być z pracownikami mediów publicznych. Będzie depisizacja?

Postulatu rozliczania neutralnych nigdy nie słyszałem. To jakiś idiotyzm. Pozostaje kwestia rozliczenia tych, co łamali prawo. Tu oczywiście, że tak. Czyż Ziobrze nie należy się Trybunał Stanu za to, co wyprawia z polskim wymiarem sprawiedliwości?

Czyli Zbigniew Ziobro. Kto jeszcze?

To trzeba ocenić. Ja nie jestem od wydawania wyroków. Ale jeśli prawdą jest to, co się wydaje, że Macierewicz wyprawiał z armią, to być może też. Niepublikowanie orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego obciąża z kolei panią premier.

A poza odpowiedzialnością polityków?

Jeżeli ktoś był dziennikarzem w TVP i kłamał, manipulował, to uważam, że nie powinien pracować dalej w telewizji publicznej. To jest jedyna rzecz, którą sobie jestem w tej chwili w stanie wyobrazić jako przykład rozliczenia z kimś, kto nie łamał prawa. Jeśli mamy tę instytucję kiedyś odbudować, muszą to zrobić ludzie niezależni, którzy nigdy nie posuną się do manipulacji i kłamstwa.

Próbuję sobie to wyobrazić w praktyce. Czy to będzie coś w rodzaju komisji weryfikacyjnej? Komisja śledcza ds. propagandy w TVP na wzór komisji śledczej, przy pomocy której PiS dziś rozlicza warszawską aferę reprywatyzacyjną?

Nie chodzi o żadne formalnoprawne postępowanie. Przecież to jasne jak słońce, kto manipulował i manipuluje przekazem w mediach publicznych. Mediach, za które płacą podatnicy.

À propos reprywatyzacji. Kiedy Pan pierwszy raz usłyszał o tej sprawie?

Oczywiście o jednostkowych problemach słyszałem już wcześniej. Ale pierwszy raz w pełnej skali w roku 2016, po publikacjach „Gazety Wyborczej".

Niewyjaśniona do dziś śmierć działaczki lokatorskiej Jolanty Brzeskiej to rok 2011. Reprywatyzacja była wątkiem w referendum o odwołaniu Hanny Gronkiewicz-Waltz w 2013 r. Jak to możliwe, że politycy tacy jak Pan tak długo tej ropiejącej rany nie dostrzegali?

Temat reprywatyzacji jest odpowiedzialnością całej klasy politycznej. Przeoczyliśmy to. Musimy to jak najszybciej naprawić, przyjmując ustawę reprywatyzacyjną i ustawę, na mocy której pomocy udzielimy wszystkim poszkodowanym w wyniku tej afery. © Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

RAFAŁ TRZASKOWSKI, *kandydat Koalicji Obywatelskiej na prezydenta Warszawy. Wykładowca w Collegium Civitas. Od 2015 r. poseł z ramienia PO. Wcześniej europarlamentarzysta, minister administracji i cyfryzacji oraz sekretarz stanu w MSZ.*

W kolejnym numerze opublikujemy wywiad z głównym kontrkandydatem do fotela prezydenta Warszawy Patrykiem Jakim.

POŻEGNANIE

30 września 2018 roku, przeżywszy 83 lata, zmarła w Gliwicach

Ś.† P.

mgr inż. Rita Rożałowska

wieloletni pracownik Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Śląskiej
oraz Biura Projektów Hydroprojekt.
Doskonały fachowiec w zakresie projektowania infrastruktury
sieci wodociągowo-kanalizacyjnej.
Zawsze prawdomówna, uczciwa, wierna zasadom etyczno-moralnym.
Działaczka Solidarności w latach 80.
Stała czytelniczka i członkini Klubu Tygodnika Powszechnego.
Pochowana na cmentarzu Mater Dolorosa w Bytomiu.
Pozostający w głębokim smutku

PRZYJACIELE

Koniec świata pekaesów

BARTOSZ JÓZEFIAK

Do co piątej polskiej wsi nie dojeżdża transport publiczny. Łatwiej za pracą jechać do Niemiec czy Holandii niż do najbliższego miasta.

Dzięki pekaesom Maria odkryła zamiłowanie do placków. U progu wolnej od komuny i PGR-ów Polski znalazła pracę w gminie. Codziennie dojeżdżała autobusem z Lisek. Aż pewnego dnia kierowca odwrócił się do pasażerów ze słowami: „Kursów nie będzie. Odwołujemy. Od przyszłego miesiąca nie pojadę".

Maria nie miała samochodu ani nawet prawa jazdy. Mąż dojeżdżał do Piszu na budowę z trzema kumplami jednym samochodem. Maria nie miała z kim dojechać.

– Przestałam pracować. W domu siedziałam, co miałam robić? Musieliśmy odmawiać sobie niektórych rzeczy – mówi. – Człowiek liczył: dzisiaj kupię szynki lepszej, na drugi dzień nie kupię, bo mnie nie stać.

Przerzuciła się na ziemniaki. Albo placki. Albo ciasta. Z sąsiadkami wspominają, jak miesięcznie każda zużywała po 30 kilo mąki. I tak brak autobusów rozwinął w nich kulinarne umiejętności.

Jak wynika z szacunków Klubu Jagiellońskiego, w Polsce ponad 13 mln ludzi żyje w gminach, których samorząd nie zapewnia transportu publicznego. Do co piątej wsi nic nie dojeżdża.

Eskimosi

Tak o sobie mówią mieszkańcy Lisek. „Bo jak Eskimosi jesteśmy odcięci od świata" – twierdzą.

Liski to wieś na Mazurach. 300 mieszkańców. Jedno skrzyżowanie, sklep spożywczy, szkoła podstawowa. PRL-owskie bloki odcięte od jezdni szpalerem drzew. Pomiędzy garażami na krzesełkach przysiadły sąsiadki. Wspominają.

Odcięcie Lisek nastąpiło kilkanaście lat temu. Nikt nie pamięta dokładnie, kiedy. Na początku, jak PGR zamknęli, to praca była jeszcze w mieście. Wieś codziennie dojeżdżała do fabryki sklejki, masarni albo na roboty do burmistrza. Pierwszy autobus odjeżdżał o wpół do szóstej, potem o siódmej, po ósmej, dziewiątej, dziesiątej... – szło ich mnóstwo.

Wolna Polska przyniosła wolny rynek, a wraz z nim podwójną przewozową ofertę. Do sprywatyzowanego PKS-u dołączył lokalny przewoźnik: firma Kazek. Miał zwyczaj, że podjeżdżał swoim busikiem parę minut przed autobusem.

Bożena, która na szóstą dojeżdżała do burmistrza na pielenie kwiatów: – Wsiadało się do tego, co szybciej. Człowiek nie myślał, że sam sobie sobie pętlę na szyję kręci...

Bo finał był taki, że PKS-owi nie opłacało się jeździć przez Liski. Polikwidował kursy. A wtedy Kazek, zamiast napawać się wygraną, zaczął ciąć swoje połączenia. Zostawił te najpopularniejsze. W końcu przestał jeździć w ogóle.

– Niektórzy mówili: „Boże, co my teraz zrobimy, co zrobimy?" – wspomina Bożena.

Przez busiki Maria straciła pracę, a Irena – emeryturę. Wszystko przez to, że w ZUS-ie do stażu nie chcieli jej zaliczyć 13 lat pracy sezonowej w PGR-ze. Odwoływała się, znalazła świadków, jeździła na rozprawy. – Jak zabrali pekaesy, to nie miałam już jak do tego sądu się dostać. Machnęłam ręką. Żyjemy z męża emerytury. 1500 złotych. Luksusów nie potrzebuję. A na sprawiedliwość poczekam do Pana Boga.

Powiew Zachodu

– Po transformacji nikt nie zadbał o to, żeby sprywatyzowane PKS-y dalej jeździły. Samorządy nie podpisywały z nowymi właścicielami żadnych umów na dalsze prowadzenie działalności – opowiada Karol Trammer, specjalista od transportu publicznego, redaktor naczelny magazynu „Z biegiem szyn".

Bo PKS-y wcale nie muszą służyć do transportu. Świetnie nadają się też do spekulacji gruntami. Wymarzony pomysł na biznes: kupić upadające autobusowe przedsiębiorstwo tylko po to, żeby na dworcu zrobić centrum handlowe. Przykład? PKS Zakopane, który w 2005 r. od wojewody małopolskiego Jerzego Adamika odkupiła firma MK Projekt. Zdziwienie w Zakopanem było niemałe, bo do przetargu stanęły dwie firmy transportowe, a wygrała trzecia, zajmująca się deweloperką. Dziś po PKS Zakopane nie ma śladu. Za to na miejscu bazy autobusowej wyrósł apartamentowiec.

Przewoźników zabili też busiarze. Boleśnie przekonano się o tym w Bieszczadach. W 2013 r. w Ustrzykach Dolnych, Sanoku i Brzozowie mieszkańcy mogli otwierać szampana. Lokalny PKS przejęła międzynarodowa korporacja Arriva. Powiało Zachodem. Dość powiedzieć, że autobusy z Rzeszowa do Sanoka jeździły co godzinę, na krótszych odcinkach – nawet co pół godziny. Słowem – bajka.

Radość trwała cztery lata. Arriva może sobie jeździć po całej Europie, ale polskiej specyfiki busowej nie przewidziała. Czyli: podjeżdżania „tuż przed" przez konkurencję, która gwizdała na rozkład jazdy i zatrzymywała się poza przystankami. W 2017 r. korporacja opuściła Bieszczady.

– Arriva musiała przejść całą urzędniczą ścieżkę, żeby zdobyć zezwolenia na wykonywanie połączeń. Takich problemów nie mieli zaprzyjaźnieni z wójtami lokalni busiarze – opowiada Trammer.

TOMASZ FRITZ / AGENCJA GAZETA

Sytuacja opanowana

A jak w Liskach poradzili sobie z autobusowym końcem świata? Na przykład tak jak mąż Bożeny, który codziennie maszerował pięć kilometrów do Borek, żeby złapać transport do pracy. Albo tak jak ona, która znalazła, dzięki Bogu, pracę w szkole w Liskach. O dojazd nie musiała się martwić.

Ktoś inny się zastawił, żeby kupić samochód, choćby największego grata. Jeden z drugim się dogadał, dobierali się w cztery osoby i jednym wozem jechali do fabryki czy na budowę. Ludzie rzucili się na kursy prawa jazdy. Nawet kobiety. Szkoły jazdy miały wtedy raj.

Maria nie zrobiła prawka, została w domu. – Potem mnie sołtys przyjął do świetlicy wiejskiej. Ale co to tam była za praca! Na dziewięć miesięcy dali robotę, a na trzy nie dali. Potem dali na pół roku – i znowu przerwa. Nawet zasiłku z tego nie było, bo do niego trzeba cały rok przepracować – wspomina.

Bożena pamięta sąsiadkę, która pracowała w Kauflandzie. Nie miała samochodu, jej mąż zmarł. Spakowała młodsze dzieciaki, wynajęła stancję w Piszu. To i tak taniej ją wyszło niż płacenie za taksówki. Jej starsze chłopaki zostały same w domu w Liskach.

Sytuację transportową udało się opanować głównie za pomocą volkswagenów passatów. Teraz w każdej rodzinie są po trzy, cztery samochody. Tylko że taki dojazd to są koszty. Córka Bożeny, kiedy dojeżdżała do pracy w Biedronce, na paliwo wydawała nawet 500 zł.

– W ogóle szefowie w tych Biedronkach jacyś nieludzcy. Przecież wiadomo, że dziewczynom z jednej wioski mogliby tak grafik ustawić, żeby sobie dojeżdżały razem – mówi. – A gdzie tam! Tak grafiki ustawiają, że jedna na szóstą, druga na siódmą, każda musi brać swój samochód.

Błędne koło

Polska wpadła w błędne koło w kwestii transportu publicznego – stwierdza raport przygotowany przez ekspertów ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Zespół na zlecenie ministra infrastruktury przebadał sytuację w wybranych rejonach i porównał statystyki w całym kraju. Okazało się, że w latach 2005-12 liczba i długość linii regionalnych spadły o 40 proc. Padł PKS w Nowym Sączu i Krakowie, Zakopanem i Ciechanowie, Cieszynie i Lublińcu. Inne dogorywają.

Efekt to właśnie błędne koło. Działa to tak: kiedy przewoźnicy tną kursy, skracają relacje, ograniczają ofertę, stopa życiowa mieszkańców pikuje. Nie mają jak dojechać do sklepów, banków i szkół. Dlatego kolejne placówki upadają. Mieszkańcy przenoszą się do większych miast. Prowincja się wyludnia. Zostają głównie osoby starsze, które nie muszą dojeżdżać codziennie do pracy. Przewoźnikom spadają wpływy z biletów, w efekcie więc tną kursy, skracają relacje, ograniczają ofertę...

– Raport SGH jasno pokazał, jakie są skutki braku dobrego transportu publicznego. W Nowym Sączu urząd pracy proponował zatrudnienie w gastronomii i turystyce. Wszystko super, tylko że ta robota kończyła się o godzinie 22. Mieszkańcy wsi oddalonych o 15 kilometrów nie mieli jak wrócić do domów – opowiada Trammer.

Dlatego w Polsce łatwiej wyjechać do Niemiec czy Holandii, niż dojechać do pracy w najbliższym mieście. Uczniowie też szybko odkrywają, że bez samochodu nie dotrą do lepszego liceum. Od razu po osiemnastce robią prawo jazdy.

– Uczymy ich, że transport publiczny nie działa. Kiedy już przeprowadzą się do miast, nie przesiądą się do tramwajów i autobusów. Wychowujemy kolejne pokolenia kierowców. Tak korkujemy metropolie – dodaje ekspert.

Nawet Pisz stoi w korku

– Z komunikacją nie ma najmniejszego problemu – twierdzi Michał, który trasę Liski–Pisz pokonuje własnym samochodem. Jeśli już musi jechać do miasta, bo zwykle pracuje za granicą.

Michał wspomina: dziesięć lat temu kobiety w Liskach siedziały w domach, nie pracowały. Teraz to się zmieniło. Większość pracuje, ma prawo jazdy. Każdy kupił samochód. Standard życia się podniósł. I to jest postęp. Teraz nikt ci nie powie, że jesteś wieśniakiem. Żyjesz na tym samym poziomie, co ludzie w mieście. Problemu z transportem po prostu nie ma.

Damian, sąsiad Michała, ma obiekcje. Robi w Piszu wykończeniówki, wcześniej osiem lat pracował w Niemczech.

– Jak to możliwe, że na Zachodzie opłaca się jeździć komunikacją, a u nas nie? – pyta. – Weźmy Frankfurt. Tam sobie wsiądziesz do metra i w pół godziny jesteś na przedmieściach. A samochodem w półtorej. U nas nawet malutki Pisz stoi w korku. Dziesięć przed trzecią jeszcze puściutkie ulice, o trzeciej zaczyna się sodoma i gomora. Już możesz tylko na jedynkę wrzucić, szybciej nie pojedziesz.

Z tym, że autobusy nie są potrzebne, Ewa by się do końca nie zgodziła. Jej mąż co prawda ma samochód, ale dojeżdża do pracy i zostawia ją w domu samą. Jeśli ↦

Ewa musi jechać z małym do miasta, to zaczyna się proszenie bratowej albo sąsiadów. O szukaniu pracy może zapomnieć.

Anita też by się za autobus nie obraziła. Właśnie wróciła z Holandii. Dziesięć lat przesadzała papryki w szklarni. Chciałaby zostać w Liskach na stałe, co może być trudne. No bo jak tu znaleźć pracę, gdy nie masz do niej jak dojechać?

Jedno jest pewne: z autobusowej zapaści cieszą się taksówkarze. Najlepsze dla nich są dni targowe – wtorek i piątek. Anita dobrze ich poznała, jak przyjeżdżała z Holandii na urlopy. Umawiała się do lekarza i dentysty, a na każdą wizytę musiała dojechać taksówką. W tydzień czy dwa płaciła po 300 złotych. Siedemdziesiąt złotych od kursu w dwie strony. Taksówkarze w Piszu nie mają na co narzekać.

Procesy dziejowe

W 2009 r. Ministerstwo Skarbu Państwa wystawiło mazowieckie PKS-y na sprzedaż. Do resortu trafiła propozycja od samorządów.

– Nie prywatyzujcie! My weźmiemy PKS Ostrołęka – proponował prezydent miasta i lokalni starostowie. „Niestety ministrowie rządu PO kategorycznie i bez uzasadnienia odrzucili nasze pomysły" – przypominali niedawno urzędnicy na magistrackiej stronie internetowej.

Firma Mobilis za sześć mazowieckich PKS-ów zapłaciła 77 mln zł. W umowie obiecała inwestycje na 100 mln, w tym zakup ekologicznego taboru.

– Oferta inwestycyjna Mobilisu zakładała ceny autobusów o połowę niższe od rynkowych. Ministerstwo po prostu zgodziło się na ich ofertę. Nie było żadnych negocjacji – twiedzi Karol Trammer.

Prywatyzacji przyglądały się NIK i CBA. Nie znaleziono uchybień. W lutym tego roku Mobilis ogłosił, że zamyka kursy PKS-ów w Bartoszycach, Przasnyszu, Ostrołęce, Ciechanowie i Mińsku Mazowieckim. W Płocku i Ostródzie tnie połączenia.

Prezes Mobilisu Dariusz Załuska w rozmowie z „Transportem Publicznym" żalił się, że liczba pasażerów spadła mu o 30 proc. Winna jest demografia i moda na samochody. Procesy dziejowe po prostu.

– PKS-y próbując ratować się w kryzysowej sytuacji, popełniają wiele błędów – mówi Trammer.

Na przykład Mobilis obsługiwał kurs Płock–Psary. Przy okazji chciał też obskoczyć wszystkie okoliczne miejscowości.

> Uczniowie bez samochodu nie dotrą do lepszego liceum. Uczymy ich, że transport publiczny nie działa. Kiedy przeprowadzą się do miast, nie przesiądą się do tramwajów i autobusów. **Tak korkujemy metropolie.**

Autobus wyjeżdżał więc z Płocka, objeżdżał okolicę i dopiero wjeżdżał do Psar. Zamiast 15, robił 40 kilometrów. Pasażerowie, którzy chcieli szybko dojechać do Psar, przesiedli się do samochodów.

Alternatywne rozwiązanie to krótkie kursy busów, które dowiozą mieszkańców z okolicznych wiosek do przystanku PKS. Tu przesiądą się do autobusu jadącego tylko wzdłuż drogi łączącej duże miasta.

– Do tego potrzeba fachowca, który podpowie szefom: „Zamiast ciąć, ulepszmy ofertę. Dołóżmy kursów. Za kilka lat zobaczymy zysk". Ale firmy przewozowe nie zatrudniają ekspertów. Nie mają pojęcia, jak robić transport – dodaje Trammer.

Już niedługo mieszkańcy z okolic Ostrołęki zaczną dojeżdżać do Warszawy nowo kupionymi samochodami. Zapewne tanimi, najbardziej trującymi gratami przyłączą się do potoku, który niemiłosiernie korkuje miasto. Cenę za brak PKS-ów zapłacą też mieszkańcy stolicy.

Byle do września

Jadwiga nie znosi wakacji. W wakacje nie jeździ autobus szkolny. Od września kierowca za pięć złotych zabiera pasażerów razem ze szkolną dziatwą. Bez niego Borki są odcięte od miasta.

Borki to cztery bloki z płyty. Sześć garaży, drewniane stodoły, traktory porzucone w polu. Trawniki pod blokami zastawione bmw, oplami, citroënami C5. Przy klatkach schodowych rowery, bo od biedy z Borek do Piszu da się dojechać na dwóch kółkach.

Wie o tym Adam, który codziennie – śnieg nie śnieg, deszcze nie deszcz – wstawał po czwartej, żeby zdążyć do roboty. Rowerem dziesięć kilometrów, potem jeszcze tylko dziesięć godzin na budowie i powrót. W domu zdążył zjeść obiad i pójść spać. Na nic innego nie miał siły. Rok temu kupił pierwszy samochód. Passata.

Za to Jadwiga jest skazana na szkolny autobus. Ewentualnie: na karetkę. Karetka zabiera mamę Jadwigi na dializę. Jadwiga razem z nią dojeżdża do szpitala, pomaga wynieść mamę z ambulansu, potem ma czas na zakupy. Nie musi wystawać przy drodze, jak starsze sąsiadki, które czekają, aż ktoś się zlituje i podwiezie je do miasta. Na szczęście zawsze ktoś się znajdzie. Bez autobusów ludzie muszą trzymać się razem.

Samorządy w ping-pongu

Zapytany o kryzys w mazowieckich PKS-ach marszałek Adam Struzik powiedział, że na dotowanie połączeń autobusowych zwyczajnie go nie stać.

– Mamy jedyny w Unii Europejskiej system, który nie wskazuje jasno szczebla samorządu odpowiedzialnego za organizację przewozów autobusowych – mówi Karol Trammer. – A bez pomocy samorządów transport nie ma zapewnionego finansowania.

Co prawda ustawa o publicznym transporcie zbiorowym mówi wprost: za komunikację na szczeblu wojewódzkim odpowiada marszałek. Za powiatową – powiaty. Co nie przeszkadza rzeczniczce Struzika w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" opowiadać: marszałek nie wyobraża sobie finansowania pojedynczych linii. Za to powiaty – o, to co innego! One powinny wyłożyć pieniądze. Ten samorządowy ping-pong trwa od lat. Efekty widać w gminie Bulkowo, gdzie po obcięciu kursów mieszkańcy stracili transport do Płocka. „Nie mamy możliwości dojazdu do lekarza czy do pracy. To katastrofa, jesteśmy odcięci od miasta" – napisała do lokalnego portalu pani Kasia.

Biznes to biznes

W Borkach, które ten scenariusz przerabiały 15 lat temu, mieszkańcy podjęli kolejną straceńczą walkę. W zeszłym roku zbierali podpisy, pielgrzymowali do sołtysa, żeby załatwił autobus. Ten, co jedzie z Łomży, mógłby po drodze zajechać też do Borek, prawda? Sołtys poszedł negocjować z przewoźnikiem. Z firmy odpisali, że im się nie opłaca. Biznes to biznes.

© BARTOSZ JÓZEFIAK

Niektóre imiona zostały zmienione.

Legionista Pio

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Gdańskie Muzeum II Wojny Światowej pod nową dyrekcją poszerza grono postaci, które mają związek z polską niepodległością.

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Dr Karol Nawrocki, dyrektor Muzeum II Wojny Światowej. Gdańsk, październik 2017 r.

Trwa dostosowywanie wystawy głównej do polityki historycznej rządu, zmieniono ofertę muzealnego sklepu: znalazła się w nim „odzież patriotyczną" marki Red Is Bad. W roli wykładowców w Muzeum zaczęły występować postaci tak skompromitowane jak Leszek Żebrowski, współpracownik Ruchu Narodowego, znany z antysemickich wypowiedzi i negowania ustaleń nt. zbrodni w Jedwabnem czy pogromu kieleckiego.

WŁAŚNIE OKAZAŁO SIĘ, że w Muzeum jest też miejsce dla wydarzeń religijnych: 28 i 29 września odbył się tam II Kongres św. Ojca Pio. Muzeum zorganizowało go wspólnie z Prowincją Krakowską Zakonu Kapucynów i Sanktuarium Matki Bożej Fatimskiej w Polanicy-Zdroju, pod hasłem „50 lat od przejścia do domu Ojca, 100 lat od otrzymania stygmatów".

Jak pisali w komunikacie prasowym kapucyni: „Wierni przez cały czas trwania kongresu mieli możliwość uczczenia dwóch wyjątkowych relikwii Świętego Stygmatyka. Jedną z nich stanowi rękawiczka, którą zasłaniał stygmaty prawej dłoni, drugą chusta, którą okrywał ranę boku". Warto zaznaczyć, że – choć Muzeum z pewnością dysponuje przestrzenią po usuniętych fragmentach wystawy – relikwie pokazywano w kościele św. Jakuba Apostoła.

W salach Muzeum odbyło się za to 18 debat. Dyrektor placówki dr Karol Nawrocki wystąpił w panelu inauguracyjnym, zatytułowanym „Ludzie w walce przeciwko złu", a wicedyrektor ds. edukacji i zbiorów Tomasz Szturo – w panelu „Wolność nie jest nam dana raz na zawsze". Na Kongresie pokazali się też inni oficjele: wiceminister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Jarosław Sellin oraz dyrektor Biura Edukacji Narodowej IPN Adam Hlebowicz. Wiceprezes Poczty Polskiej Wiesław Włodek wypowiadał się w panelu „Umiłowanie krzyża zawsze było znakiem wyróżniającym dusze wybrane", a wiceprezes spółki Energa SA Grzegorz Ksepko w debacie „Łatwo wieść życie, gdy jest ono wolne od nieszczęść".

Poza przedstawicielami państwa, duchownymi i zaangażowanymi religijnie świeckimi na liście zaproszonych gości znalazła się dr Ewa Kurek, która zasłynęła twierdzeniami, że getta były „autonomicznymi prowincjami żydowskimi" i że „żydowskich szmalcowników było więcej niż polskich". Dr Kurek uważa też, że podczas wojny zginęli „ci najbardziej uczciwi, porządni Żydzi – a to, co zostało, to jest osobna bajka", zaś w Polsce po 1945 r. „trudno nie było być antysemitą". Na Kongresie wystąpiła w dyskusji pt. „Nie walczy się siłą ciała, ale mocą duszy".

SKĄD POMYSŁ, żeby o ojcu Pio debatować w Muzeum II Wojny Światowej? Zapytałam o to rzecznika Muzeum, Aleksandra Masłowskiego. „Kongres św. o. Pio jest jedną z wielu imprez o charakterze społecznym, w których Muzeum występuje w charakterze współorganizatora – odpisał. – Składają się na nie spotkania takie jak Kongres, ale również festiwale, imprezy plenerowe i sportowe. W ten sposób Muzeum realizuje swoją misję obecności w życiu społecznym, dzięki czemu może docierać ze swoim przekazem merytorycznym do szerszej grupy odbiorców".

Na pytanie, jak organizacja wydarzeń religijnych w placówce państwowej ma się do zasady rozdziału Kościoła od państwa, Masłowski odpowiedział: „Chciałbym zwrócić uwagę na brzmienie Art. 25 ust. 3 Konstytucji, do którego Pani pytanie zapewne nawiązuje. Przepis ten mówi wyraźnie o współdziałaniu dla dobra człowieka i dobra wspólnego [pełne brzmienie tego ustępu to: „Stosunki między ↦

↦ państwem a Kościołami i innymi związkami wyznaniowymi są kształtowane na zasadach poszanowania ich autonomii oraz wzajemnej niezależności każdego w swoim zakresie, jak również współdziałania dla dobra człowieka i dobra wspólnego" – przyp. KB]. Kongres św. o. Pio był wprost realizacją tej właśnie dyspozycji Ustawodawcy". Otrzymałam również zapewnienie, że Muzeum nie finansowało Kongresu – „przeciwnie, odnotowało w związku z jego trwaniem znaczący wzrost przychodów ze sprzedaży biletów i artykułów oferowanych w sklepie muzealnym, a także z wynajmu pokoi hotelowych".

O związkach Muzeum z ojcem Pio dokładniej pisał w komunikacie prasowym br. Mateusz Magiera, rzecznik Prowincji Krakowskiej Zakonu Kapucynów: „Bóg, honor i Ojczyzna – te trzy wartości przyświecały Polakom od wielu pokoleń. Jubileusz Świętego Ojca Pio łączy się z jubileuszem 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Muzeum II Wojny Światowej, w którym odbył się kongres, to miejsce nieprzypadkowe. Podczas osiemnastu debat i paneli staraliśmy się spojrzeć oczyma św. Ojca Pio na naszą wiarę oraz relację z Panem Bogiem. Nie zabrakło również spotkań poświęconych odwadze i honorowi obrońców naszej Ojczyzny. W ten sposób oddaliśmy hołd wielkim Polakom". Można by z tego wywnioskować, że o. Pio był Polakiem, z honorem walczącym o odzyskanie niepodległości ojczyzny w II wojnie światowej.

BRAK LOGICZNEGO ZWIĄZKU między postacią świętego a polską historią nie przeszkadzał wiceministrowi kultury i dyrektorowi placówki, gdy zabierali głos w inauguracyjnej dyskusji. „Jarosław Sellin przypomniał zebranym, że każdy powinien dążyć do świętości, bez względu na to, jaką funkcję pełni. Dodał również, że o pokój duszy i pokój sumienia trzeba walczyć" – czytamy na stronie internetowej kapucynów.

Z kolei ze strony Muzeum (zakładka „Nauka") dowiadujemy się, że „Jarosław Sellin podzielił się z zebranymi swoim refleksjami związanymi z wizytą w więzieniu na Rakowieckiej, gdzie powstaje Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL: (...) »To co wyciągnięto z Łączki i tam się eksponuje, to są prawie wyłącznie religijne artefakty – to są krzyże, to są fragmenty różańca. (...) To jest sakralne miejsce dzisiaj to więzienie na Rakowieckiej, dzięki temu jakie świadectwo dawali Ci ludzie do samego końca«" (tu i niżej pisownia oryginalna). W muzealnej relacji cytowany jest też dyrektor placówki Karol Nawrocki: „W kontekście Świętego Ojca Pio widzimy jak ciężkiej pracy wymaga dojrzewanie do gotowości do poświęceń. Przeciwstawianie się złu wymaga ogromnego poświęcenia i gotowości do służenia, czy człowiekowi, czy Panu Bogu".

NAPISAŁAM DO WSZYSTKICH urzędników państwowych i prezesów spółek skarbu państwa, którzy brali udział w Kongresie. Pytałam, co ich instytucje mają wspólnego z Ojcem Pio.

Pierwszy odpowiedział Adam Hlebowicz z IPN: „Szanowna Pani, skoro Pani nie uczestniczyła w Kongresie to jak chce o nim pisać? Pani pytania zdradzają intencję. Wystarczy wczytać się w program tego wydarzenia, żeby oddzielić część ściśle konfesyjną od dyskusyjnej, w tym poświęconej historii. Od lat badam historię Kościoła katolickiego w ZSRS. We wspomnieniach tamtejszych duchownych pojawiają się zapiski odnoszące się do nieznanego im z nazwiska zakonnika z Italii, który gromadzi wokół siebie tłumy ludzi. Ten okres historii jest przedmiotem badań Instytutu Pamięci Narodowej. O tym mówiłem m.in. w bardzo ciekawej dyskusji na Kongresie. Ale Pani przecież chce usłyszeć coś innego. Ukłony".

Odpowiedziała również rzeczniczka Poczty: „Poczta Polska wprowadziła do obiegu znaczek emisji Święty Ojciec Pio. W ramach promocji tej, jak i innych naszych emisji filatelistycznych, bierzemy udział w wydarzeniach i eventach dotyczących tematów emisji".

Od wiceprezesa Energi i wiceministra kultury nie dostałam odpowiedzi.

OCZYWIŚCIE, OBECNA WŁADZA nie jest pierwszą, która zaciera granice między tym, co świeckie, a tym, co religijne. Robi to jednak z gorliwością, doprowadzając do sytuacji, które narażają na śmieszność i państwo, i Kościół.

©℗ KALINA BŁAŻEJOWSKA

TP

Kluby „TP" zapraszają

BIELSKO-BIAŁA
▪ **wtorek, 16.10, godz. 17.30**
Spotkanie „Ekumenizm – lepsza droga do celu". Gościem będzie: ks. prof. Andrzej Perzyński. Miejsce: LO Towarzystwa Szkolnego (ul. Frycza Modrzewskiego 12).

KRAKÓW
▪ **sobota, 13.10, godz. 18.00**
Debata „Państwo świeckie po chrześcijańsku urządzone?". Udział wezmą: prof. Ewa Łętowska, prof. Andrzej Zoll, dr Radosław Ptaszyński. Miejsce: Duża Aula PAU (ul. Sławkowska 17, I piętro).
▪ **niedziela, 14.10, godz. 18.00**
Debata „Spotkanie mimo różnic. O wyjściu z kryjówki i dialogu w praktyce". Gośćmi będą: Zuzanna Radzik, Justyna Dąbrowska, Ignacy Dutkiewicz, Jakub Wygnański. Miejsce: Herbewo (ul. Lubelska 29).

SŁUPSK
▪ **środa, 17.10, godz. 17.00**
Spotkanie „Nadstaw drugi policzek". Gościem będzie: ks. prof. Janusz Lemański. Miejsce: Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3).

WARSZAWA
▪ **czwartek, 11.10, godz. 19.00**
Spotkanie „Emancypantka. Kobiety, które zbudowały Kościół". Gościem będzie: Zuzanna Radzik. Prowadzenie: Aleksandra Klich. Miejsce: Sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro).

ZIELONA GÓRA
▪ **wtorek, 16.10, godz. 17.00**
Spotkanie „Stanisław Stomma – człowiek polsko-niemieckiego pojednania". Gościem będzie: dr Wolfgang Pailer. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

KOSZALIN
▪ **czwartek, 18.10, godz. 18.00**
Spotkanie „Posługa kapelana wojskowego podczas misji zagranicznych". Gościem będzie ks. ppłk dr Mariusz Śliwiński. Miejsce: salka przy Katedrze (ul. Chrobrego 7).

ANNA

Dziewit-Meller: *Wszystkie mózgi, duże i małe*

Tegoroczna Nagroda Nobla z fizyki przypadła trójce naukowców – Amerykanin Arthur Ashkin otrzymał ją „za stworzenie optycznych szczypiec oraz opracowanie ich zastosowania", zaś francusko-kanadyjski duet Gérard Mourou i Donna Strickland „za opracowanie technologii wykorzystania ultrakrótkich optycznych impulsów o wysokiej intensywności". Dzięki ich odkryciu możliwe stało się skracanie impulsów lasera, co pozwala dużo dokładniej badać dany obiekt. Do tej pory – gdy impuls skracano – słabła jego moc, wynalazek Mourou i Strickland powoduje zaś, że bez rezygnacji z dokładności – moc zostaje zachowana. Otwiera to drogę do jeszcze lepszego wykorzystania laserów w medycynie, co już się zresztą dzieje w mikrochirurgii oka przy operacjach siatkówki.

Tegoroczna Nagroda jest jednak ważna także z innego względu: oto Komitet zwrócił na siebie uwagę tym, że po raz TRZECI w historii Nagroda Nobla z fizyki trafiła do kobiety. Przed Donną Strickland Nobla odebrały dwie fizyczki – i co ciekawe, a o czym jakoś zupełnie się zapomina, przywołując te poprzednie laureatki – związane z Polską. Maria Skłodowska-Curie w 1903 r. otrzymała Nagrodę za badania nad promieniotwórczością, a urodzona w Katowicach Maria Göppert-Mayer w 1963 r. za odkrycia związane z powłokowym modelem jąder atomowych.

Tymczasem werdykt Komitetu Noblowskiego niemal zbiegł się w czasie z wielką aferą w świecie fizyki, która – ze względu na przytłaczającą liczbę innych afer, jakie mamy dziennie do śledzenia – mogła państwu umknąć. A moim zdaniem jest ona naprawdę warta uwagi, nie mniej niż dajmy na to stanowczo zbyt nagłaśniane kolejne objawienia posła Tarczyńskiego (prowadzę bowiem małą kampanię: „pomóż Polsce, nie cytuj szkodnika").

Oto w genewskiej siedzibie CERN zasłużony profesor Uniwersytetu w Pizie Alessandro Strumia w pełnej pasji czy wręcz – nie bójmy się tego słowa – pełnej furii przemowie, wygłoszonej podczas odczytu o roli kobiet w historii nauki, dowodził, stojąc przed gremium złożonym zresztą głównie z kobiet-fizyczek, jakoby nauka, a osobliwie fizyka była „zbudowana przez mężczyzn", co jednak nie jest, zdaniem profesora, przejawem żadnego seksizmu. Wszystko to dlatego, że „mężczyźni wolą pracę z rzeczami, a kobiety – z innymi ludźmi", co według naukowca może być dowodem na większe predyspozycje mężczyzn do zajmowania się fizyką. Co gorsza – powiada Strumia – polityczna poprawność naszych czasów odbija się czkawką naukowcom płci męskiej, albowiem dziś to oni są ofiarami potężnej dyskryminacji w świecie nauki. Fory, jakie zdaniem Włocha daje się kobietom choćby w jego dziedzinie, są nie do zaakceptowania. Reakcja była natychmiastowa, władze CERN zawiesiły go, dzięki czemu profesor Strumia natychmiast stał się męczennikiem wielkiej sprawy – walki z przeklętą „poprawnością polityczną", utwierdzając sobie podobnych w przekonaniu o poprawnościowym lobby, które trzęsie nauką.

Tymczasem gdy wiadomość o Noblu dla Donny Strickland poszła w świat, ludzie rzucili się do internetu, by szukać informacji o noblistce. Ku zaskoczeniu wszystkich Strickland nie miała swojego hasła w Wikipedii. Okazało się bowiem, że jeszcze w maju 2018 r., dosłownie na chwilę przed Noblem, redaktorzy Wikipedii uznali, że jej osiągnięcia są zbyt mało ważne dla nauki, by poświęcać im cenne miejsce na serwerach. Jedyna wzmianka, którą można było wówczas o niej znaleźć, to ta znajdująca się w artykule o jej współpracowniku Gérardzie Mourou. Nie mniej zdumiała opinię publiczną informacja, że Strickland nie otrzymała jeszcze tytułu profesora na swoim macierzystym uniwersytecie Waterloo w Kanadzie, najwyraźniej nieuznającym wyników jej pracy za wystarczająco przełomowe, by móc uczynić ją prawdziwym profesorem. Typowe fory – wiadomo przecież nie od dziś, że co cię nie zabije, to cię wzmocni.

Czytając o Strickland, przypomniałam sobie zamieszczony w sieci przed kilkoma dniami fragment podręcznika Joanny Białobrzeskiej dla klas drugich „Ja, Ty – My. Ala i Adam na tropach zaginionego skarbu". „Nie bardzo rozumiem, co to jest intelekt" – przyznaje jedna z bohaterek, ciesząc się, że nie jest podobna do swego brata, który jest brzydki (sic!), ale „jak mówi mój tata, nie uroda jest [mu] potrzebna, tylko spryt, siła i intelekt". Typowe fory. Typowe!

Sto lat temu warszawski neurolog, publicysta i filozof medycyny Henryk Nusbaum orzekł, że kobieta nie może studiować z powodzeniem medycyny, ponieważ ma zbyt mały mózg. Jej serwer jest zbyt niepojemny, niemal jak Wikipedia. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 297/17 postępowanie z wniosku Asekuracja sp. z o.o., o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Gorzelańczyk, zm. 17 października 2016 r., ostatnio zamieszkałej w Górze, gm. Jaraczewo. W skład spadku po zmarłej wchodzi udział w prawie własności nieruchomości położonej w Górze, o powierzchni 0,1000 ha.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Międzyrzeczu pod sygn. akt I Ns 19/18 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Inspektorat w Sulęcinie, o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym 27 sierpnia 2015 r. w Skwierzynie Janie Danielaku, s. Henryka i Wiesławy, z domu Danielak. W skład spadku nie wchodzi nieruchomość.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i udowodniły nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięte w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Medal Św. Jerzego A.D. 2018

REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” od 25 lat przyznaje Medale Św. Jerzego, honorową nagrodę za „zmaganie ze złem i uparte budowanie dobra w życiu społecznym”.

W tym roku kapituła Medalu (ks. Adam Boniecki, Piotr Mucharski, Władysław Stróżewski, Andrzej Zoll) przyznała go Ewie Błaszczyk, fundatorce i prezes Fundacji Akogo? oraz arcybiskupowi Wojciechowi Polakowi, prymasowi Polski. „Powierz Panu swą drogę, zaufaj Mu, a On sam będzie działał. On sprawi, że Twa sprawiedliwość zabłyśnie jak światło, a prawość Twoja jak blask południa” – tak brzmią słowa Psalmu 37. w tłumaczeniu Marka Skwarnickiego, wyryte na Medalu.

GŁÓWNY MECENAS

MANTA
Polska firma rodzinna

GŁÓWNY PARTNER

Kraków

PARTNERZY UROCZYSTOŚCI

Ogrodzonej Adwokatury Polskiej 100 LAT 1918 - 2018
ZAiKS Stowarzyszenie Autorów
FCA

znak
Quad

manggha
CAFÉ MANGGHA
Poleski Hotel
DOM WINA

Medale Św. Jerzego w poprzednich latach otrzymali:

- ks. Arkadiusz Nowak (1993)
- Janina Ochojska, Jacek Kuroń (1994)
- Jerzy Adam Marszałkowicz (1995)
- s. Małgorzata Chmielewska, Marek Nowicki (1996)
- Zofia Tetelowska, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, Jerzy Owsiak (1997)
- Krystyna Mrugalska, bp Tadeusz Pieronek (1998)
- Marek Edelman, abp Alfons Nossol (1999)
- Krzysztof Czyżewski, Tadeusz Mazowiecki (2000)
- Zbigniew Gluza, ks. Jan Sikorski (2001)
- Ewa Woydyłło-Osiatyńska, Leon Kieres (2002)
- Adam Michnik, Václav Havel (2003)
- Stana Buchowska, Norman Davies (2004)
- prof. Barbara Skarga, abp Józef Życiński (2005)
- prof. Leszek Kołakowski, Anna Dymna (2006)
- Anna Otffinowska, rabin Michael Schudrich (2008)
- Krystyna Starczewska, Leszek Balcerowicz (2009)
- ks. Wacław Hryniewicz, Aleksander Gurjanow (2010)
- prof. Jerzy Jedlicki, o. Ludwik Wiśniewski (2011)
- Danuta Wałęsa, ks. Andrzej Augustyński (2012)
- Agnieszka Holland, ks. Michał Heller (2013)
- ks. Jan Kaczkowski (2015)
- Giusi Nicolini, Karol Modzelewski (2016)
- Maria Dąbrowska-Majewska, Adam Strzembosz (2017)

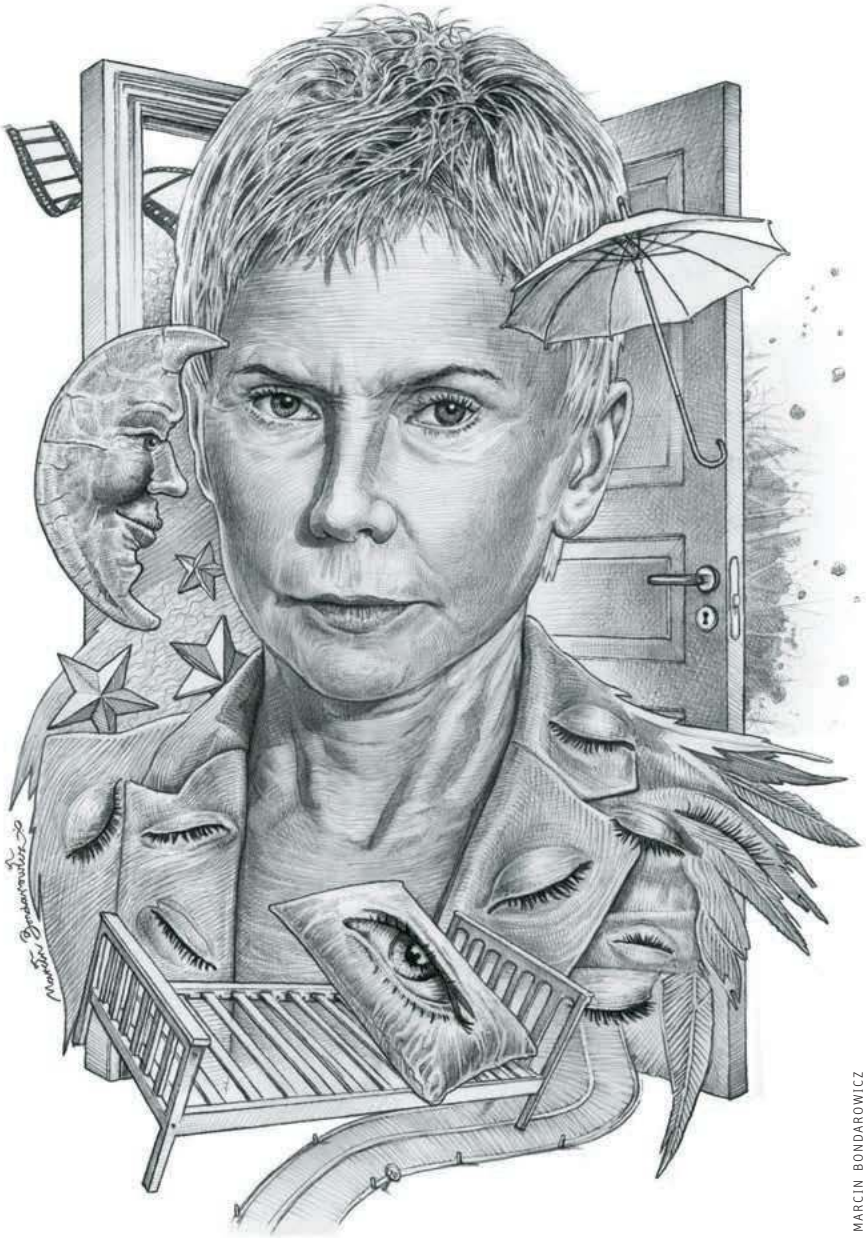

MARCIN BONDAROWICZ

A kogo to obchodzi

ANNA GOC

Uświadamiając, czym jest śpiączka, zakładając fundację, budując klinikę, Ewa Błaszczyk zadbała o tych, dla których w systemie służby zdrowia nie było dotąd miejsca.

1. Santorini, wyspa na Morzu Egejskim. Zdjęcia zestawione są parami. Najpierw te, na których są jeszcze wszyscy: Ewa Błaszczyk, Jacek Janczarski i ich dwie pięcioletnie córki bliźniaczki: Aleksandra i Marianna. Obok zdjęcia zrobione 10 lat później, na których brakuje Jacka i Oli.

Na tych pierwszych, z 1999 r., więcej jest spojrzeń w obiektyw: spod czapki z daszkiem, z odłożonymi na bok, noszonymi na co dzień okularami. Na tych drugich – więcej spojrzeń w dal, nieobecnych. Żartowali, że hotel Kazamiaki, w którym spędzili ostatnie wakacje we czwórkę, przyciągnął ich kiczem i przepychem, na który tak naprawdę nie było ich stać.

Za drugim razem przyśnił się Ewie przed przylotem – we śnie zostały z niego ruiny. „Zastałyśmy basen bez wody, odpadające tynki i suche palmy. Krajobraz zniszczenia" – mówiła, gdy sen się spełnił. Grała wtedy spektakl „Rok magicznego myślenia". „To z tej sztuki wyniknęła dla mnie potrzeba zamknięcia różnych etapów życia".

Na jednym ze zdjęć robionych po 10 latach obiektyw zatrzymuje chwilę, gdy Ewa wchodzi do pokoju, w którym łączyli łóżka, by spać we czwórkę: oni po bokach, dziewczynki – w środku. Na innym są razem z Marianną – Ewa stoi w pustym basenie, Marianna na trampolinie, z której 10 lat wcześniej wskakiwały z Olą do wody.

2. 23 stycznia 2000 r. karetka zabiera Jacka Janczarskiego z kolacji u znajomych. Po drodze Janczarski wspomina jeszcze o nieskończonym scenariuszu. Umiera po tygodniu od diagnozy – tętniak aorty. Ewa Błaszczyk mówi o nim: „Mogłam być przy nim taka... fiu, fiu. (...) Miałam luksus, że ktoś się mną opiekował". Gdy dowiedział się, że będą mieli bliźniaczki, i zauważył przerażenie Ewy, stwierdził: „Bliźniaki? Znakomicie. Mieć jedno to żadna sztuka!". Później żartował, że już do końca życia będą go kochały trzy kobiety.

To on zajmował się domem, gotował, troszczył o przyszłość rodziców Ewy, zamykał się w swoim pokoju, by pisać, i – tego będzie jej bardzo brakowało – otwierał drzwi domu, gdy wracała.

Sto dni później, 11 maja 2000 r., przeziębione dziewczynki dostają gripeksy i ice tea do popicia. Pierwsza połyka Marianna. Ola zaczyna się krztusić, robi się czerwona. Zdążyła jeszcze spytać: „Co się dzieje?".

O tym, co działo się później, Ewa Błaszczyk mówiła wielokrotnie w wywiadach. Choć nie od razu.

„To się stało w domu, tutaj. Nie nad morzem, kilkaset kilometrów stąd, nie pod kołami ciężarówki. Tutaj. Nie było krwi ani połamanych kości".

„Wydawało się, że tak blisko mamy z domu do szpitala. Sprawdzałam ↦

↦ wielokrotnie tę trasę. Podróż nie trwała dłużej niż cztery minuty. Do tego doliczyć trzeba minutę biegu po korytarzu. (...) Pięć minut od zatrzymania krążenia to całkiem niezły wynik. Niestety, sama reanimacja trwała bardzo długo. Chyba około czterdziestu minut. Był upał. To gorzej dla mózgu...".

„Mój brat Tomek po wypadku Oli woził w samochodzie jej buty, które zabrał po reanimacji ze szpitala. Nie wyciągał ich, by były pod ręką".

Po reanimacji w Szpitalu Bielańskim Ola zapada w śpiączkę. Jest na oddziale intensywnej opieki medycznej w szpitalu w Dziekanowie Leśnym.

„Olkę słychać było już w lesie, gdy dojeżdżałyśmy do Dziekanowa w czterdziestostopniowym upale. (...) Medycyna nazywa to krzykiem mózgowym. Występuje on u osób z uszkodzeniem mózgu. Ola leżała napięta jak struna, opierając się tylko na potylicy i piętach, i wyła. Nie do wytrzymania. Wariowali wszyscy – rehabilitanci, lekarze, pielęgniarki i my – rodzina".

Potem trafia na oddział neurologiczny w Centrum Zdrowia Dziecka. O Ewie Błaszczyk mówią tam „trudna matka". „Trudna" znaczy taka, która nie odpuszcza.

Gdy po siedmiu miesiącach Ola odzyskuje wzrok, Błaszczyk słyszy od lekarzy: „nie rokuje poprawy". I jeszcze, że w obecnym systemie dla Oli nie ma miejsca. Pada propozycja hospicjum.

Z tamtej rozmowy zapamiętuje uśmiech lekarza: „W szpitalu usłyszałam pytania, które mnie przeraziły. Pytania, jakie z uśmiechem i patrząc prosto w oczy zadaje się w takich sytuacjach wszystkim matkom i ojcom w Polsce: czy nie lepszym miejscem dla ich dzieci byłoby hospicjum... albo rodzinny dom dziecka, gdzie dzieci otacza się miłością...".

Odpowiada: „Zdecydowałam się uczynić z Oli dziecko nasze". „Dziecko wszystkich".

3. Nie może odwołać spektakli. W tym samym miesiącu gra m.in. w Budapeszcie w „Zachodnim wybrzeżu" Bernarda-Marie Koltèsa (w reż.Krzysztofa Warlikowskiego.

W pomoc włączają się jej przyjaciele.

Na zielonym pasku plakatu hasło: „Pomóżmy uratować życie Oli! Koncert dla Oli". Data i miejsce: 19 lutego 2001 r., godz. 19.00, Sala Kongresowa. Informacja, że całkowity dochód z koncertu przeznaczony jest na ratowanie życia Oli Janczarskiej (w nawiasie: dyżury pielęgniarskie, dodatkowa rehabilitacja – tego brakuje najbardziej). Pod nim zdjęcie Ewy z córkami. Wśród kilkudziesięciu nazwisk wykonawców są m.in. Krystyna Janda, Katarzyna Kowalska, Zofia Czerwińska, Marian Opania, Krzysztof Materna, Stanisław Soyka, Stefan Friedmann, Zbigniew Wodecki, Zbigniew Zamachowski, Krzysztof Kolberger. Koncert trwa pięć godzin.

To wtedy Ewa Błaszczyk mówi: „My to wam wszystko oddamy, jeszcze nie wiem jak, ale oddamy".

Zaczyna sprowadzać specjalistów. Wśród nich jest Franz Gerstenbrand, założyciel innsbruckiej kliniki neurologicznej. „Powiedział mi, że od wypadku Oli minęło już tak dużo czasu, że jej wybudzenie powoli przechodzi w kategorię cudu" – mówi Błaszczyk. I dalej: „Dziwił się, że w Polsce nie ma systemu opieki nad osobami w takim stanie jak Ola. On pierwszy powiedział, że skoro jestem osobą publiczną, to powinnam się tym zająć".

4. W 2002 r. Ewa Błaszczyk i ks. Wojciech Drozdowicz zakładają Fundację Ewy Błaszczyk Akogo?.

Idą nad Wisłę.

Błaszczyk: „Ale wiesz, to musi kogoś obchodzić".

Drozdowicz: „I obchodzi".

Błaszczyk: „A kogo?".

Pyta i przypomina sobie, że Ola często zadawała pytania: „a co?", „a kogo?". Przy tym zostają, zapisując celowo z błędem, łącznie.

W kolejnych wywiadach Ewa Błaszczyk mówi o tym, czym jest śpiączka.

„Bardzo często oczy są otwarte. Dziecko samo oddycha, przełyka, mruga".

„Zrobienie czegoś dwa razy jest już bardzo trudne. Trzeba policzyć, a nie każdy pamięta, co to jest liczenie. W ogóle z mruganiem jest problem, bo oko szybko wysycha i to powoduje ból, więc zraża do ćwiczeń".

„Bywa, że kiedy proszę ją o zrobienie jakiegoś ruchu, ona zaczyna szybko oddychać i mobilizować całe ciało. Najpierw nie może zrobić nic, ale w końcu z tego spięcia, z tej wielkiej woli – udaje się. Ale to jest cały proces. Długi i mozolny. Teraz pomyśl – jeśli jesteś niecierpliwa, nie czekasz na reakcję, wydaje ci się, że nic się nie dzieje, to jak ten ktoś, kto się tak stara, musi się wtedy denerwować, jak to go musi zniechęcać".

„Czasem Ola się śmieje. Nagle. Obserwuję ją od 14 lat. I nie wiem, skąd ten śmiech. Ale jeśli ona, pozostając w ciele, które nie funkcjonuje, zarykuje się ze śmiechu, to znaczy, że tam, gdzie jest w tym momencie, musi się dziać coś niezwykłego".

Równolegle fundacja zaczyna przygotowywać kampanie społeczne, uświadamiające, czym jest śpiączka. Powstają materiały dotyczące pierwszej pomocy. Pojawiają się spoty w reżyserii Jana Jakuba Kolskiego.

Pierwszy: „Święty Piotr". „Ale co ty tu robisz, dziewczynko. Przecież ty żyjesz" – pyta kilkuletnią dziewczynkę Franciszek Pieczka. „Ale oni mnie tam nie chcą. Bo ciągle śpię" – odpowiada dziewczynka.

Drugi: „Dysputa", w którym Borys Szyc i Jerzy Trela przeciągają łóżko z leżącym na nim dzieckiem. Szyc: „Nie żyje". Trela: „Żyje". Szyc: „Nic nie mówi, nie otwiera oczu. Nie żyje". Trela: „Żyje". Szyc: „Tyle czasu już tu leży bez ruchu. Nie żyje". Trela: „Żyje". Szyc: „Dlaczego nikt tu nie przychodzi, nie interesuje się?". Trela: „Nie wiem".

Na kolejnych pojawia się Ewa Błaszczyk z twarzą przysłoniętą folią. Słychać oddech. Hasła: „50 proc. osób w śpiączce zachowuje świadomość". „A kogo to obchodzi", „Moje. Rozpacz. Ból. Dziecko".

„Dziecko się nie budzi i nie umiera. Nigdzie nie ma dla niego miejsca. A rehabilitacja i dalsza pielęgnacja kosztuje majątek" – mówi Błaszczyk.

W liście do Boga pisze:

„Boże, staję przed Tobą z wiarą, że chcesz dobrze. I nie o dowody tu chodzi. Moje przekonanie jest budowane aktem woli. Ona codziennie musi się zapisywać od nowa, bez względu na wydarzenia. I to jest trudne.

Jest w tym Twoja wola, inaczej nie umiałabym wytłumaczyć sobie własnego działania. Uporczywie czepiam się sensu: tu się coś przerabia na coś. Na życie i działanie.

I że ja to wszystko wytrzymuję! I Ola! I to trwa dalej. Znów coś pozytywnego się na tym buduje.

To trudna droga, ale ona jest. Ewa".

Ola przechodzi operację kręgosłupa. Choruje na zapalenie płuc. Ma sepsę.

Marianna często towarzyszy mamie, także wtedy, gdy jadą do toruńskiej Fun-

dacji Światło „Mania zobaczyła tam całe miasto ludzi w takim stanie jak Ola. Uderzyło ją, że jest ich tak dużo i że trwają w śpiączce bardzo długo" – mówi Błaszczyk.

5. 26 marca 2008 r. startuje budowa kliniki Budzik. W lipcu 2013 r. przyjmowani są pierwsi pacjenci.

Architekci – Jacek Bolechowski i Wojciech Kielski – pracują za darmo. Józef Wilkoń przywozi swój prezent – rzeźbę, drewnianego Misia, który stoi naprzeciw wejścia. Anna Dymna na zakończenie budowy nagrywa piosenkę „Budzik", słowa pisze Jacek Cygan, muzykę Grzegorz Turnau.

„Obojętność to jest taka pani,
Która prośby dzieci miewa za nic, (...)
A Budzik? To jest taki mały ludzik,
Co pomaga budzić ludzi".

Do kliniki wchodzi się jak do wieży. Trzy piętra wznoszą się wokół okrągłej sali na parterze. Przy wejściu łóżko do pionizacji – dzieci położone w poziomie, przypięte, są powoli stawiane do pionu, by ciało przypomniało sobie, jak się funkcjonuje w tej pozycji. Na wielu sprzętach rehabilitacyjnych logo Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Obok oszklona winda, na tyle obszerna, by można było wjechać z łóżkiem.

Na ostatnim piętrze przesmyk łączący klinikę z warszawskim Centrum Zdrowia Dziecka, które gwarantuje zaplecze laboratoryjne, specjalistyczne, diagnostyczne, OIOM. Czyli bezpieczeństwo. Choć i tam jeszcze kilka lat temu byli lekarze, którzy nie wierzyli, że aktorka wybuduje klinikę. Pytali, czy w Budziku będzie też basen z delfinami.

Nie ma. Są za to: pokoje pielęgniarek, sale do masaży, hydromasaży, ćwiczeń rozluźniających, zajęć z komunikacji pozawerbalnej, muzykoterapii, aromaterapii. Gabinet psychologa, który pracuje także z rodzicami (to ważne, bo dzieci, które się wybudzą, czeka kolejna długa droga – rehabilitacji). Gabinet logopedy, który uczy niektóre dzieci przełykać. Pokój doświadczania świata, a w nim falujący materac, zapalające się diody, głośniki, na suficie imitacja nieba z gwiazdami i księżycem.

Są pokoje hotelowe dla odwiedzających i salonik wyciszenia z dużymi, miękkimi kanapami. Za rozsuwanymi drzwiami niewielka kaplica. Pachnąca jedzeniem kuchnia. Na korytarzach suszarki z rozwieszonym praniem.

I sale – dla piętnaściorga dzieci.

Pierwsza dziewczynka, która tu trafiła, została potrącona przez samochód. Wypadki to wciąż najczęstsza przyczyna zapadnięcia w śpiączkę; później: udławienia, utopienia, próby samobójcze, powikłania po chorobach (zwłaszcza teraz, kiedy ruch antyszczepionkowy jest coraz silniejszy).

Pacjenci w najtrudniejszej sytuacji – na pierwszym piętrze. Z każdej sali wyjście na taras albo na balkon. Za oknami zieleń. Na drzwiach sal – imiona dzieci. Przy niektórych zdjęcia sprzed wypadku, czasem nawet kilkanaście. Na szafkach obok łóżka zabawki przywiezione z domu.

Galeria podziękowań: kolejne zdjęcia, rysunki budzików, hasła „budzicie do życia", listy wyhaftowane, podziękowania rodziców, wśród nich namalowany przez jedną z matek obraz z dziewczynką siedzącą tyłem na linie zawieszonej nad przepaścią.

By zostać przyjętym do kliniki, dziecko musi spełniać wymagania: trafia tu najwcześniej po sześciu tygodniach od zapadnięcia w śpiączkę (najpierw jest w szpitalu specjalistycznym); na skali medycznej określającej świadomość powinno zajmować odpowiednie miejsce; nie może też oddychać przez respirator; wreszcie jest w śpiączce nie dłużej niż rok (jeśli doszło do niej po urazie) albo pół roku (jeśli zapadnięcie w śpiączkę poprzedziło zatrzymanie krążenia). Czas przeznaczony na wybudzanie: maksymalnie rok plus trzy miesiące, o które lekarze z Budzika muszą dodatkowo wnioskować.

Budując Budzik i uświadamiając, czym jest śpiączka, Ewa Błaszczyk zadbała o tych, dla których dotąd nie było miejsca w systemie służby zdrowia – między szpitalem specjalistycznym (w którym nie było szans na zapewnienie dzieciom tak ważnej w śpiączce rehabilitacji) a hospicjum (które kończyło walkę o wybudzenie).

6. Gdyby nie Ewa Błaszczyk, pracownicy jej fundacji i współpracujący z nią eksperci (wśród nich wielu lekarzy), w Polsce nie byłoby: kliniki dla dzieci zajmującej się wybudzaniem ich ze śpiączki; programu wybudzania dzieci ze śpiączki (ten przygotowany przez Fundację Akogo?, nagrodzony przez Światową Organizację Zdrowia, jest teraz finansowany przez NFZ); programu wsparcia psychologicznego dla rodzin dzieci w śpiączce; oddziału Budzika dla ośmiu dorosłych w Olsztynie (we współpracy z tamtejszym Uniwersyteckim Szpitalem Klinicznym), programu wybudzania dorosłych ze śpiączki.

Ale są też poszukiwania nowych metod leczenia. W maju 2016 r., prof. Isao Morita z Japonii z zespołem prof. Wojciecha Maksymowicza podejmują się pierwszej w Europie operacji wszczepienia stymulatora osobom w śpiączce.

I plany: warszawskie Neurocentrum, w skład którego wejdą klinika Budzik dla dorosłych, ośrodek naukowo-badawczy oraz prywatna klinika 3N – Neurochirurgia, Neurologia, Neurorehabilitacja.

Dotychczas z blisko stu dzieci, które trafiły do Budzika, udało się wybudzić pięćdziesięcioro. Spośród nich dziesięcioro wyszło stąd na własnych nogach. M.in. chłopczyk – fan piłki nożnej, który – będąc w śpiączce – słuchał transmisji z meczów trzymając w rękach małą piłkę. A także chłopczyk – ulubieniec rehabilitantki z „czerwonych nosków" (światowej organizacji charytatywnej). Spotkali się przypadkowo ponownie po jego wybudzeniu w centrum handlowym. Dziewczyna zaczęła rozmawiać z jego rodzicami, a chłopczyk rozpoznał jej głos mówiąc: „To jest klaun z Budzika". ©℗ ANNA GOC

Korzystałam m.in. z książek: Ewa Błaszczyk, Krystyna Strączek „Wejść tam|nie można", Kraków 2005; „Wszystko jest takie kruche. Z Ewą Błaszczyk rozmawia Izabela Górnicka-Zdziech", Częstochowa 2010; „Lubię żyć. Ewa Błaszczyk w rozmowie z Agnieszką Litorowicz-Siegert", Poznań 2015; „Niebieska reżyseria. 15 lat Fundacji Ewy Błaszczyk Akogo?".

Za pomoc w realizacji materiału dziękuję Annie Krzysztofowicz z Fundacji Ewy Błaszczyk Akogo i Maciejowi Pirógowi, dyrektorowi Instytutu Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie w latach 2002–2012, obecnemu dyrektorowi kliniki Budzik.

Fundację Ewy Błaszczyk Akogo? można wesprzeć wysyłając SMS o treści: BUDZIMY pod numer 75 250 (opłata 6,15 zł z VAT)

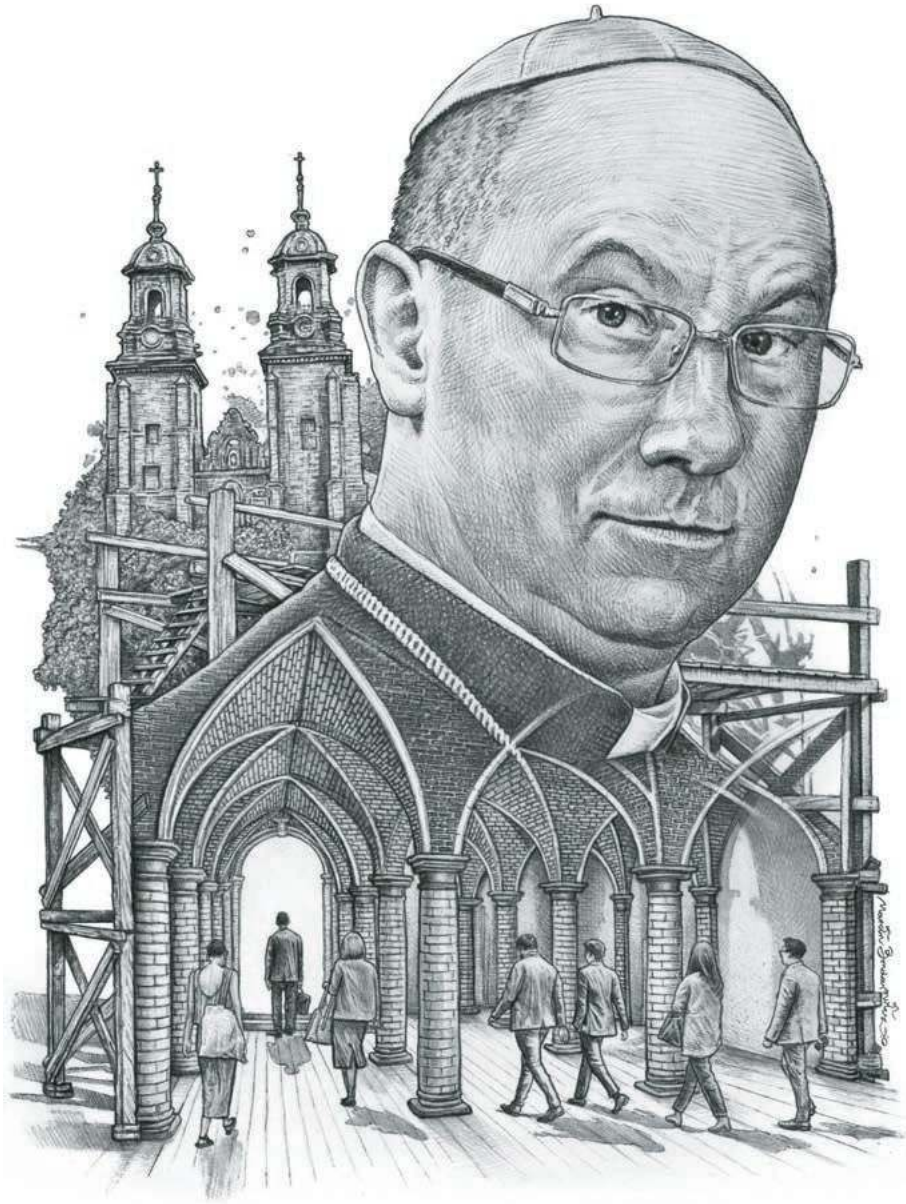

MARCIN BONDAROWICZ

Kościół nikogo nie wyklucza

ABP WOJCIECH POLAK, PRYMAS POLSKI:

Mechanizmy kontrolujące, przewidziane w prawie, chronią mnie jako biskupa przed sobą samym. Przed moimi słabościami, przed pokusą uzurpacji niezgodnej z Ewangelią.

ARTUR SPORNIAK: Do kogo jest skierowana dość oczywista prawda w przesłaniu niedawnego Zjazdu Gnieźnieńskiego, że „chrześcijaństwo nie jest ideologią i nie może się stać zakładnikiem politycznych korzyści"?

ABP WOJCIECH POLAK: Akcentuje to mocno papież Franciszek w swojej pierwszej programowej adhortacji „Evangelii gaudium". Tam przypomnienie o istocie chrześcijaństwa jest skierowane do każdego chrześcijanina, a także do ludzi dobrej woli. W przesłaniu ze Zjazdu chodziło o to, aby pokazać, że chrześcijaństwo nie tylko ma moc inspirującą, ale też dlaczego ma taką moc. Na pewno nie dlatego, że jest ideologią czy jakąś nową filozofią, tylko dlatego, że jest odniesione do wiary w Jezusa Chrystusa.

Czy polityków udaje się w Gnieźnie inspirować w sposób bezpieczny dla wiary i Kościoła?

Zjazd nikogo nie wyklucza. Zapraszamy polityków nie tylko chrześcijańskich. Jest miejscem spotkania i wymiany myśli, a nie narzucania konkretnych rozwiązań. Nie sprawdzam, czy politycy wyjeżdżają zainspirowani.

Pamiętajmy, że już sama debata ma swoją wartość. Zaproszony w tym roku były minister spraw zagranicznych Słowacji Pavol Demeš mówił mi, że taka publiczna debata o uchodźcach, która wywiązała się w Gnieźnie między bp. Krzysztofem Zadarko a ks. Waldemarem Cisło, w jego kraju byłaby jeszcze niemożliwa.

Polski Episkopat jednak bardzo dba o wrażenie jednomyślności. Czy ukrywanie wewnętrznych sporów to dobry pomysł? Niemieccy biskupi np. spierają się publicznie na temat komunii dla protestanckich małżonków.

Być może rzeczywiście powstaje wyidealizowany obraz Episkopatu, ale jeśli chodzi o fundamenty doktrynalne, nie ma wśród nas sporów. Niemieccy biskupi byli kształtowani w atmosferze uniwersyteckich sporów teologicznych. My nie mamy takich doświadczeń. Na pewno różnimy się między sobą w podchodzeniu do praktycznych konsekwencji duszpasterskich. Natomiast co do interkomunii z protestantami, zawsze jest dla mnie przejmującym momentem, gdy współpracujący z nami inicjator ekumenicznej pielgrzymki z Gniezna do Magdeburga, ewan-

gelicki pastor z Berlina Justus Werdin podchodzi do mnie w trakcie komunii i prosi o błogosławieństwo, wiedząc, że pełna komunia jest jeszcze niemożliwa.

Wytworzony jeszcze w PRL-u odruch skrywania trudnych sytuacji, brak jawności procedur, stwarza warunki do nadużyć. Jak przełamywać w Kościele brak transparentności? Czy możliwy jest np. audyt finansowy diecezji?

Z nowoczesnych narzędzi już korzystamy. Przy takim skomplikowaniu działań, w które Kościół – czy to na poziomie diecezji, czy na poziomie Episkopatu – jest zaangażowany, nie jesteśmy w stanie tego robić przy pomocy tylko własnych sił. Ekonom Episkopatu poddawany jest zewnętrznemu audytowi. Na poziomie diecezji kontrolę sprawuje rada ekonomiczna. Pytanie, czy wyniki takiej kontroli należy publikować. W diecezji gnieźnieńskiej otrzymują je dziekani, którzy informują następnie proboszczów. Diecezja jest utrzymywana przez parafie, zatem to rozliczenie finansowe ostatecznie trafia – czy powinno trafiać – do ekonomicznych rad parafialnych.

Pod warunkiem, że w danej parafii taka rada istnieje.

Jeżeli nie istnieje, jest wtedy łamane prawo kanoniczne. Jako biskup nie podpiszę żadnej alienacji, czyli sprzedaży, którą parafia wnioskuje, bez opinii parafialnej rady ekonomicznej. Z kolei żaden notariusz nie zatwierdzi proboszczowi umowy sprzedaży bez mojego zaświadczenia. Bez niego umowa jest nieważna. To przykład styku prawa państwowego i kanonicznego.

Podczas wizytacji parafii zawsze spotykam się z radą ekonomiczną i zadaję konkretne pytania: o zadłużenie, sposoby finansowania, uczestniczenie w finansowaniu działań diecezji itd. Po to, żeby radni mieli świadomość, że finanse są nie tylko w gestii proboszcza. Proboszcz teraz jest, ale za chwilę może go nie być.

Przez złe zarządzanie jedna z parafii archidiecezji gnieźnieńskiej popadła w długi – jej administrator zaciągał kredyty bez zgody biskupa. Groziła jej egzekucja komornicza. Mój poprzednik spłacił dług parafii, ale widząc słabość w zarządzie, przejął udziały parafii w zbiorowym gospodarstwie rolnym archidiecezji gnieźnieńskiej, by na przyszłość chronić jego integralność. Sprawdziłem sytuację – wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Ale sytuacja ta spowodowała wielkie rozgoryczenie parafian – sprawa trafiła do prokuratury, oskarżono mnie o kradzież własności parafii. Zaproponowałem konkretne rozwiązanie: po ustanowieniu nowego proboszcza udziały w gospodarstwie wrócą do parafii. I tak się stało. Rada ekonomiczna musi bowiem mieć świadomość, jakie ma możliwości w spłacaniu zaciąganych kredytów.

Co Ksiądz Prymas sądzi o angażowaniu się księży w dzieła pozakościelne? Sprawa ks. Jacka Stryczka pokazała, że jest to dla Kościoła ryzykowne.

Na pewno nie może się ono odbywać kosztem pracy duszpasterskiej. I nawet jeżeli przełożeni kościelni nie mają formalnego nadzoru nad taką działalnością, powinni być świadomi jej mechanizmów. Ale rzeczywiście takie zaangażowanie księży w świeckie działania niesie ze sobą pewne ryzyko wynikające m.in. z braku właściwego przygotowania czy wiedzy.

Zapytam o sytuację świeckich w Kościele, w szczególności kobiet. Uczestnicy Zjazdu Gnieźnieńskiego zwrócili uwagę, że do panelu o patriotyzmie zaproszeni zostali sami mężczyźni, a do panelu o dyskryminacji niepełnosprawnych – same kobiety.

Jestem przekonany, że nie było to zrobione z premedytacją.

Ale ukazało pewien problem.

Tak, problem istniejący nie tylko w Kościele. Zjazd organizuje, razem z Kościołem katolickim, kilkanaście organizacji świeckich. To dla nas sygnał, by na kolejnych zjazdach głos kobiet mógł współbrzmieć z głosem mężczyzn. Żeby nie było takiej „specjalizacji". Powinniśmy się tego uczyć. Szefową Zjazdu jest kobieta i to ona nadaje główny ton. Ale w wyszukiwaniu panelistów często kierujemy się tym, kto w danej dziedzinie jest specjalistą, i tak to się rozłożyło. Ciekawe jest z kolei to, że wśród trenerów na prowadzonych w trakcie Zjazdu kilkudziesięciu warsztatach przeważały kobiety. W sferze kształcenia to one są specjalistkami.

Czy także w formowaniu kleryków?

Wśród zajęć dominują przedmioty teologiczne, zatem mężczyzn jako wykładowców jest więcej. Ale szefową wydziału katechetycznego w gnieźnieńskiej kurii jest kobieta. Ona też razem z dwiema innymi wykładowczyniami uczy kleryków przedmiotów pedagogiczno-katechetycznych. Są także kobiety prowadzące lektoraty z języków obcych czy psychologii.

W ramach Konferencji Episkopatu opracowujemy teraz nowe polskie *Ratio fundamentalis*, czyli dokument organizujący formację kleryków. Pracujemy „metodą Gowina", czyli jak najszerszych konsultacji. Poprzednim razem do zredagowania dokumentu utworzony został zespół, który przedłożył biskupom do przegłosowania gotowy tekst. Tym razem organizujemy spotkania otwarte na dane tematy, na które zapraszane są wszystkie środowiska seminaryjne, wydziały teologiczne oraz ośrodki duszpasterstwa powołaniowego. Takich spotkań odbyło się już pięć. W proces dyskusji i redakcji zaangażowany jest mój delegat do spraw ochrony dzieci i młodzieży ks. Wojciech Rzeszowski, który prowadzi cykliczne szkolenia dla formatorów seminaryjnych w temacie seksualności i nadużyć.

Trudna okazuje się praca nad *Ratio studiorum* (dotyczącym studiów przygotowujących do kapłaństwa). Po powstaniu wydziałów teologicznych sytuacja się skomplikowała, bo trzeba ich prace skoordynować z pracą seminariów.

Kiedy dokument powstanie?

Nie chcielibyśmy przeciągnąć tego poza rok 2019. Jednak wymaga to pogłębionej, nowej refleksji nad kształceniem duchowieństwa. W toku studiów przewidujemy m.in. rok propedeutyczny i rok duszpasterski.

Czy Ksiądz Arcybiskup ustanowiłby kobietę swoim wikariuszem?

Wspomniana już przeze mnie przewodnicząca Wydziału Katechetycznego – pani Teresa Kowalczyk – ma władzę wikariusza biskupiego ds. katechizacji. W Gnieźnie nie ma wikariuszy biskupich, są przewodniczący wydziałów kurii, którzy mają władzę przewidzianą przez prawo kanoniczne dla wikariuszy biskupich. Jedynym wyjątkiem jest wikariusz generalny, który ma władzę na równi z biskupem. Dlatego ten urząd powierza się albo biskupom pomocniczym, albo księżom. ↦

Pytam, gdyż komisja powołana przez biskupów australijskich do badania nadużyć seksualnych zarekomendowała właśnie ostatnio, by na biskupich wikariuszy powoływać kobiety. Jedna z diecezji, która robiła to szczególnie często, miała najmniejszy w Australii odsetek przypadków nadużyć wobec nieletnich.

Na pewno potrzebujemy kobiet w strukturach Kościoła. W naszej gnieźnieńskiej kurii funkcję głównego księgowego sprawuje kobieta, poza wspomnianą przewodniczącą Wydziału Katechetycznego również w Wydziale Duszpasterskim, w Trybunale Metropolitalnym, w Seminarium, Archiwum, Muzeum, Caritas pracują także panie.

Czy Ksiądz Prymas wybiera się na film „Kler"?

Nie planuję. Nie jestem wielkim kinomanem – niestety. Przyznaję, że nie widziałem żadnego filmu pana Smarzowskiego. Próbowałem obejrzeć w telewizji „Drogówkę", ale po kilkunastu minutach zniechęciła mnie brutalność.

A czy ze względu na sytuację nie powinien się Ksiądz jednak wybrać?

Nie wiem. Może. Moja wiedza o sytuacji nie opiera się – i nie może się opierać – na filmie fabularnym.

Tylko w sam weekend otwarcia film obejrzało prawie milion ludzi. Czy Ksiądz Prymas spodziewa się teraz nowej fali antyklerykalizmu?

Przede wszystkim obawiam się, że film może bardzo podzielić Polaków. Znajdą się grupy, które będą głośno protestować, znajdą się i takie, które będą wykorzystywać film do propagowania antyklerykalizmu.

Czego bym oczekiwał? Jeżeli nawet jest to – jak napisał ks. Andrzej Luter – „drogówka w sutannach", ważną rzeczą jest, abyśmy my – biskupi, ale także cały Kościół – zrozumieli, iż jest to wezwanie do nawrócenia. Taki film jest dla mnie okazją do zastanowienia się nad moją rzeczywistością, nad moją drogą. To może być rzeczywistość przerysowana, ukazana w karykaturze, ale nie możemy mówić, że jej nie ma. „Kler" jest dla nas wezwaniem do konkretnej pracy nad sobą, nad zmianami naszych postaw, nad byciem bardziej wrażliwymi. Postacie tragiczne, ukazujące uwikłanie w grzech, są zawsze wezwaniem do nawrócenia.

> Film „Kler" jest dla nas wezwaniem do pracy nad sobą, nad byciem bardziej wrażliwymi. Postacie tragiczne są zawsze **wezwaniem do nawrócenia.**

To film o władzy w Kościele. Każdy biskup ma władzę, która właściwie jest poza kontrolą. Nad Księdzem Arcybiskupem jest tylko papież. Czy jakieś mechanizmy kontrolne nie powinny być jednak wprowadzane?

Nade mną kanonicznie jest papież. Ale to nie znaczy, że nie ma mechanizmów kontrolnych. Pierwszym i nadrzędnym jest moje kapłańskie powołanie i odpowiedzialność, do której się zobowiązałem przed Bogiem. Dalej cały porządek strukturalny diecezji, Rada kapłańska, Rada duszpasterska, diecezjalna Rada ekonomiczna, wobec której przedkładam swoje sprawozdanie, ale również np. dziekani regionalni czy dekanalni, parafialne rady ekonomiczne, o których już wspominałem.

Musi Ksiądz słuchać tych rad?

Muszę i chcę.

Wystarczy, że Ksiądz Arcybiskup wyda dekret, że nie musi.

Gdybym zaczął wydawać dekrety absurdalne, to wymienione wcześniej gremia bardzo szybko zwróciłyby mi uwagę. Jestem zobowiązany przez synod diecezjalny do pewnego działania. Poza tym uważam, że to jest normalny styl działania biskupa. Mechanizmy kontrolujące, przewidziane w prawie kanonicznym i prawie synodalnym, chronią mnie jako biskupa przed sobą samym, przed moimi słabościami, przed pokusą uzurpacji niezgodnej z Ewangelią.

W sytuacjach, w których władza się wyradza i zaczyna deprawować, rzeczywiście mechanizmem bezpieczeństwa jest interwencja papieska. I widzimy, że papież Franciszek w takich sytuacjach reaguje, np. w Chile.

Skąd się bierze taka niefrasobliwość, że jedynie w 18 polskich diecezjach z wszystkich 44 na stronach internetowych jest jasna informacja o delegatach biskupich, przygotowanych do przyjmowania zgłoszeń o nadużyciach seksualnych wobec nieletnich?

Użył pan właściwego słowa: „niefrasobliwość". Ona jest tym większa, że biskupi korzystają z pracy delegatów. Nie ma żadnego powodu, żeby informacji o delegatach nie było. Dostęp do takiej informacji mnie jako biskupowi stwarza komfort, że moi diecezjanie od razu mają punkt odniesienia i możliwość kontaktu.

Na stronie Archidiecezji Gnieźnieńskiej oprócz delegata i dwóch duszpasterzy oferujących pomoc jest także kurator dla duchownych. Kim on jest?

Kurator w moim imieniu nadzoruje resocjalizację, czy może lepiej powiedzieć: towarzyszy księdzu, który podejmuje próby wyjścia z różnych kryzysowych sytuacji. On jest również księdzem od pierwszego kontaktu. Podobnie dzieje się w przypadku księży zmagających się z różnymi nałogami i uzależnieniami. Kurator sprawdza, czy ksiądz podjął terapię, czy wykonuje dekret biskupa, czy po terapii wraca do miejsca mu wyznaczonego, czy zgłasza się na rozmowę z biskupem. Natomiast jeśli ksiądz jest z jakiegoś powodu wydalony ze stanu duchownego, to odchodzi w świat i ja jako biskup nie mam żadnych narzędzi, by go kontrolować.

Dzisiaj próbujemy działać głębiej. Próbujemy analizować przyczyny czynów pedofilnych. Często jest to niedojrzałość seksualna. Wyzwaniem jest wczesna i skuteczna diagnoza niedojrzałości i jej przeciwdziałanie, np. przy pomocy terapii psychologicznej.

Ostatnio zasądzono precedensowy wyrok miliona złotych odszkodowania dla ofiary księdza pedofila. Czy Ksiądz Arcybiskup byłby za rozszerzeniem odpowiedzialności w Kościele, jeśli chodzi o kwestię odszkodowań?

My jako Kościół powinniśmy postępować zgodnie z prawem polskim.

Ale oprócz prawa jest jeszcze współodpowiedzialność moralna.

Stąd też zapisane w aneksie do naszych wytycznych proponowanie ofiarom pomocy prawnej, duszpasterskiej i psychologicznej. Nie stawiam żadnych warunków. Mam okazać współczucie i wykazać się wrażliwością.

Czy wpuściłby Ksiądz Arcybiskup audyt zewnętrzny do archiwów kurii, jeśli chodzi o badanie przypadków nadużyć seksualnych, tak jak to np. zrobił niemiecki Episkopat?

Wpuszczanie przypadkowych osób i szukanie na oślep – pewnie nie, choćby z powodu ochrony danych osobowych. Na radzie biskupów diecezjalnych i na ostatnim zebraniu plenarnym Episkopatu powtórzyliśmy decyzję, że będziemy te dane zbierać.

Kto to będzie robić?

Przy pomocy Sekretariatu Episkopatu ankiety przygotowywać będzie delegat Episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży, natomiast uzyskane dane opracowywać będzie Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego w Warszawie. Ważne jest, abyśmy uchwycili zjawisko globalnie. Oprócz cyfr w ankietach ma znaleźć się informacja, która biskupom pokaże również psychologiczny aspekt problemu. Spodziewam się podpowiedzi, dlaczego takie kryzysy przychodzą, jakie są źródła niebezpieczeństwa.

Ostatnio zastanawialiśmy się w „Tygodniku" nad kwestią katolików kulturowych. Ciekawi mnie reakcja Księdza Arcybiskupa na taką sytuację: przychodzi do proboszcza katolik kulturowy i prosi o sakrament małżeństwa – co proboszcz ma zrobić?

Już od długiego czasu odpowiedź podpowiada nam papież Franciszek, gdy mówi o towarzyszeniu. Proboszcz, wikariusz, kapłan mają na różne sposoby, by towarzyszyć powierzonym im ludziom i w ten sposób uczyć się dobrego rozeznania ich spraw. Wówczas będą mogli powiedzieć: znamy was, wiemy, jaka jest wasza sytuacja, możemy zrobić tak i tak. I tutaj mają cały wachlarz możliwości, które jako duszpasterze mogą wykorzystać, by takiemu człowiekowi zaproponować najlepsze pod każdym względem rozwiązanie. Muszą jednak przejść z nim wspólną drogę.

Jeżeli nawet ksiądz w sakramencie pokuty nie udzielił komuś rozgrzeszenia, a ta osoba podchodzi do komunii, **ręka księdzu nie może drgnąć.**

Która wizja Kościoła jest Księdzu Prymasowi bliższa: Kościół elitarny, bo stawiający wysokie wymagania, czy Kościół cierpliwy, otwarty, wychodzący do ludzi tam, gdzie są?

Jestem za wizją Kościoła, który nie zadowala się tylko tymi mocnymi, ale towarzyszy wszystkim – czyli za wizją Kościoła ewangelizującego. Wierzę, że moje działanie duszpasterskie jest okazją do tego, by człowiek otworzył się na Pana Boga. To nie ja daję wiarę, to nie ja tworzę ostatecznie Kościół. Ostrzegam przed Kościołem odrzucającym, zamykającym przed ludźmi drzwi. Wybieram Kościół, który pójdzie za człowiekiem.

Łaska Boża jest potężniejsza, niż może się nam wydawać. Czy sto procent ludzi wejdzie do Kościoła? Nie. Ale my musimy taką szansę dawać. Nasze parafie nie tylko powinny być miejscem udzielania sakramentów, ale nade wszystko – dojrzewania w wierze. Sakrament to nie jest magiczna rzeczywistość, która zadziała bądź nie zadziała, tylko konsekwencja mojego spotkania z Bogiem. A to wymaga dzielenia drogi. Wymaga cierpliwości od obu stron. Wymaga dojrzewania w wierze. Nie patrzyłbym na rezultaty.

Czy Ksiądz Arcybiskup widzi możliwość indywidualnego dopuszczenia po odpowiednim rozeznaniu do komunii osób rozwiedzionych będących w nowych związkach?

Nasze wytyczne pokazują, jak powinien wyglądać proces rozeznawania i towarzyszenia. Czy natomiast finał będzie taki czy inny, tego z góry nie da się przewidzieć. Poza tym i tak ostatecznie decyduje dana osoba. W Kościele funkcjonuje zasada, że jeżeli nawet ksiądz w sakramencie pokuty nie udzielił komuś rozgrzeszenia, a ta osoba podchodzi do komunii, ręka księdzu nie może drgnąć.

Czy Ksiądz Arcybiskup mógłby wyjaśnić swoje stwierdzenie w rozmowie z miesięcznikiem „W drodze": „Na razie nie znajduję wspólnego języka z grupami pro-life"?

Chodziło o to, że liderzy pro-life w rozmowach ze mną mówili, iż jestem w błędzie, gdy twierdzę, że radykalizm prawa, który odchyla się w jedną stronę, po jakimś czasie może odchylić się w drugą stronę. Dziś prawo zradykalizujemy, jutro przyjdzie nowa władza i je zliberalizuje. Wahadło odbije w drugą stronę. Tak uważam. Liderzy niektórych ruchów pro-life natomiast uważają, że jestem w błędzie – mówią, że to brak działania ośmiela drugą stronę. Stąd różnica zdań.

Co Ksiądz Arcybiskup doradziłby ludziom, których gorszy alians ojca Tadeusza Rydzyka z obecnie rządzącymi, przynoszący realne profity – wielomilionowe dotacje dla instytucji stworzonych przez redemptorystę z Torunia?

Kościół nie ogranicza się do Radia Maryja. Patrzmy na inne relacje w Kościele, w których nie ma aliansu z polityką.

A gdyby Ksiądz Arcybiskup miał w Gnieźnie takie radio?

Mam Koła Radia Maryja, a w nich ludzi, którzy spotykają się na modlitwie, którzy wzajemnie sobie pomagają, którzy bardzo często nie są zainteresowani taką czy inną polityką. Odpowiedzialność spoczywa na opiekunach tych kół, którzy powinni zdawać sobie sprawę, że mariaż Kościoła i polityki jest szkodliwy. Powinni o tym wiedzieć także redemptoryści.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

ABP WOJCIECH POLAK urodził się 19 grudnia 1964 r. w Inowrocławiu, dorastał w Suchatówce koło Torunia. Po maturze w 1983 r. wstąpił do Prymasowskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie. Święcenia kapłańskie przyjął w 1989 r. Doktorat z teologii moralnej obronił na Akademii Afonsjańskiej w Rzymie. W latach 1999–2003 był rektorem gnieźnieńskiego seminarium. W 2003 r. został biskupem pomocniczym w Gnieźnie. W 2011 r. został sekretarzem generalnym Konferencji Episkopatu Polski. Trzy lata później Franciszek mianował go arcybiskupem gnieźnieńskim i prymasem Polski.

TO NIE JEST HEREZJA

Szukając nowych argumentów przeciwko święceniom kapłańskim kobiet, Kongregacja Nauki Wiary dokonała sakramentalnej absolutyzacji męskości. Tak jakby męskość Chrystusa szła przed jego człowieczeństwem.

JÓZEF MAJEWSKI

Wskrzeszona w ostatnich latach w kurii rzymskiej dyskusja na temat święceń kapłańskich kobiet dotyczy już nie tylko ścierania się argumentacji „za" i „przeciw" kapłaństwu kobiet, ale także samej koncepcji kapłaństwa.

Kwestia dla soboru

Już wcześniej bywało, że temperatura sporu osiągała stan wrzenia. Tak było w 1994 r., kiedy interweniował Jan Paweł II, publikując słynny List apostolski „Ordinatio sacerdotalis" o udzielaniu święceń kapłańskich wyłącznie mężczyznom. Papieżowi chodziło o przerwanie jakichkolwiek debat w tej kwestii. Pisał: „Aby zatem usunąć wszelką wątpliwość w sprawie tak wielkiej wagi, która dotyczy samego Boskiego ustanowienia Kościoła, mocą mojego urzędu utwierdzania braci (por. Łk 22, 32) oświadczam, że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za definitywne".

Szybko pojawiły się pytania o rangę dogmatyczną tego nauczania: w jak wielkim stopniu wiąże ono sumienie i wiarę katolików. W odpowiedzi w 1995 r. Kongregacja Nauki Wiary oświadczyła, że doktryna zawarta w Liście „powinna być uważana za należącą do depozytu wiary". Dlaczego? Ponieważ jest „oparta na spisanym słowie Bożym [Piśmie Świętym – JM] oraz od samego początku niezmiennie zachowywana i stosowana w Tradycji Kościoła". Nauka należąca do depozytu wiary to nauka objawiona, której zaprzeczanie równa się herezji, czyli wyłącza z Kościoła.

Na wypowiedź KNW spadła lawina krytyki, która nie pozostała bez echa w kurii rzymskiej. Trzy lata później Kongregacja wycofała się z wcześniejszego stanowiska, zaliczając doktrynę o wykluczeniu kobiet ze święceń do nauczania tzw. definitywnego. Jak ujął to w 1998 r. jezuita Avery Dulles, którego Jan Paweł II w 2001 r. wyniósł do godności kardynalskiej: „Komentarz KNW przyjmuje bardzo umiarkowaną linię, przypisując tę doktrynę do drugiego poziomu nauczania, więc jej odrzucenie nie jest herezją".

Potknięcie KNW w latach 90. i zmiana stanowiska, jak też ostatnia, majowa wypowiedź obecnego jej prefekta kard. Louisa Ladarii, który w artykule na łamach „L'Osservatore Romano" niespodziewanie „przywrócił" doktrynie rangę depozytu wiary, pokazuje, że nie wszystko jest tu jasne. Trudno się też dziwić, że nie tylko po stronie teologów, ale i wśród biskupów pojawiają się głosy, iż kwestię tę powinien rozstrzygnąć sobór.

Junia czy Junias?

Tradycyjną argumentację za doktryną wykluczającą kobiety ze święceń przypomniała KNW już w 1976 r. w deklaracji „Inter insigniores". Przedstawiła jednak także argumentację nową, konieczną – jak uznano – w zmieniającej się sytuacji społeczno-kulturowej świata i Kościoła. Trzy tradycyjne argumenty przeciwko święceniom kobiet to:

1. Postawa Chrystusa: Jezus nie powołał żadnej kobiety do grona Dwunastu.

2. Praktyka apostołów: wspólnota apostolska pozostała wierna postawie Chrystusa.

3. Nieprzerwana tradycja Kościoła: Kościół katolicki nigdy nie uważał, że kobietom można ważnie udzielić święceń kapłańskich lub biskupich.

Teologowie, bo nie tylko teolożki feministyczne, poddali te racje poważnej krytyce. Argument z „postawy Chrystusa" nie przekonywał, ponieważ, jak pisała s. Elizabeth A. Johnson: „Jezus nigdy nie wyświęcił dwunastu mężczyzn, powołując do istnienia tylko męskie kapłaństwo. Taka interpretacja jest anachronizmem projektowanym na Ewangelie w świetle późniejszego rozwoju". W czasach Nowego Testamentu nie istniało jeszcze kapłaństwo w dzisiejszym rozumieniu – jako grupa mężczyzn, którzy sakramentalnie, po przyjęciu święceń, są przeznaczeni do kierowania wspólnotą wierzących, głoszenia słowa Bożego, a szczególnie sprawowania Eucharystii. Tego rodzaju kapłaństwo zaczęło się kształtować dopiero pod koniec I w., przy czym historyczne dane są nieliczne i niepewne.

Co do drugiego argumentu – jeśli przyjąć, że Jezus nikogo nie wyświęcił, to wspólnota apostołów nie miała tu czego kontynuować. Nie dość powtarzać jednak, że w Kościele pierwotnym, apostolskim „kobiety – jeszcze raz s. Johnson – znajdowały się wśród najbardziej aktywnych i wiernych apostołów i uczniów". O tym, że do grona apostołów należały kobiety, pisał już św. Paweł w Liście do Rzymian: „Pozdrówcie Andronika i Junię, moich rodaków i współtowarzyszy więzienia, którzy się wyróżniają między apostołami, a którzy przede mną przystali do Chrystusa" (Rz 16, 7). Zasadniczo minęły już czasy, w których tłumaczenia Pisma Świętego kobiece imię „Junia" oddawały przez męskie „Junias" – bo nie do pomyślenia był apostoł rodzaju żeńskiego. Niemniej w piątym wydaniu Biblii Tysiąclecia i wciąż, nie wiedzieć czemu, jak wół stoi „Junias".

Jaka tradycja?

Jeśli chodzi o argument z nieprzerwanej tradycji, to KNW na świadectwo przytacza kilkanaście wypowiedzi Ojców Kościoła i teologów średniowiecza, w tym: Ireneusza, Tertuliana, Firmiliana z Cezarei, Orygenesa, Epifaniusza, Jana Chryzostoma, Tomasza z Akwinu i Bonawentury. Dodaje do tego fragmenty z dwóch starożytnych pism: „Didascalia apostolorum" (III w.) i „Konstytucje apostolskie" (IV w.), które długo uchodziły za dzieła samych apostołów. Problem w tym, że – jak przekonująco wykazało m.in. Katolickie Towarzystwo Teologów Ameryki – przywołane starożytne czy średniowieczne wypowiedzi nie mogą poświadczyć tezy KNW, bo po prostu nie podejmują tematu święceń kobiet. A jeśli któryś ze wspomnianych teologów to czyni, to wychodzi od przebrzmiałej już mizoginicznej antropologii, według której kobieta z natury jest istotą gorszą, mniej rozumną, ale bardziej grzeszną od mężczyzny i dlatego niegodną kapłaństwa.

„Konstytucje apostolskie" w przywołanym przez KNW fragmencie głoszą: „»Kobietom nie pozwalamy nauczać w Kościele« [por. 1 Tm 12, 2], lecz jedynie modlić się i słuchać nauczycieli. Wszak nasz Nauczyciel i Pan, Jezus Chrystus, który wysłał nas, dwunastu, abyśmy głosili naukę ludowi i poganom, nigdy nie posłał kobiet z misją nauczania, chociaż ich nie brakowało. Była przecież z nami Matka Pana, i Jego siostry, a nadto Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba, Marta i Maria, siostry Łazarza, Salome i jeszcze inne. Gdyby było konieczne, aby kobiety nauczały, On pierwszy by im kazał katechizować lud wraz z nami. Skoro jednak głową kobiety jest mężczyzna, to nie jest słuszne, by reszta ciała rządziła głową".

Epifaniusz także nic nie mówi o kapłaństwie kobiet, ponadto zaś w duchu tradycyjnym stwierdza bez ogródek: „I które kobiety są nauczycielami (...)? Kobiety są niestałe, skłonne do błędu i złośliwe. (...) Diabeł widzi sposobność, by pluć niedorzecznymi naukami poprzez usta kobiet". ↦

PABLO CASTAGNOLA / ANZENBERGER / FORUM

↦ I jeszcze Tomasz z Akwinu, którego wpływ na doktrynę Kościoła trudno przecenić. W „Komentarzu do Sentencji Piotra Lombarda", owszem, podejmuje temat kapłaństwa kobiet, ale o nich samych nie ma najlepszego zdania. Po przedstawieniu trzech znanych mu argumentów za święceniami kobiet odrzuca je wszystkie, pisząc krótko: „Z kolei przeciwko temu przemawia 1 Tm 2, 12: »Nauczać zaś kobiecie nie pozwalam ani też przewodzić nad mężem [dosłownie – mężczyzną]«". Dlaczego? Autor Listu do Tymoteusza nie miał wątpliwości: „Kobieta niechaj się uczy w cichości z całym poddaniem się. (...) Albowiem Adam został pierwszy ukształtowany, potem – Ewa. I nie Adam został zwiedziony, lecz zwiedziona kobieta popadła w przestępstwo".

Dodajmy do tego jeszcze i to, że według Tomasza z Akwinu tak naprawdę istnieje tylko jedna prawdziwa płeć, męska – wszak kobieta jest nieudanym, wybrakowanym mężczyzną. Ponadto – jak Akwinata napisał w „Przeciw poganom": „Kobieta (...) potrzebuje mężczyzny nie tylko, aby mieć potomstwo, jak to jest u innych zwierząt, lecz także, by nią ktoś rządził, mężczyzna bowiem ma rozum doskonalszy i większą siłę". Ostatecznie w „Sumie teologicznej" wyjawi, że „obraz Boga w taki sposób znajduje się w mężczyźnie, w jaki nie znajduje się w kobiecie: bo mianowicie mężczyzna jest początkiem i celem kobiety, tak jak Bóg jest początkiem i celem całego stworzenia".

Katolickie Towarzystwo Teologów Ameryki po przebadaniu przywołanych przez KNW świadectw na nieprzerwaną tradycję doszło do wniosku: „Na podstawie studiów historycznych nie da się zakwestionować, iż stały argument za wykluczeniem kobiet z kapłaństwa opierał się na przekonaniu, iż kobiety nie były odpowiednimi podmiotami do takiej posługi z uwagi na niższość ich płci i/lub ich status podporządkowania w systemie społecznym". Zagadką pozostanie, dlaczego KNW na historyczno-teologiczny dowód nieprzerwanej tradycji przywołała pisma, z których żadnego nie można uznać za świadectwo właściwe, chyba że zgodzimy się na antropologię misoginiczną, w której kobiety z natury i łaski są istotami gorszymi od mężczyzn, więc niegodnymi święceń i sprawowania świętych czynności sakramentalnych, szczególnie Eucharystii.

Podobieństwo naturalne

Dzisiaj argumentacja taka jest nie do przyjęcia, co jednak nie oznacza, że nie do przyjęcia jest sama ta doktryna. „Inter insigniores" przyjmuje – jak najbardziej słusznie – zasadnicze założenie, że jedną rzeczą jest doktryna, a inną teologiczna argumentacja służąca jej uzasadnieniu. KNW w komentarzu do tego dokumentu stwierdziła: „W nauczaniu uroczystym [dogmat – JM] nieomylność dotyczy orzeczenia doktrynalnego, nie zaś argumentów, które służą jego objaśnieniu". Innymi słowy: jeśli wraz ze zmianami historyczno-kulturowymi coś złego zaczyna się dziać z argumentacją za daną doktryną lub nawet jeśli konkretna argumentacja upada, nie oznacza to, że coś złego dzieje się z samą doktryną czy też że ta doktryna upada. W tej sytuacji powstaje konieczność nie odrzucenia doktryny, ale poszukiwania nowych argumentów – pozbawionych elementów dyskryminujących kobiety czy misoginicznych, które w nowym kontekście kulturowym będą w stanie ukazać tę doktrynę jako wciąż życiodajną i błogosławioną prawdę.

I Kongregacja zaproponowała nowy argument przeciwko święceniom kobiet. Można go nazwać argumentem „z podobieństwa naturalnego", który ściśle wiąże się z tajemnicą Eucharystii. Czytamy w „Inter insigniores": „Kapłan, który ma władzę sprawowania Eucharystii, działa w tym przypadku (...) w osobie Chrystusa (*in persona Christi*), to znaczy podejmując Jego działanie w taki sposób, że staje się Jego obrazem, gdy wypowiada słowa konsekracji. Kapłaństwo chrześcijańskie posiada więc charakter sakramentalny. Kapłan jest znakiem, którego nadprzyrodzona skuteczność wynika z przyjętych Święceń; powinien to być znak wyraźny i łatwy do odczytania przez wiernych. Cała ekonomia sakramentalna opiera się na znakach naturalnych, bliskich psychice człowieka. »Znaki sakramentalne – jak mówi św. Tomasz z Akwinu – oznaczają coś przez podobieństwo naturalne«. (...) Ponieważ w Eucharystii należy w sposób sakramentalny wyrazić działanie Chrystusa, dlatego trzeba pamiętać o tym, że nie byłoby tego podobieństwa naturalnego, jakie powinno zachodzić między Chrystusem i Jego kapłanem, gdyby nie był on mężczyzną; w takiej sytuacji trudno byłoby dostrzec w kapła-

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

BONOWICZ, BURSA I CHOJNICE

W czwartek 18 października Wojciech Bonowicz poprowadzi lekcję wokół poezji Andrzeja Bursy w chojnickim II LO im.gen. Wł. Andersa. Partnerem spotkania jest Urząd Miejski w Chojnicach.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

Najnowszy cykl „Lekcji czytania" odbywa się mimo kolejnej odmowy finansowego wsparcia ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Osoby, które chciałyby wesprzeć naszą akcję społeczną, zapraszamy do kontaktu z Fundacją: fundacja@tygodnik.com.pl

nie obraz Chrystusa. Chrystus bowiem był i pozostaje mężczyzną".

Argument spotkał się z ostrą krytyką. Podkreślano, że KNW dokonała swoistej sakramentalnej absolutyzacji męskości, co prowadzi do teologicznej degradacji kobiecości w stopniu niespotykanym do tej pory w dziejach teologicznego mizoginizmu. Przynajmniej z dwóch powodów.

Po pierwsze – w przeszłości, absolutyzowano nie płeć Jezusa, ale Jego człowieczeństwo, co wyraźnie doszło do głosu w fundamentalnej zasadzie teologicznej Ojców Kościoła: co nie zostało przyjęte przez Drugą Osobę Boską we Wcieleniu, nie podlega odkupieniu. W tym sensie wszystkie istoty ludzkie, mężczyźni i kobiety, na równi pozostają w zbawczej relacji z Chrystusem. Absolutyzacja Jego męskiej płci wyklucza z tej relacji kobiety lub grozi takim wykluczeniem, w każdym razie domaga się – rzecz niespotykana w historii doktryny – dwóch różnych koncepcji odkupienia.

Po drugie – absolutyzacja męskości Chrystusa wyklucza możliwość podobieństwa kobiety do Niego, rezerwuje to podobieństwo wyłącznie dla mężczyzn. Mężczyźni, stojąc w obliczu Chrystusa, którego męskość niejako idzie przed człowieczeństwem, nie mają istotnych kłopotów z pełnym przeżywaniem własnej tożsamości jako istot podobnych Zbawicielowi. Natomiast kobietom nie jest to dane. Innymi słowy – obraz i podobieństwo Boga noszą w sobie i kobieta, i mężczyzna, ale obraz i podobieństwo Chrystusa może nosić wyłącznie mężczyzna.

Męska Oblubienica

Argument „z podobieństwa naturalnego" KNW ściśle powiązała z biblijną symboliką, w której Chrystusa pojmuje się jako Oblubieńca, a Kościół jako Oblubienicę (por. Ef 5, 25-32; 2 Kor 11, 2). W języku łacińskim i greckim słowo „Kościół" – *Ecclesia*, *Ekklezja* – jest rodzaju żeńskiego, podobnie jak w hebrajskim – *Qahal*. KNW założyła, że oblubieńcza symbolika Nowego Testamentu mogłaby posłużyć jako biblijny kontrargument przeciwko argumentowi z „podobieństwa naturalnego" – i dlatego z góry zdecydowała się go odeprzeć. Czy jednak to się jej udało?

KNW przyjęła, że rozumowanie w takim kontrargumencie wyglądałoby w następujący sposób: Kościół – z jednej strony – naucza, że kapłan w Eucharystii działa *in persona Christi*, czyli w osobie Oblubieńca, który jest mężczyzną. Wynika z tego – zgodnie z logiką sakramentalnego „podobieństwa naturalnego" – że kapłan z konieczności i bezwzględnie musi być także mężczyzną. Z drugiej jednak strony Kościół tradycyjnie naucza również, że kapłan w Eucharystii działa *in persona Ecclesiae*, czyli w osobie Kościoła, Oblubienicy, która jest kobietą. Wynikałoby zatem z tego – również zgodnie z logiką sakramentalnego „podobieństwa naturalnego" – że kapłan z konieczności i bezwzględnie musi być kobietą. KNW odrzuca jednak takie wnioskowanie, stwierdzając: „To prawda, że kapłan rzeczywiście reprezentuje Kościół, który jest Ciałem Chrystusa, ale dzieje się tak dlatego, że przede wszystkim reprezentuje samego Chrystusa, który jest Głową i Pasterzem Kościoła".

Absolutyzacja męskości Chrystusa wyklucza możliwość podobieństwa kobiety do Niego, rezerwuje to podobieństwo wyłącznie dla mężczyzn.

Co oznacza takie stwierdzenie KNW? Że mężczyźni mogą sakramentalnie, symbolicznie reprezentować zarówno Chrystusa, Oblubieńca, czyli to, co męskie, jak i Eklezję, Oblubienicę, czyli to, co kobiece. Inaczej rzeczy się mają z kobietami, które sakramentalnie, symbolicznie mogą reprezentować tylko Kościół, Oblubienicę, czyli wyłącznie to, co kobiece. Męskie zatem jest uniwersalne, symbolicznie zdolne obejmować obie płcie. Z kolei kobiece jest partykularne, symbolicznie ograniczone do jednej, własnej płci. Sakramentalnie między tym, co męskie, a tym, co kobiece, panuje zatem znacząca asymetria.

Stwierdzenie KNW oznacza dalej, że mężczyzna symbolicznie może przedstawiać sobą zarówno to, co boskie, niestworzone, wieczne i święte, jak i to, co ludzkie, stworzone, śmiertelne i grzeszne, natomiast kobieta symbolicznie może przedstawiać sobą tylko i wyłącznie to, co ludzkie, stworzone, śmiertelne i grzeszne. To, co męskie, symbolicznie może przekraczać swoją skończoność i grzeszność, transcendując w nieskończoność i świętość, ale temu, co kobiece, nie jest to dane – to, co kobiece, ogranicza się tylko i wyłącznie do tego, co skończone i grzeszne...

Chyba łatwiej teraz pojąć, dlaczego w języku doktryny i liturgii Kościoła Bóg ma oblicze ekskluzywnie męskie, nawet jeśli – jak ujmuje to Katechizm Kościoła Katolickiego – „Bóg w żadnym wypadku nie jest obrazem człowieka. Nie jest ani mężczyzną, ani kobietą. Bóg jest czystym duchem, w którym nie ma miejsca na różnicę płci" (370). Doktryna i liturgia Kościoła wzywa i nazywa Boga konsekwentnie po męsku, przede wszystkim jako Ojca, Syna i Ducha Świętego, chociaż istnieją biblijne racje, by przynajmniej Ducha Świętego nazywać po kobiecemu. Wydawałoby się, że można by to robić, skoro w Biblii hebrajskiej słowo „Duch" jest rodzaju żeńskiego, a w grece Nowego Testamentu – nijakiego.

KNW jak dotychczas nie widzi takiej możliwości. W 1997 r. oświadczyła: „W wierności natchnionemu Słowu Bożemu ma być zachowana tradycyjna biblijna praktyka nazywania osób Trójcy Świętej jako Ojca, Syna i Ducha Świętego. Podobnie w zgodzie z tradycją Kościoła [ale inaczej niż w natchnionym Słowie Bożym, wbrew Pismu Świętemu! – JM], żeńskie i neutralne zaimki nie mogą być stosowane w odniesieniu do osoby Ducha Świętego".

■■■

Prezentowana w dokumentach KNW w XX i XXI w. tradycyjna i nowa argumentacja za doktryną wykluczającą kobiety ze święceń kapłańskich – z „podobieństwa naturalnego"– ma swoje słabe strony i nie przekonuje. Wciąż czekamy na racje, które – respektując przemiany historyczno-kulturowe naszych czasów w aspekcie antropologicznym – w pełni będą pozbawione elementów dyskryminujących kobiety.

Niemniej problemy z argumentacją za doktryną rezerwującą święcenia kapłańskie dla mężczyzn wiążą się nie tylko z zagadnieniami antropologicznymi, lecz także z pytaniem o model kapłaństwa w niej zakładany. Czy jest to model odpowiedni dla czasów, w których przyszło nam, świeckim i duchownym, dziś żyć i Kościołowi pełnić swoją misję? To już pytanie na kolejny artykuł.

© JÓZEF MAJEWSKI

Odrzucić pancerz, zobaczyć świat

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK, TEOLOG:

Synodalność to rozmowa, która zmienia świadomość. Powinna się odbywać na wszystkich poziomach życia Kościoła.

PIOTR SIKORA: Dawniej synody były zwoływane, by rozstrzygnąć konkretną kwestię. Natomiast teraz papież Franciszek rozwija ideę synodalności jako pewnego permanentnego sposobu funkcjonowania Kościoła, który ma służyć ewangelizacji. Jak się ma jedno do drugiego?

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK: Pojęcie synodalności jest w Kościele rozumiane coraz szerzej. Chodzi o pewien styl podejmowania kościelnych decyzji – zbieramy się, wzywamy Ducha Świętego i podejmujemy trud rozeznania. Wątek rozeznania jest, moim zdaniem, kluczowy, bo on prowadzi do jak najszerszego uwzględniania doświadczeń i zdania różnych ludzi – by nie przegapić działania Ducha Świętego. W starożytności rzeczywiście synody były zwoływane ad hoc, do konkretnej sprawy, ale już na przykład Trydent nakazuje cykliczne, coroczne synody.

Ale przykład synodu o rodzinie pokazuje, że owa konkretność jest ważna. Skoncentrowano się – także w recepcji synodu – na konkretnym rozstrzygnięciu dopuszczenia do Eucharystii rozwodników.

Zgoda. Bo w synodalności chodzi o to, by rozpoznać, dokąd Duch prowadzi Kościół. Z jednej strony mamy ogólny horyzont, spojrzenie dalekosiężne – i tu dobrze robić cykliczne spotkania i przyglądać się swojej sytuacji, nawet jeśli nie mamy konkretnego problemu. Bywa też jednak, że stajemy wobec takiego konkretnego problemu i w jego kontekście pytamy, co Duch Święty mówi do Kościoła. Ta druga sytuacja jest konkretniejsza i przez to wydaje się bardziej paląca. Ale, myślę, trzeba zachować równowagę. Jeśli skupimy się tylko na bieżących problemach, możemy stracić szeroką perspektywę.

Rozumiem, że Franciszkowi chodzi bardziej o ten pierwszy aspekt i on właśnie jest głównym motywem zwołania trwającego synodu biskupów o młodzieży. Ale jeśli tak, to trudno odrzucić pojawiający się zarzut – o niereprezentatywność tego zgromadzenia. Rozpoczęciu synodu towarzyszył protest kobiet, że niewyświęceni zakonnicy – mężczyźni – mogą głosować na synodzie, a kobiety – nie. Sami młodzi posiadają nieliczną reprezentację i mogą się tylko przyglądać albo co najwyżej doradzać.

Jeśli uznamy, że synodalność objawia się w synodzie, to wiadomo, że będzie on niereprezentatywny, bo na synodzie obradują biskupi. I to też jest praktyka starożytna. Choć była wówczas traktowana z pewną elastycznością, to jednak biskupi mieli zdecydowane pierwszeństwo. Jeśli jednak zaczynamy traktować synodalność szerzej – a tego się dopiero uczymy – wówczas zaczyna się ona np. na poziomie parafialnej rady duszpasterskiej, a synod ogólnokościelny jest owocem doświadczeń i praktyki synodalności na różnych poziomach i zebraniem tego, co się wydarzyło wcześniej. W mojej ocenie nie potrafimy tego jeszcze w Kościele robić dobrze, ale prawo kanoniczne otwiera taką możliwość. Trzeba więc uruchomić tę powszechną synodalność. Jeśli jej nie ma, to rzeczywiście ktoś się może czuć pominięty – nie mógł wyrazić swego zdania, a gdzieś „na górze" obradują o tym, co dla niego ważne.

W historii były okresy bardziej elastycznego podejścia do obecności niebiskupów na synodach, współcześnie zaś takie szersze dopuszczenie do głosu i decyzji – nawet na najwyższym poziomie – świeckich i prezbiterów praktykują anglikanie. Może warto się od nich uczyć?

Do pewnego stopnia mamy to już wypracowane – także na poziomie prawnym. Istnieje rozróżnienie pomiędzy synodalnością a kolegialnością. Kolegialność jest ściśle związana ze święceniami biskupimi. Decyzje ściśle kolegialne podejmują sami tylko następcy apostołów. Natomiast synodalność, jako szersza i „bardziej miękka" z punktu widzenia prawa, dopuszcza udział innych osób, także z prawem głosu. Na synodzie diecezjalnym jest tylko jeden biskup, inni – kobiety i mężczyźni – mają równe prawo głosu, a to jest przecież synod. Doradczy, ale jednak synod. Oczywiście pozostaje pytanie, jak ukształtować struktury Kościoła na różnych poziomach, by ta dynamika została zachowana bez naruszenia kolegialności.

Czyli taki synod biskupów jak ten, który właśnie trwa, mógłby być synodem nie tylko biskupów...

W idei cyklicznego synodu biskupów, jaką sformułowano po Soborze, kryje się pewien problem teologiczno-kanoniczny. Jeśli bowiem to jest reprezentacja biskupów z całego świata, czy nie jest to właściwie quasi-sobór – działanie kolegialne? Jeśli zaś ma być tylko ciałem doradczym papieża, to właściwie każdy może być tam obecny z prawem głosu. Ale – powtarzam – trzeba pracować na wszystkich poziomach, choćby przez synody diecezjalne.

Jak taki synod wygląda?

To zależy od tego, czego będzie chciał biskup diecezjalny. Choć prawo dość dobrze określa, kto jest z mocy prawa powoływany na taki synod, biskup może powołać także inne osoby, ma w tym sporą swobodę. Podobnie ma swobodę w wyznaczeniu problematyki – możliwy jest zarówno synod zajmujący się jednym wąskim zagadnieniem, jak i taki, który jest wielowymiarowym przeglądem życia diecezji.

A jak to wyglądało w diecezji katowickiej, gdzie Ksiądz był sekretarzem synodu?

W każdej parafii był powołany zespół synodalny – poszerzona rada duszpasterska. Oprócz tego ludzie mogli organizować się sami w zespoły tematyczne, biskup każdy taki zespół zatwierdzał. Powstawały też zespoły internetowe. Parę takich zespołów wniosło zauważalny wkład w kształt dokumentów synodu.

VATICANMEDIA / CPP

Biskupi podczas mszy św. otwierającej Synod, Watykan, 3 października 2018 r.

Czy ludzie sami zgłaszali problemy, którymi chcą się zająć, czy była jakaś „odgórna" lista?

Zaczęło się od sporządzenia przez komisję presynodalną listy kilkudziesięciu zagadnień. Ludzie byli pytani, które kwestie z wymienionych uważają za najważniejsze. Na podstawie odpowiedzi (także indywidualnych, przesyłanych przez internet) stworzono poszczególne tematyczne komisje synodalne. One rozpisywały te zagadnienia w formie tabelki: problem – możliwe rozwiązanie – uzasadnienie. I to znowu szło do konsultacji do zespołów. Zespoły wypowiadały się, czy proponowane diagnozy i rozwiązania są słuszne, czy nie, czy coś pominięto; na podstawie tych odpowiedzi komisje tworzyły projekt dokumentów – znowu do konsultacji do zespołów; i dopiero potem na aulę – ogólne zgromadzenie synodalne.

A kto był „w auli"? Jak wyłaniano głosujących? To o tyle ważne, że jednym z podstawowych problemów zniechęcających do zaangażowania jest poczucie, że owoce całego wysiłku mogą utknąć gdzieś wyżej.

Kluczową rolę odgrywa sekretariat, bo to przez niego przepływają pomysły ludzi. A pojawiają się też pomysły dziwaczne, bo ludzie, którzy piszą, nie zawsze wiedzą, o co w Kościele chodzi – np. jedna pani napisała, by w kościołach podwieszać takie kule, jakie są na dyskotekach, bo fajnie odbijają światło... Takich pomysłów rzecz jasna nie poddawaliśmy pod dyskusję. Ważne, by sekretariat był filtrem, ale nie cenzorem. Ważne jest zaangażowanie biskupa w trakcie prac – bo wtedy unika się sytuacji, w której aula pracuje nieco obok, tzn. udziela biskupowi rady w kwestiach, o które jemu tak naprawdę nie chodzi. W naszym przypadku zadziałało to chyba nie najgorzej – gdy uczestnicy synodu wzięli dokument końcowy do ręki, to – mimo wprowadzonych przez biskupa po zakończeniu obrad poprawek – mieli raczej jasność, że to jest dokument wypracowany przez zgromadzenie.

Kto głosował?

Określana prawem reprezentacja duchowieństwa – część wybrana przez księży, część to „funkcyjni". Druga część to są przedstawiciele świeckich – tu prawo mówi: „w liczbie i sposobie określonym przez biskupa". U nas było tak, że parafialne rady duszpasterskie proponowały kandydatów diecezjalnej radzie duszpasterskiej, która spośród zgłoszonych wybrała członków synodu. Biskup jeszcze to grono uzupełnił o liderów ruchów i wspólnot. I niewielka reprezentacja zakonów. Na niektórych sesjach mieliśmy też przedstawicieli Kościołów niekatolickich.

Z punktu widzenia człowieka świeckiego wygląda to bardzo klerykalnie. Ostatecznie wszystko zależy od biskupa – kto i o czym może rozmawiać...

Synod diecezjalny jest doradczym ciałem biskupa. Zadaniem biskupa, też zapisanym w prawie, jest uwzględnianie głosu wiernych. Albo ufamy biskupowi, albo nie ufamy i mamy erozję wspólnoty.

Historia pokazuje, że biskupi bywają różni. Może lepiej byłoby, aby odpowiedzialność za Kościół rozłożyć na wiele podmiotów. Czy teologicznie jest to możliwe?

Taka już po części jest – w synodzie spora grupa ludzi musi uczestniczyć z mocy prawa. Biskup ma obowiązek w wielu sprawach zasięgnąć opinii rady kapłańskiej. Podejmuje decyzje, ale po zapytaniu. Prezbiterium – idea grona starszych – to była zawsze rada biskupia. Natomiast ostateczne prawo podejmowania decyzji przez biskupa jest nie do ruszenia. Struktura Kościoła jest nabudowana na sakramencie i sukcesji apostolskiej.

A czy były jakieś konkretne pozytywne owoce tego synodu?

Chyba największym echem odbiło się to, że zlikwidowaliśmy kartki od spowiedzi. Uruchomiliśmy szkołę katechetów parafialnych – ludzi, którzy będą ↦

↦ w parafiach pomagać w przygotowaniu do sakramentów, w katechezie dorosłych. Trochę podobnych drobiazgów by się jeszcze znalazło. Ale, moim zdaniem, najważniejszym owocem synodu było to, że mnóstwo ludzi uświadomiło sobie, że istnieje Kościół lokalny, czyli diecezja – nie tylko parafia. Synod jest przede wszystkim pracą nad świadomością. Także trwający właśnie synod o młodzieży.

W sensie?

W tym sensie, że to, co może on przynieść, to wzrost świadomości, iż trzeba upodmiotowić młodzież w duszpasterstwie. Nie spodziewałbym się natomiast wielu konkretów – w tak zróżnicowanym świecie trudno znaleźć wspólne konkretne rozwiązania duszpasterskie. Raczej chodzi o rachunek sumienia i pewne uwrażliwienie na poziomie globalnym, ale takie, które miałoby wpływ na Kościoły lokalne. Zapewne jakiś dokument powstanie i będziemy go czytać we wspólnotach lokalnych. I to będzie ważniejszy czas od samego zgromadzenia synodu. To będzie właściwy proces synodalny – powszechny horyzont będzie musiał zostać przetłumaczony na horyzonciki naszego lokalnego rozumienia i praktyki. Synod w Rzymie to tylko impuls, by zrobić coś na dole.

Ale czy jego głos będzie rzeczywiście słuchany? Niektórzy mówią – choćby abp Chaput z Filadelfii – że w momencie wychodzenia na jaw skandali systemowego krycia przez biskupów księży pedofilów synod będzie niewiarygodny.

Wyobrażam sobie, co by było, gdyby ojcowie Soboru Trydenckiego stwierdzili, że – skoro biskupi się źle prowadzą – nie robimy soboru, poczekamy ze sto lat, aż się nawrócą... No nie. Gdy ojcowie Trydentu uchwalali, że biskupi mają pozostawać w swoich diecezjach, niejeden pewnie płakał w kąciku, że mu się haj lajf kończy. Ale to uchwalili. Jeśli będziemy czekać na moment, w którym jesteśmy wiarygodni, bo nieskalani, to on się nie wydarzy. Przynajmniej przed paruzją. Powinniśmy być wiarygodni w nawróceniu. Nawracajmy się i róbmy swoje.

Dyskusja nad dokumentem przygotowawczym do synodu, jaka toczyła się także w mediach, dotyczyła nie tyle kwestii młodzieży, co antropologii i modelu Kościoła. Może tak naprawdę najważniejszym tematem synodu będzie nie młodzież, ale Kościół i jego autorytet.

Ja bym się nie gorączkował takimi głosami. Tym bardziej że uderzanie do mediów to tak naprawdę polityczne rozgrywanie kościelnego zgromadzenia. Niech biskupi, którzy się zgromadzili, przemyślą i przedyskutują poruszane kwestie bez nacisków, a gdy będzie dokument synodalny – będziemy nad nim debatować. Czuję dyskomfort wobec prowadzonej medialnie polityki kościelnej.

Ale czy debata medialna nie jest jedną z form szerszej synodalności?

Raczej nie. Patrzę na to z perspektywy prac mojego synodu. Umożliwiliśmy mnóstwo sposobów komunikacji wewnątrzsynodalnej. Gdyby jednak ktoś zamiast tego poszedł do mediów lokalnych i ogłaszał tam swoje pomysły, nie byłoby to działanie eklezjalne. Bo byłoby to przenoszenie rozmowy poza Kościół, działanie obok wspólnoty. To tak, jakby w starożytności ktoś chciał przenieść synod na agorę, na której było pełno pogan. W starożytnym Kościele stali przed wejściem ostiariusze z pałami i pilnowali, by osoby niepowołane nie wchodziły na zgromadzenie.

Wracamy do problemu, kto jest powołany. Być może wykorzystywanie mediów bierze się dziś często z rozejścia się struktur kościelnych ze zmienioną świadomością, kto powinien być powołany – choćby kobiety...

Tylko kto to ma określić? Owszem, struktury są niedoskonałe, choćby przez to, że marginalizują kobiety. Ale powstaje pytanie, jaką drogą najlepiej je zmieniać. Moim zdaniem naciski medialne i protesty tylko utrudniają rozmowę, która może doprowadzić do zmian.

Kobiety mogłyby odpowiedzieć: „Mówisz, że utrudniamy rozmowę, ale postępujemy w taki, a nie inny sposób, bo do rozmowy nie zostałyśmy dopuszczone. A to jest także rozmowa o nas”.

Jest to sprawa trudna. Patrząc od strony kogoś zaangażowanego w kościelną praktykę, uważam, że Kościół jest niedoskonały i jeśli nie dostrzegamy tej niedoskonałości, to fatalnie. Jeśli się na nią zgadzamy, to fatalnie. Ale jeśli liczymy, że ona się zmieni za pięć minut – to też fatalnie.

Może w tej sytuacji właściwszą formą synodalności (nie kolegialności) są wydarzenia w rodzaju Światowych Dni Młodzieży – gdzie mamy do czynienia z bardziej reprezentatywnym uczestnictwem tych, o których mowa?

Jest jednak różnica pomiędzy synodem młodzieży a synodem o młodzieży. Synod młodych wymyślił założyciel Wspólnoty z Taizé, Roger Schütz. I zrobił to genialnie. I coś takiego powinno być na stałe w strukturze Kościoła, być może w oparciu o ŚDM. Synod młodych – czyli nie uczestniczy w nim nikt, kto ma ponad np. trzydzieści lat. Chciałbym posłuchać takiego głosu w Kościele, niemoderowanego przez takich czterdziestosiedmioletnich starców jak ja. Bo świat się zmienia bardzo szybko i starcy (prezbiterzy) mogą tego nie widzieć tak dobrze jak młodzi. Ale teraz mamy w Rzymie coś innego: synod biskupów o młodzieży. Gdzie duszpasterze zastanawiają się, jak duszpasterzować młodym i ich upodmiotowić.

POŻEGNANIE

W pierwszą rocznicę śmierci

Ś.† P.

Księdza Prałata Mieczysława Turka

zostaną odprawione w kolegiacie św. Anny w Krakowie msze święte za spokój Jego duszy i w podziękowaniu za wszelkie dobro, które od Niego otrzymaliśmy.

W niedzielę 14 X o godz. 10.00 i w środę 17 X o godz. 18.00

Duszpasterze kolegiaty św. Anny
Rodzina i Przyjaciele

Ale czy synod starców o młodych bez dobrze zrobionego synodu młodych ma sens? Czy nie jest za wcześnie?

Być może ten synod o młodzieży sprawi, że powstanie synod młodych. Bo część widzi taką potrzebę, część nie. Potrzebna jest rozmowa. Przy tak dużych grupach ludzi, gdy próbujemy pracować nad świadomością, to nic się nie da zrobić „instant", od razu. Trzeba mieć bardzo wydłużoną perspektywę. Nawet poza granice ludzkiej cierpliwości. Gdy przyspieszymy w tempie tych bardziej żwawych, ktoś inny nie nadąży. Problemy z tzw. tradycjonalistami po Soborze Watykańskim II jasno to pokazują. Z drugiej strony, gdy pójdziemy za wolno, to ci z przodu się oderwą. Wyważenie odpowiedniej prędkości to jedno z ważniejszych zadań papieża. I bardzo trudne.

Może po to potrzebna mu synodalność...

Tym bardziej że papiestwo przez długi czas było jak wóz pancerny. Wprawdzie jest dobrze chroniony, ale widać z niego niewiele przez wąskie szparki. Przemiana papiestwa w stronę synodalności to zrywanie kolejnych blach: niektóre zdejmujemy sami, a czasami ktoś tak walnie, że jakaś odpadnie. Za każdym razem, gdy odrywa się kolejna blacha, stajemy się bardziej podatni na zranienia, ale widzimy szerzej. To właśnie teraz dzieje się z instytucjonalnym Kościołem – także przez synodalność, która wymaga, by rozglądać się dookoła, o trzysta sześćdziesiąt stopni.

©℗ Rozmawiał PIOTR SIKORA

GRAŻYNA MAKARA

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK jest teologiem, adiunktem w Katedrze Teologii Dogmatycznej i Duchowości Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Podczas prac II synodu archidiecezji katowickiej pełnił funkcję jego sekretarza. Obecnie jest dyrektorem Ośrodka Formacji Diakonów Stałych archidiecezji katowickiej.

BARTOSZ MROZOWSKI / KINO ŚWIAT

Arkadiusz Jakubik w filmie „Kler"

Pod upadłym aniołem

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Oszałamiający sukces kasowy filmu „Kler" to wydarzenie bez precedensu w naszym kinie najnowszym. Co może nam powiedzieć o polskiej publiczności? Daliśmy się nabrać?

Takiego wyniku nie spodziewali się nawet bukmacherzy, stopniowo zwiększający przed premierą szacunkowe liczby, które można było typować. 935 357 widzów zobaczyło film Wojciecha Smarzowskiego w weekend otwarcia. „Kler" spowodował wśród kiniarzy radosne zamieszanie: organizowali dodatkowe seanse, obserwowali pękające w szwach sale i niezwykłą, wczesnojesienną aktywizację widowni.

Do granic poczciwości

Opowieść o trzech księżach, przyjaciołach z czasów młodości, okazała się raczej fenomenem społecznym niż samodzielnym dziełem sztuki. Fenomenem wyrastającym z obywatelskiego gniewu i wprost się do niego zwracającym, inscenizującym na ekranie to, co od dawna chcieliśmy zobaczyć, ale co z różnych powodów pozostawało „światem nieprzedstawionym". „Kler" nie mógł zresztą trafić na bardziej podatny grunt. W sytuacji, w której w związku z aferami pedofilskimi tematyka kościelna nie schodzi z pierwszych stron gazet, zaangażowana satyra Smarzowskiego jawi się jako filmowy odpowiednik uderzenia pięścią w stół.

Powodzenie „Kleru" jest szczególnie znaczące w kontekście innego zjawiska – słabego zainteresowania filmami o wierze oraz filmami z prokatolickim przekazem. Abstrahując od wszystkich różnic między nimi, takie tegoroczne tytuły jak hiszpański „Święty niezłomny" oraz „Ignacy Loyola", francuska „Tajemnica objawienia", amerykański „Paweł, apostoł Chrystusa" (z muzyką Jana A.P. Kaczmarka), „Maria Magdalena" z pierwszorzędną hollywoodzką obsadą oraz polski dokument „Gurgacz. Kapelan Wyklętych" mogły pochwalić się widownią wahającą się od niewiele ponad tysiąca ↦

↦ do maksymalnie kilkudziesięciu tysięcy osób.

Do wyjątków należy „Zerwany kłos" Witolda Ludwiga z 2017 r. (intensywnie reklamowany w parafiach i przez producenta, Fundację Lux Veritatis o. Tadeusza Rydzyka), który zgromadził ponad dwustutysięczną widownię. Na polskim rynku jest duża podaż podobnych filmów, związana być może ze zmianami w kulturze, które wymuszane są przez obecną władzę. Gorzej jest natomiast z popytem. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest pewnie wiele, począwszy od nasycenia naszej rzeczywistości katolicką sztuką i, niestety częściej, kiczem.

Pseudorealizm

Polskie kino nie miało w ostatnich dekadach zbyt wiele do zaoferowania antyklerykałom. Trylogia „U Pana Boga..." Jacka Bromskiego ustanowiła poczciwy i komiczny standard portretowania duchowieństwa, podjęty przez serial„Ranczo" i garść innych produkcji. „Kler" odwołuje się więc raczej do demaskatorskich reportaży o Kościele katolickim i krzykliwego dyskursu znanego z tygodnika „NIE". Smarzowski popada w groteskę, ale też próbuje ją przekroczyć – z empatią przyglądając się ofiarom pedofilii. Właśnie ten podwójny ruch – gromadzenie rubasznych anegdot o grzesznych i chciwych księżach oraz nadbudowanie na tę ramę wątku zogniskowanego na krzywdzie doświadczanej przez dzieci – sprawia, że „Kler" jest odporny na krytykę.

Każda próba podważenia jego wartości lub choćby zgłoszenia doń kilku zastrzeżeń jest skazana na porażkę, ponieważ w realiach polskiej debaty od razu sytuuje dyskutującego po przeciwnej stronie barykady (jako tego, który np. bagatelizuje problem pedofilii czy też za wszelką cenę próbuje wyprzeć „prawdę o Kościele"). Zachwyt i euforia towarzyszące recepcji „Kleru" sprawiają, że krytyka i dziennikarze niejako akceptują ten film w całości. Słowem: są skłonni odpuścić mu wszystkie winy.

Tymczasem miejsce twórczości Smarzowskiego na mapie polskiego kina jest co najmniej dwuznaczne. Najwięcej problemów sprawia próba rozdzielenia estetyki reżysera od poruszanej przez niego problematyki. Można spotkać się ze stwierdzeniem, że „Kler" to „bardzo ważny film", ale „mało subtelny artystycznie". Czy w istocie powinniśmy zadowolić się uznaniem jego „rangi społecznej", przymykając jednocześnie oko na niekiedy wulgarny styl opowiadania?

> Wbrew temu, co mówi sam Smarzowski, jego filmy wcale **nie zachęcają do dialogu.**

Jednym z błędów polskiej krytyki jest podążanie za sugestiami samego Smarzowskiego, który wielokrotnie mówił, że „lubi realizm". Surowa energia i posunięty do granic wytrzymałości naturalizm, które emanują z jego filmów, często były brane za realizm właśnie – za konwencję, która odnosi się do rzeczywistości z szacunkiem i sprawia wrażenie wiarygodnej, odpowiadającej w jakiejś mierze naszemu codziennemu doświadczeniu. W tym sensie jednak Smarzowski nigdy nie był realistą – raczej specem od przesady, dysponującym mrocznym poczuciem humoru. Fakt, że dajemy – albo dawaliśmy do niedawna – jego filmom rękojmię „prawdy" („tacy właśnie jesteśmy!"; „tak było!"), mówi więcej o nas samych jako widzach, którzy okrucieństwo i grubą kreskę (byle tylko stawiającą nas w negatywnym świetle) biorą za domyślny i neutralny styl opisu. Najwyraźniej brak mocnych przykładów wartościowego artystycznie realizmu w polskim kinie sprawił, że z braku laku zaakceptowaliśmy jego karykaturę.

Nie jest więc przypadkiem, że przy okazji premiery zwiastuna „Kleru" pojawiły się złośliwe porównania Smarzowskiego do Patryka Vegi, czyli drugiego najpopularniejszego polskiego współczesnego filmowca. Obu panów łączy więcej, niż chcielibyśmy przyznać: podobnie anegdotyczny sposób budowania fabuł, posiłkowanie się stałą ekipą znakomitych aktorów, wyczulenie na uliczną polszczyznę, przyglądanie się kolejnym instytucjom (lekarzom i służbom specjalnym u Vegi, drogówce u Smarzowskiego), częste przedkładanie wyrazistego efektu ponad niuanse, niewyszukany humor, rozmiłowanie w portretowaniu patologii i świata przestępczego oraz, przede wszystkim, budowanie zaufania u widowni, dla której oba nazwiska są gwarancją – rozmaicie rozumianej – jakości. Ze względu na bardziej staranny warsztat i artystyczną powagę Smarzowski ma jednak u nas status wybitnego filmowca, z kolei biznesmen Vega wzbudza wśród krytyków uśmiechy politowania. Na pytanie, jaka część wielomilionowej widowni jest wspólna dla obu reżyserów, nie sposób odpowiedzieć bez rzetelnych badań, ale nie sądzę, by między obiema grupami była tak wielka przepaść, jak sugerują recenzujący z niesmakiem filmy Vegi arbitrzy elegancji.

Pewność jest płaska

Prowadzi nas to do kluczowej cechy kina Smarzowskiego, która każe z dystansem spojrzeć na tezy głoszące, że „Kler" przyczyni się, choćby częściowo, do uzdrowienia sytuacji w Kościele. Wbrew temu, co mówi reżyser, jego filmy wcale nie zachęcają do dialogu i nie prowokują do dyskusji. Wydają się wręcz otoczone szczelną skorupą moralnej wyższości, która zdradza pretensje Smarzowskiego do bycia jedynym sprawiedliwym.

Widać to świetnie na przykładzie ukraińskiej recepcji „Wołynia" – innego filmu, który miał skłonić obie strony do refleksji. Obraz rzezi na Kresach został przez większość naszych sąsiadów odrzucony i zamiast zachęcać do rozpoczęcia rzetelnej rozmowy o przeszłości, wywołał zaledwie niechęć i reakcje obronne. Czyżby błędnie zinterpretowali intencje twórców? Nie da się operować zajadłą, nierealistyczną, zbudowaną na wizualnej przesadzie estetyką i twierdzić, że tworzy się w ten sposób platformę do partnerskiej rozmowy.

Kilka dni temu Smarzowski z zadziwiającym spokojem powiedział w radiu: „Myślę, że zrobiłem film dla katolików, bo zdanie ateistów jakoś mnie specjalnie nie interesuje, ponieważ oni myślą podobnie jak ja". A co, jeśli myślą zupełnie inaczej? „Kler" to film jednoznaczny, całkowicie czytelny od pierwszej do ostatniej sceny (także w sposobie, w jakim prezentuje duchowe rozterki księdza granego znakomicie przez Arkadiusza Jakubika). W tym zawiera się jego siła i, być może, źródło jego popularności. Jeśli jednak pokładamy wiarę w tym, że jest w stanie zainicjować moralne przebudzenie, to uciekamy się chyba do myślenia życzeniowego.

Niewykluczone, że pod płaszczykiem moralitetu o pedofilii Smarzowski wyświadczył wierzącym i niewierzącym niedźwiedzią przysługę: jednych storpedował zepsuciem kleru i zamknął im tym samym usta, drugich utwierdził w pogardliwych wobec Kościoła stanowiskach. Na półtony i półśrodki oraz na spotkanie – nie ma w jego kinie miejsca.

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI

PRENUMERATA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” TYLKO U NAS!

Informacja o rezygnacji z usług pośredników handlowych, np. kiosków czy firm kolporterskich, oferujących prenumeratę „TP”

Szanowni Państwo,

z roku na rok coraz więcej Czytelników „Tygodnika Powszechnego” decyduje się na wykupienie prenumeraty. Mamy w tej chwili najliczniejsze grono Prenumeratorów spośród wszystkich tygodników opinii wydawanych w Polsce (wg ZKDP*). Już niemal jedna czwarta spośród wszystkich Czytelników papierowego wydania czyta nas dzięki wykupionej prenumeracie.

Jest to dla nas wyrazisty znak, że darzą Państwo „Tygodnik Powszechny” coraz większym zaufaniem. To dla nas bardzo ważne. Nie chcąc zawieść tego zaufania – a nadto pragnąc wzmocnić więź łączącą nas z Czytelnikami naszego pisma – postanowiliśmy zrezygnować z usług pośredników handlowych oferujących naszą prenumeratę.

Bezpośredni kontakt z Prenumeratorami pozwala nam także zapewnić im najwyższą jakość obsługi stosownie do ich potrzeb i oczekiwań.

Prenumerata redakcyjna chroni Prenumeratorów od ryzyka nieotrzymania kolejnych wydań „TP” w przypadku zawirowań na niestabilnym obecnie rynku dystrybucji prasy.

Tak więc jedynym podmiotem obsługującym sprzedaż naszej prenumeraty jest nasze Wydawnictwo.

Prenumeratę będzie można zamówić w prosty sposób: najlepiej i najkorzystniej przez stronę internetową **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**, poprzez **przelew bankowy**, a w wyjątkowych sytuacjach także **osobiście w siedzibie redakcji**. Szczegółowy cennik, dodatkowe informacje i kontakt do osoby, która udzieli Państwu wyczerpujących informacji, znajdą Państwo poniżej.

Serdecznie dziękujemy za naszą obecność w Państwa domach

WYDAWCA

* dane ZKDP dot. prenumeraty wydawniczej indywidualnej

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł	

Oferta POKOLENIA 300 zł na rok

Niższa cena za roczną prenumeratę ekonomiczną dla osób, które w dniu zakupu są w wieku poniżej 25 albo powyżej 65 lat.

(Uwaga! zastrzegamy sobie prawo do weryfikacji prawa do ulgi)

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SZYMON

Hołownia:
Dwóch lub trzech

Gdybym był znanym i lubianym coachem (czyli zawodowym trenerem ludzi, żeby byli ludźmi), napisałbym książkę o konieczności jak najszybszego zakończenia ery zebrań i wyniesienia na piedestał spotkań.

Zebrania to mój koszmar. Jeszcze kiedy pracowałem w warunkach bardziej korporacyjnych, szybko się zorientowałem, że nie istnieje lepsza metoda turbomarnotrawienia czasu. Turbo, bo zamiast spalać czasowe rezerwy jednostki, pochłania je wielu osobom, często nie dając za wiele w zamian. Większość zebrań, w których brałem udział, to klasyczne nasiadówki, których celem teoretycznie miało być poinformowanie się o czymś lub wydyskutowanie decyzji, a w istocie bywały wygodną formą rozmycia odpowiedzialności. Bo skoro kolektyw chce iść w taką, a nie inną stronę...

Zebrania to pozór demokracji, fasada współpracy. Przedstawicielom świata biznesu zawsze sugeruję, by każdy, kto planuje zwołanie zebrania, z automatu płacił za to stówkę do wspólnej kasy, z której później w firmie kupuje się kawę albo prezenty na święta. Jeśli zebranie rzeczywiście jest niezbędne (bywa i tak) – te pieniądze to świetna inwestycja. W innym razie będą progiem, na którym zwołujący się zatrzyma. Bo gdy coś jest za darmo, ludzie zwykle biorą to bez opamiętania, gdy zaś pojawia się choćby minimalna opłata, zaczyna się kalkulacja, czy warto.

Spotkanie to zupełnie inna historia, inna gęstość. Cóż poradzę, że po tylu latach kościelnego życia wszystko kojarzy mi się z jednym – a w tym przypadku ze świętem Spotkania Pańskiego, jak nasi prawosławni bracia określają Ofiarowanie Pańskie. Podczas gdy nas owo „ofiarowanie" prowadzi raczej w kierunku analizowania judaistycznej obrzędowości, na Wschodzie towarzysząca temu świętu ikona czyni nas świadkami rewolucyjnego momentu o kosmicznym znaczeniu: oto przyjazne, płynnie zazębiające się w osobie Jezusa zetknięcie dwóch epok, dwóch bytów, dwóch światów, Starego i Nowego Testamentu, ludzkości i Boga Stwórcy, oczekiwania i spełniającej je nadziei.

Spotkanie nie pyta: „co zrobimy", ale „jak będziemy". Warunkiem wstępnym spotkania nie jest tożsamość poglądów, lecz jedynie szacunek dla obecności drugiego. Spotkanie nie zna imperatywu kompromisu, owego ciśnienia, które na zebraniach w miarę ich upływu każe nam przebierać nóżkami, bo jeszcze nie wydyskutowaliśmy protokołu zbieżności, jeszcze się do siebie nie upodobniliśmy. Spotkanie nie wymusza jednolitości. Są takie spotkania, z których zyskiem jest sam fakt spotkania. Podtrzymanie relacji. Zwiększenie zasobu poznawczej pojemności.

Czytając ostatnio opracowanie Jame Schaefer („Theological Foundations for Enviromental Ethics. Reconstructing Patristic and Medieval Concepts"), w którym analizuje ona nauczanie Ojców Kościoła i wielkich teologów przeszłości poświęcone relacjom człowieka z resztą stworzonego świata, natknąłem się na myśl, która mnie uwiodła. Schaefer pisze o „wyczekującej pauzie", która winna być ustawiona w nas jako domyślne zachowanie na początku każdego spotkania z innym bytem. Jasne, nie mówimy tu o sytuacjach, kiedy naprawdę niezbędne jest natychmiastowe podjęcie działania. Mówimy o tych, gdy mamy wybór: odpalić swoje „ja", świat swoich oczekiwań, wyobrażeń, głodów i lęków czy zrobić najpierw obok siebie odrobinę miejsca, tak by gość zdążył przekroczyć nasz próg i chociaż się przedstawić, zadać jakieś pytanie, zanim zaczniemy zarzucać go odpowiedziami. Nie kneblować gościa i przychodzącego w nim Boga.

To, co pisze Schaefer, to uniwersalna recepta dotycząca i ludzi, i zwierząt, i całości stworzenia. Przypominająca, że to nie my jesteśmy bogami, że Bogiem jest jednak Ktoś inny, kto nieustannie się przez ten świat wyraża. „Ludzie wierzący w to, że Boża obecność i charakter wyrażają się przez doświadczalny zmysłowo świat, powinni podchodzić do stworzeń ostrożnie, uważnie, z otwartością na ich sakramentalny charakter, unikać natychmiastowych reakcji, które mogłyby utrudnić ich zdolność do przekazywania owej Bożej obecności i charakteru. Wszystko, co stworzone: ziemia, zbiorniki wodne, masy powietrza – powinny być spotykane z oczekiwaniem, że Bóg chce nam coś przez nie powiedzieć. Żaden składnik świata nie powinien być postrzegany, dotykany, wąchany, słyszany czy smakowany bez odniesienia do Boga, którego hojność wyraża się w mnóstwie różnorakich bytów powstałych na Ziemi w procesie ewolucji. Żaden naturalny byt nie powinien być z miejsca odrzucany albo źle traktowany już na wstępie, z definicji, jeśli tylko nasze życie i jego absolutnie niezbędne potrzeby nie są bezpośrednio i nieodwołalnie zagrożone. Przystępujący do sakramentu stworzenia zatrzymają się w oczekiwaniu, uszanowując stworzenia, gdy zetkną się z nimi, ponieważ są one Bożymi pośrednikami".

Maryja nie odbyła „burzy mózgów" albo operacyjnego zebrania z aniołem. W scenie zwiastowania spotkały się i przeniknęły dwa kosmicznie różne światy. Spotkanie Jezusa z Janem Chrzcicielem, z Marią i Martą, z Nikodemem, z Zacheuszem, z celnikiem Mateuszem – to w nich się dziś przeglądamy, szukając inspiracji, ratunku; w myśli, że Bóg chce z człowiekiem być, a nie prać mu mózg, załatwiać z nim deale, oczekiwać sprawozdań. Spotkanie, a nie zebranie, zawsze ratowało ten świat, i tylko ono może go dziś uratować. To czytelna recepta, jak postępować we wszystkich (również tych dzisiejszych kościelnych) kryzysach, tak by wszystkiego, co nam dano, do końca nie zmaścić.

Kultury spotkania nam dziś trzeba w o wiele większym stopniu niż technik z dziedziny zarządzania. Mamy ogarnięte imprezy z udziałem tysięcy. Pytanie, jak radzimy sobie w sytuacji, gdy spotyka się (bo w tej skali to nie jest zebranie) „dwóch lub trzech". To ważne, by – gdy Jezusa coraz rzadziej spotkać można w wielkich chrześcijańskich zbiegowiskach – ocalić kameralną przestrzeń, w której zobowiązał się być. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

fanimani.pl

REKLAMA

Forum Odpowiedzialnego Biznesu i Kongres Różnorodności zapraszają na konferencję podsumowującą wyzwania dotyczące równości płci w Polsce

100 lat praw wyborczych kobiet. Praca, rodzina, rozwój – perspektywa równych szans

19 listopada,
Centrum Konferencyjne POLIN
ul. Anielewicza 6 w Warszawie

Dyskusje nie tylko o kobietach i nie tylko dla kobiet

W programie:

- Kobiety w polityce i życiu społecznym
- Miejsce kobiet na rynku pracy
- Praca i życie poza pracą
- Herstoria – kobiety i historia
- Praktycy o różnorodności – prezentacja najciekawszych polskich praktyk dotyczących zarządzania różnorodnością w miejscu pracy

Wśród gości konferencji m.in.: prof. Ewa Łętowska, Janina Ochojska, dr Sylwia Spurek, dr Ewa Woydyłło-Osiatyńska, Olga Kozierowska, Anna Dziewit-Meller, Joanna Warecha, dr Małgorzata Tkacz-Janik, Mary Thurston, ambasadorka Nowej Zelandii w RP, a także Rafał Woś, Jacek Masłowski i Przemysław Wiśniewski

WSTĘP WOLNY, po wcześniejszej rejestracji

www.odpowiedzialnybiznes.pl/100lat

ORGANIZATORZY

Forum Odpowiedzialnego Biznesu

Kongres Różnorodności

PARTNER TYTULARNY

Henkel

PARTNERZY

SIEMENS Ingenuity for life

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

PATRONI

Lewiatan

Kongres Kobiet

Stulecie Praw Kobiet

PATRONI HONOROWI

Rzecznik Praw Obywatelskich

POZnań Patronat Honorowy Prezydenta Miasta Poznania

Słupsk Robert Biedroń, Prezydent Miasta Słupska

Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy

Wrocław Patronat Honorowy Prezydenta Wrocławia

PATRONI MEDIALNI

Rzeczpospolita

Personel plus

Sukces pisany szminką

benefit

ngo.pl

PRoto Public Relations

be. Navigator

PARTNER MEDIALNY

Tygodnik Powszechny

NIE CHCĘ BIERNIE PATRZEĆ

Raport o pedofilii wśród księży w Pensylwanii wstrząsnął całym Kościołem katolickim w USA. Zawrzało też w Kalifornii, gdzie wierni domagają się podobnego śledztwa. Rozmawiała z nimi nasza korespondentka.

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO

Esther Hatfield-Miller ma za sobą trzy nieudane małżeństwa i pracę w ponad 30 miejscach. Przez wiele lat cierpiała też na huśtawki nastrojów, a poczucie winy „zajadała" ogromnymi ilościami pożywienia. Jeszcze dziś, gdy powracają jej traumatyczne wspomnienia, potrzebuje godziny, żeby się uspokoić.

Na życiu Esther zaważył okres licealny, gdy była molestowana seksualnie przez Michaela Nocitę – diakona z parafii św. Brygidy Szwedzkiej w kalifornijskim mieście Van Nuys. Wspomina, że najpierw były pierwsze dotknięcia w kościele, potem bardziej śmiałe próby w samochodzie oraz w domu, gdzie zaprzyjaźniony z jej rodziną diakon nocował wiele razy. Esther opowiada, że wszystko zaczęło się od przygotowań jej ojczyma do konwersji na katolicyzm.

Próbowałam się zabić

– Diakon Nocita miał być przewodnikiem duchowym ojczyma w tym procesie – mówi „Tygodnikowi" 58-latka. – Lubiłam słuchać, jak rozmawia z ojczymem o wierze. Stał się dla mnie autorytetem. Chciałam, by odpowiadał na moje pytania związane z religią. Zdawało mi się, że nie ma kwestii, której nie potrafiłby wytłumaczyć.

– Moi rodzice mu ufali i często pozwalali nam razem spędzać czas – wspomina dziś kobieta. – Nie wiedzieli, że potrafił kontrolować mój umysł i ciało. Czuł się bezkarny: dotykał mnie przy ołtarzu, na schodach przed kościołem, w szkole. Im bardziej ryzykowna była sytuacja, tym bardziej go to podniecało.

Z czasem Michael Nocita stał się zaborczy. Esther: – Mówił, w co mam się ubierać, jak się czesać. Bałam się powiedzieć o tym rodzinie, bo nie chciałam przeszkodzić w przygotowaniach ojczyma do przejścia na katolicyzm. Wiedziałam, że to ważne dla mojej matki, głęboko wierzącej katoliczki. Coraz trudniej było mi jednak poradzić sobie z tą sytuacją. Próbowałam popełnić samobójstwo. Po trzech latach ukrywania prawdy nie miałam już siły i zdecydowałam, że opowiem o wszystkim matce. Gdy uprzedziłam o tym Nocitę, zagroził mi, że Kościół unieważni konwersję mojego ojczyma – dodaje.

Po tym, jak rodzina Esther powiedziała w parafii o nadużyciach diakona, proboszcz przeniósł go do oddalonej o 62 km miejscowości San Pedro.

Pieniądze nie uleczą duszy

Michael Nocita nigdy nie został ukarany za swoje czyny. Odpowiedzialność poniosła jednak archidiecezja Los Angeles, przeciwko której Esther wraz z grupą 507 ofiar duchownych-pedofilów złożyła w 2003 r. pozew. Po czterech latach przedłużającego się procesu cywilnego Kościół zawarł ugodę z ofiarami i zgodził się zapłacić im 660 mln dolarów zadośćuczynienia. To najwyższe odszkodowanie w historii amerykańskiego Kościoła rzymskokatolickiego.

– Choć sprawa Michaela Nocity przedawniła się i nie mógł być pociągnięty do odpowiedzialności, byłam szczęśliwa, że pozwałam chociaż jego pracodawcę – mówi dziś Esther. – Jednak dużo mnie to kosztowało. Tak jak większość ofiar księży pedofilów bałam się, że pozywając Kościół, występuję przeciwko Bogu. Zajęło mi wiele lat, by w końcu stanąć na nogach. Dużą część odszkodowania wydałam na wizyty u psychologa. Wiem jednak, że żadne pieniądze nie uleczą do końca mojej duszy – dodaje kobieta, która jest członkiem amerykańskiego Ruchu Ofiar Księży (SNAP). W ramach organizacji prowadzi warsztaty terapeutyczne dla osób, które tak jak ona były molestowane seksualnie przez duchownych.

Esther uważa, że po niedawnej publikacji niezależnego raportu – ujawniającego, że w ciągu ostatnich 70 lat ponad tysiąc dzieci w Pensylwanii padło ofiarą księży pedofilów – przyszedł czas także na rozliczenie Kościoła w Kalifornii. Tutejszy oddział SNAP zachęca na swojej stronie internetowej do wysyłania listów do prokuratora generalnego Kalifornii Xaviera Becerry, z wnioskiem o przeprowadzanie w stanie podobnego śledztwa.

Także Esther wysłała już taki list. Ale nie jako katoliczka, bo – jak mówi – zaufanie do Kościoła straciła wiele lat temu.

Wierzę, dlatego działam

Elias Chavando, 49-latek z Los Angeles, nie spodziewał się, że zostanie kiedyś aktywistą. Jako konsultant specjalizujący się w marketingu internetowym całe dnie ↦

Esther Hatfield-Miller działa na rzecz ofiar księży-pedofilów. Na zdjęciu demonstruje przed katedrą w San Diego, 2007 r.

DENIS POROY / AP / EAST NEWS

SHATTERED

miał wypełnione spotkaniami z kontrahentami. Teraz każdą wolną chwilę Elias wykorzystuje na rozkręcanie grupy Clean The Church (Oczyścić Kościół), którą założył w reakcji na publikację raportu z Pensylwanii.

Elias tłumaczy, że grupa ma być platformą, w ramach której wierni będą mogli zgłaszać nadużycia w Kościele katolickim. Na portalu Change.org umieścił też petycję w sprawie postawienia w akt oskarżenia i pozbawienia tytułu kardynalskiego Rogera Mahony'ego.

Duchowny ten, który w latach 1985–2011 pełnił funkcję arcybiskupa metropolity Los Angeles, oskarżany jest o tuszowanie przypadków pedofilii wśród swoich podwładnych. Skandal z jego udziałem wybuchł w styczniu 2013 r., gdy odtajniono dokumenty wskazujące na to, że w latach 80. XX w. arcybiskup wysyłał księży oskarżanych o pedofilię poza Kalifornię. W wyniku afery obecny arcybiskup Los Angeles José Gomez zwolnił Mahony'ego z wszelkich obowiązków administracyjnych i publicznych. Kardynał nadal może natomiast odprawiać msze.

– Gdy wybuchł skandal wokół Kościoła katolickiego w Pensylwanii, pomyślałem, że to jedyny moment, by doprowadzić do przełomu w sprawie kardynała Mahony'ego – mówi „Tygodnikowi" Elias Chavando. – Nie zgadzam się z retoryką księży, że jako wierni nie powinniśmy oceniać innych ludzi, a naszym jedynym obowiązkiem jest przebaczanie.

– Wiara katolicka odgrywa w moim życiu ważną rolę – zapewnia Elias. – Chciałbym, aby Kościół był wolny od takich osób jak Mahony. Nie mogę biernie patrzeć, jak ten emerytowany biskup Los Angeles żyje spokojnie w parafii św. Karola Boromeusza w północnym Hollywood. To z jego powodu wielu wiernych odwróciło się od Kościoła. Nie chcą przyjmować od niego komunii świętej ani uczestniczyć w odprawianych przez niego mszach. Pod petycją, którą zamieściliśmy w serwisie Change.org, od końca sierpnia podpisało się już prawie 7 tys. osób – dodaje Elias, który 16 września wraz z innymi członkami grupy Clean The Church zorganizował protest pod kościołem św. Karola Boromeusza.

Zapowiada, że nie poprzestanie na tej jednej demonstracji.

Biskup czuje wstyd

Sandra, 70-letnia emerytowana technik laboratoryjna, od dzieciństwa co niedzielę chodzi na mszę do kościoła św. Patryka przy Trzydziestej ulicy w San Diego. Zapytana o komentarz dotyczący problemu pedofilii wśród księży, z początku wygląda na wystraszoną. Rozgląda się na boki i staje z dala od wychodzących z kościoła wiernych.

– To problem zamiatany pod dywan przez lata – mówi Sandra. – Uważam, że w Kalifornii powinno dojść do podobnego rozliczenia jak w Pensylwanii. Nigdy nie słyszałam o przypadkach pedofilii w naszej diecezji, ale jestem pewna, że do takich nadużyć dochodziło. Kościół winny jest nam prawdę.

– To trudny temat, podobnie jak kiedyś obecność osób homoseksualnych w kościele. Kilka dekad temu byłoby nie do pomyślenia, żeby gej przychodził na mszę albo rozwodnik przyjmował komunię świętą – dodaje kobieta. – Ale Kościół musi iść z duchem czasu, w przeciwnym razie straci wiernych i wpłacane przez nich datki. To przełom, że niedawno podczas kazania mówiono o problemie pedofilii – zaznacza.

Chodzi o list biskupa diecezji San Diego, Roberta McElroya, odczytany 26 sierpnia we wszystkich parafiach. Odnosząc się do raportu Wielkiej Ławy Przysięgłych w Pensylwanii, McElroy podkreślił, że „jako biskup czuje wyjątkowy wstyd za przywódców Kościoła, którzy w wielu przypadkach strach przed skandalem przedłożyli nad ochronę młodych ludzi".

Biskup ogłosił jednocześnie, że od początku października w ośmiu parafiach na terenie diecezji San Diego będą organizowane jego spotkania z wiernymi. Ich celem jest dyskusja na temat potrzebnych reform w Kościele. McElroy zapowiedział, że podczas sesji w szczególności będzie liczył się głos ofiar pedofilii i ich rodzin.

W reakcji na debatę wywołaną przez raport z Pensylwanii diecezja San Diego ogłosiła też nazwiska ośmiu księży-pedofilów, którzy zostali dopisani do wykazu stworzonego podczas głośnego procesu przeciwko tej diecezji w 2007 r. Wówczas to, wobec oskarżeń o molestowanie seksualne ze strony księży, diecezja San Diego zgodziła się wypłacić 144 ofiarom odszkodowanie w wysokości 198 mln dolarów.

Teolożka traci zaufanie

Doktor Emily Reimer-Barry, dyrektorka Wydziału Teologicznego na katolickim Uniwersytecie w San Diego, uważa, że reakcja tutejszej diecezji na dyskusję wywołaną raportem z Pensylwanii przynosi nadzieję na zmiany. Ale oprócz słów, jej zdaniem potrzebne są konkretne działania.

– Diecezja San Diego ogłosiła nazwiska księży pedofilów, ale wszystkie te sprawy są sprzed wielu lat – mówi „Tygodnikowi" teolożka. – Wierni zadają sobie teraz przede wszystkim pytanie, czy molestowanie seksualne w Kościele to aktualny problem. Czy posyłając swoje dzieci do szkoły katolickiej, wystawiają je na ryzyko nadużyć? I dlaczego mają dawać pieniądze na tacę, jeśli środki te mogą być potem przeznaczone na odszkodowania dla ofiar księży pedofilów?

– Ludzie stracili zaufanie do Kościoła – mówi dr Emily Reimer-Barry. – Ja jestem głęboko wierzącą katoliczką i to dla mnie bardzo trudny czas. Dopóki diecezja nie wprowadzi konkretnych reform, nie będę miała zaufania do sposobu, w jaki radzi sobie z kryzysem.

Teolożka podkreśla, że najbardziej niepokoi ją brak transparentności dotyczący obecnych przypadków molestowania seksualnego w Kościele. Ogłaszając osiem nazwisk księży pedofilów, diecezja San Diego podkreśliła, że w ostatnich latach odnotowano cztery przypadki nadużyć wobec osób dorosłych. Do tej pory upublicznione zostało jednak tylko nazwisko Jacoba Betranda, skazanego za molestowanie 24-letniej amerykańskiej studentki na Papieskim Uniwersytecie św. Tomasza z Akwinu. Gdy poznali się w 2009 r. w Rzymie, Bertrand był jeszcze diakonem. Już jako ksiądz służył potem w czterech parafiach w hrabstwie San Diego.

Jedną z nich była parafia św. Róży z Limy w miejscowości Chula Vista, gdzie w przykościelnej szkole podstawowej uczą się dwie córki doktor Reimer-Barry.

– Na szczęście Bertrand służył w tej parafii, zanim moje córki zaczęły chodzić do szkoły – mówi teolożka. – Ale przeraża mnie myśl, że ktoś mógł stać się kiedyś jego ofiarą. Chcę być pewna, że moje córki są bezpieczne, a działania uczących w szkole księży są lepiej kontrolowane.

Potrzebna jest reforma

Emily Reimer-Barry dodaje, że obecnie we wszystkich szkołach katolickich na terenie diecezji San Dego działa program „Safe Environment Training" (w wolnym przekładzie: szkolenie w zakresie bezpiecznego otoczenia).

– W ramach tego szkolenia rodzice robią kurs online dotyczący problemu mo-

lestowania seksualnego – mówi teolożka. – Za czasów biskupa McElroya wprowadzono też dodatkową kontrolę nowo zatrudnianych księży. To, czy kiedyś molestowali dzieci lub dorosłych parafian, nie jest jednak łatwe do sprawdzenia, bo większość ofiar takich przypadków nie zgłasza.

Teolożka podkreśla jednocześnie, że pozytywną zmianą w diecezji jest bardziej przejrzysty system zgłaszania nadużyć. Na diecezjalnej stronie internetowej widnieje numer telefonu osoby odpowiedzialnej za przyjmowanie zgłoszeń od rodzin, których dzieci zostały ofiarami pedofilii. Władze kościelne już na wczesnym etapie sprawy współpracują z organami ścigania.

Jednak Reimer-Barry uważa, że w Kościele potrzebne są też zmiany strukturalne. Na fali dyskusji o pedofilii teolożka zaproponowała na Uniwersytecie w San Diego spotkanie z ofiarami przemocy seksualnej ze strony księży. Jej kolejnym pomysłem jest wprowadzenie do programu nauczania wykładów dotyczących roli kobiet w Kościele, a także problemu klerykalizmu. Jak dotąd, udało jej się tylko przekonać władze uczelni do zorganizowania konferencji na temat nadużyć seksualnych w Kościele.

– Jako teolodzy mamy na uniwersytecie większą swobodę wypowiedzi – mówi dr Reimer-Barry. – Inaczej jest w przypadku organizowanych w kościele debat, podczas których od uczestników oczekuje się wypowiedzi zgodnie z obowiązującymi dogmatami. Księża boją się mówić publicznie o pedofilii.

Pytania prosimy przesłać mailem

Następnego dnia po rozmowie z dyrektorką Wydziału Teologicznego katolickiego Uniwersytetu w San Diego dzwonię do kilku parafii, gdzie odbędą się zapowiedziane przez diecezję spotkania z biskupem McElroyem. W każdej kancelarii dostaję odmowę udzielenia wywiadu i słyszę, że powinnam zwrócić się z pytaniami do diecezji.

Dzwonię więc do tamtejszego rzecznika prasowego, Kevina Eckery'ego. Na jego prośbę przesyłam pytania mailem. Do chwili oddania tekstu do druku odpowiedzi nie nadeszły.

© MARTA ZDZIEBORSKA

TOM WILLIAMS / AP / EAST NEWS

Brett Kavanaugh podczas przesłuchania przed komisją senacką. Waszyngton, 27 września 2018 r.

Tonący brzydko się chwyta

JAN SMOLEŃSKI

Spór wokół nominacji sędziego Bretta Kavanaugh do Sądu Najwyższego USA wiele mówi nie tylko o politycznej polaryzacji, ale też o przemianach społecznych w Stanach Zjednoczonych.

Sędzia federalny Brett Kavanaugh miał wyraźnie kłopoty z opanowaniem emocji. „Wasz skoordynowany i dobrze opłacony wysiłek, by zniszczyć moje dobre imię i moją rodzinę, nie zniechęci mnie! Podłe groźby pod adresem mojej rodziny nie zniechęcą mnie!" – grzmiał w wystąpieniu przed senacką komisją ds. sądownictwa jako nominowany przez prezydenta Donalda Trumpa na zwolnione miejsce w SN.

Słowo przeciwko słowu

Tymi „groźbami" miały być oskarżenia, jakie wobec sędziego Kavanaugh wysunęła Christine Blasey Ford, dziś profesorka psychologii na Uniwersytecie w Palo Alto w Kalifornii. Pani Ford twierdzi, że ponad 30 lat temu Kavanaugh próbował ją zgwałcić podczas zakrapianej alkoholem imprezy w ich czasach licealnych.

Kavanaugh twierdził też, że „kampanię oszczerstw" przeciw niemu mieli koordynować Clintonowie (w zemście za przegraną Hillary w wyborach prezydenckich), a opłacać „lewicowe organizacje". Nie sprecyzował, jakie.

Wystąpienia obojga – Kavanaugh i Ford – podczas przesłuchań przed komisją senacką nie mogły się bardziej od siebie różnić.

Ona mówiła rzeczowo i spokojnie, choć głos czasem jej drżał; odpowiedziała też na wszystkie pytania. Ze szczegółami opowiadała, jak Kavanaugh wraz z kolegą Markiem Judgem mieli wepchnąć ją do pokoju, zamknęli drzwi i podkręcili muzykę, by nic nie było słychać. Kavanaugh miał rzucić dziewczynę na łóżko, obmacywać i zrywać z niej ubranie. „Przygniótł mnie i zasłonił mi dłonią usta, gdy próbowałam wołać o pomoc" – mówiła.

Z kolei on na zmianę podnosił głos i płakał. Niektórzy twierdzili potem, że gdyby był kobietą, jego wystąpienie oceniono by jako histeryczne i niegodne przyszłego sędziego Sądu Najwyższego. Kavanaugh zaprzeczał wszystkim oskarżeniom i sugerował, że są wymierzonym w niego spiskiem. Ze łzami w oczach opowiadał o kalendarzu, w którym zapisywał wszystkie swoje spotkania, wzorując się w tym na ojcu. Na pytania senatorów i – zwłaszcza – senatorek z Partii Demokratycznej odpowiadał agresywnie lub odmawiał ↦

↦ odpowiedzi. Gdy senatorka Amy Klobuchar dociekała, czy upijał się w szkole średniej do nieprzytomności, odchylił się w krześle i z aroganckim uśmiechem odparł: „Nie wiem. A pani?”.

Wiarygodność sędziego

Kalendarz, który miał rzekomo dowodzić jego niewinności, wskazuje na coś wręcz przeciwnego. Ford twierdzi, że na imprezie, na której miało dojść do próby gwałtu, byli też wspomniany Mark Judge i inny młody mężczyzna, którego określa tylko inicjałami PJ. Z kolei Kavanaugh twierdzi, że do spotkania w takim składzie nigdy nie doszło, a Ford po prostu wyliczyła losowo imiona, które pamięta z czasów licealnych. Tymczasem w jego kalendarzu jest zapisane spotkanie z Judgem i owym PJ.

Do tego dochodzą inne wątpliwości dotyczące wiarygodności sędziego. W latach 2003-04 pracował w administracji George'a W. Busha przy zatwierdzeniu nominacji na sędziów Sądu Najwyższego. Otrzymywał wtedy dokumenty – jak się później okazało, ukradzione – z dokładnym opisem strategii Demokratów, którzy chcieli część z tych nominacji zablokować. Gdy sprawa wyszła na jaw, Kavanaugh twierdził pod przysięgą, że nie podejrzewał wtedy, iż dokumenty zostały zdobyte nielegalnie. To samo powtórzył podczas przesłuchania przed zatwierdzeniem go na stanowisko sędziego federalnego w 2006 r.

Tymczasem Lisa Graves, autorka części skradzionych notatek, napisała w artykule dla „Slate'a”, że to niemożliwe, zwłaszcza w świetle niedawno ujawnionych maili, z których wynika, iż osoba, która te dokumenty ukradła, przestrzegała przed ich ujawnieniem i dawała do zrozumienia, że były to tajne dokumenty Demokratów. Podobnego zdania jest senator Patrick Leahy, członek komisji z długoletnim stażem. A jeśli tak jest, wówczas Kavanaugh dopuścił się krzywoprzysięstwa, aby otrzymać stanowisko – byłoby to podstawą do jego impeachmentu.

Republikanie pod presją

Republikanie zdecydowali się na obronę Kavanaugh przez podważanie wiarygodności oskarżycielek. Podczas wiecu wyborczego Trump kpił z Christine Blasey Ford, zaś Mitch McConnell, lider Republikanów w Senacie, ujawnił – łamiąc niepisane reguły – szczegóły z życia seksualnego Julie Swetnick, która twierdzi, że Kavanaugh był obecny na studenckiej imprezie, na której padła ona ofiarą gwałtu zbiorowego.

Aby zrozumieć, dlaczego Republikanie tak gorliwie bronili Kavanaugh, trzeba umieścić tę nominację w kontekście wyzwań, przed jakimi stoi Partia Republikańska.

Pierwsze z nich – to kłopoty Trumpa, w tym „Russiagate”. Nadzorujący śledztwo FBI prokurator Mueller od dawna chce przesłuchać prezydenta. Kavanaugh mógłby być tu ratunkiem dla Trumpa, gdyż uważa on, że prezydentowi nie powinno się przeszkadzać w wykonywaniu obowiązków „rozpraszającymi” procesami. Jako sędzia Sądu Najwyższego mógłby uniemożliwić przesłuchanie Trumpa.

Kolejne wyzwanie – to listopadowe wybory uzupełniające do Kongresu i sondaże, które wróżą Republikanom klęskę. Jeśli Demokratom uda się uzyskać w nich kontrolę nad Senatem, mogą blokować nominacje Trumpa – tak jak kiedyś republikańscy senatorzy blokowali nominacje Baracka Obamy.

Istotnym elementem tej kalkulacji jest polaryzacja. Choć większość Amerykanów nie popiera nominacji sędziego Kavanaugh, to wyborcy, na których Republikanie mogą liczyć – już tak. Dla nich, pałających gniewem do Demokratów, każdy krok wstecz byłby oznaką słabości.

Trzecie wyzwanie – to przemiany społeczne i obyczajowe, które grożą Republikanom marginalizacją. Jedynym sposobem na jej powstrzymanie było dotąd ograniczanie frekwencji wśród mniejszości i tzw. *gerrymandering*, tj. manipulowanie granicami okręgów wyborczych. Dzięki temu Republikanie utrzymywali większość w Kongresie.

Następne kreślenie granic okręgów będzie w 2020 r. Jeśli Demokraci zyskają większość, będą mogli odwrócić zmiany wprowadzone dekadę wcześniej. Jako sędzia Sądu Najwyższego Kavanaugh mógłby te wysiłki Demokratów zablokować.

Biały, bogaty, roszczeniowy

Nie bez znaczenia w tym sporze jest życiorys sędziego. Absolwent elitarnej męskiej szkoły średniej Georgetown Preparatory i elitarnego Uniwersytetu Yale (gdzie trafił jako tzw. *legacy student*, tj. potomek absolwenta, swego dziadka) – przy takim uprzywilejowaniu Brett Kavanaugh był właściwie skazany na karierę na najwyższych szczeblach władzy.

Młodzi mężczyźni z takim pochodzeniem i socjalizacją są przyzwyczajeni, że wiele uchodzi im na sucho. Kwestie związane z przemocą seksualną – nie tylko, ale te często – zamiatane są pod dywan, w imię ochrony dobrego imienia elitarnych szkół.

Trudno tu uniknąć skojarzeń z nominacją sędziego Clarence'a Thomasa z 1991 r. Wtedy to Anita Hill oskarżyła go o molestowanie seksualne, gdy oboje pracowali m.in. w Departamencie Edukacji. Nagrań z przesłuchania Hill przed senacką komisją nie sposób oglądać bez zażenowania. Senatorowie, sami biali mężczyźni (dwóch z nich wciąż zasiada w tej komisji), odpytywali ją o szczegóły tak, by podać w wątpliwość jej wiarygodność. Niektórzy mówili, że jej oskarżenia to skutek niespełnionych fantazji o mężczyźnie, który ją pociągał.

Jednak rok 2018 to nie 1991. Dziś coś takiego nie jest możliwe – głównie za sprawą głośnej akcji #MeToo, w wyniku której m.in. kilku ważnych kongresmenów pożegnało się ze stanowiskami. Rozumiejąc trudność swego położenia, republikańscy senatorzy – sami wiekowi biali mężczyźni – wynajęli Rachel Mitchel, prokurator z Arizony, by w ich imieniu przesłuchała Ford i Kavanaugh. A gniew, który 27 lat mógł budzić zrozumienie, w 2018 r. wygląda groteskowo: Kavanaugh nie przypominał mężczyzny, którego dumę urażono, lecz rozpuszczonego chłopca.

Dokładnego zbadania sprawy domagały się American Bar Association i wiele osób, które wcześniej gotowe były ręczyć za sędziego. Kavanaugh stracił też stanowisko profesora na Harvard Law School. Oficjalnie sam zrezygnował, ale wiadomo, że uczniowie i absolwenci szkoły wystosowali listy w sprawie jego usunięcia.

W chwili, gdy ten tekst był oddawany do druku, wyniki głosowania nad zatwierdzeniem nominacji sędziego nie były jeszcze znane. Ale niezależnie od tego, za sprawą swych reakcji na oskarżenia i histerycznego wystąpienia w Senacie Brett Kavanaugh może przejść do historii jako symbol roszczeniowości białych bogatych mężczyzn, którzy tracą dziś swoją uprzywilejowaną pozycję. © JAN SMOLEŃSKI

RADOVAN STOKLASA / REUTERS / FORUM

Doświadczenie graniczne

PATRYCJA BUKALSKA

Na Słowacji wychodzą na jaw kolejne szczegóły dotyczące morderstwa młodego dziennikarza. Jednocześnie toczy się dyskusja o kondycji słowackiego państwa.

Ján Kuciak i jego narzeczona Martina Kušnírová zginęli w lutym, a policja od początku wiązała to z pracą Kuciaka jako dziennikarza śledczego. Jego ostatni tekst, niedokończony, dotyczył działalności włoskiej mafii na Słowacji i jej powiązań ze światem polityki. Podejrzanych aresztowano dopiero teraz, pod koniec września: według prokuratury zabójca to prawdopodobnie były policjant Tomáš Šz., pomagał mu jako kierowca Miroslav M., mord miała zlecić Alena Zs., a przedsiębiorca Zoltán A. miał między nimi pośredniczyć. Za śmierć Kuciaka – jego dziewczyna zginęła, bo znalazła się w niedopowiednim miejscu o niedopowiednim czasie – zapłacono podobno 70 tys. euro.

Ludzie w tle

Gdy zatrzymano podejrzanych, prezydent Andrej Kiska stwierdził, że to ważny, ale tylko pierwszy krok, bo „musimy się dowiedzieć, kto morderstwo zlecił" tak naprawdę. To istotnie najważniejsze, a także najtrudniejsze. Nie trzeba szczególnej wiedzy o śledztwie, by zdawać sobie sprawę, że Alena Zs. – tłumaczka języka włoskiego z Komárna – była tylko narzędziem.

Kto chciał więc śmierci dziennikarza? Słowacki „Denník N" pisze, że jeden z aresztowanych twierdzi, iż zleceniodawcą był Marian Kočner – kontrowersyjny przedsiębiorca, skonfliktowany z Kuciakiem (wiadomo, że mu wcześniej groził). Alena Zs. miała zaś współpracować z Kočnerem jako tłumaczka (on temu zaprzecza). Kočner również jest dziś w areszcie, ale w związku z przestępstwami gospodarczymi. Po śmierci Kuciaka był przesłuchiwany i choć wtedy wykluczono go ze sprawy morderstwa, teraz staje się głównym bohaterem medialnych spekulacji.

Od początku rozważany jest też wątek włoskiej mafii, której aktywność na Słowacji opisywał Kuciak. Są też politycy i ich współpracownicy, którym dociekliwy Kuciak mógł działać na nerwy. Ale niechęć do dziennikarzy i nawet werbalna agresja nie są w świecie polityki niezwykłe. Ani na Słowacji, ani gdzie indziej. Mord na zlecenie – to już inna sprawa.

Trauma dla narodu

Zabójstwo dwojga młodych ludzi wstrząsnęło Słowacją. W minionych miesiącach tłumy ludzi wychodziły na ulice: podczas największych od 1989 r. demonstracji żądano rzetelnego śledztwa. Pod presją społeczną do dymisji podali się premier Robert Fico i szef MSW Robert Kaliňák. Protesty nie były organizowane przez żadną partię – były inicjatywą ludzi, którzy nie chcieli pogodzić się z tym, co się stało.

Amerykański historyk Timothy Snyder stwierdził nawet, w wywiadzie dla portalu Salon, że może się to stać pokoleniowym doświadczeniem, które połączyło ludzi. Natomiast znany publicysta Martin M. Šimečka zwraca uwagę, że morderstwo Kuciaka i Kušnírovej wywołało w społeczeństwie traumę, „z której można wyjść tylko przez poznanie prawdy nie tylko o tym, kto je popełnił i zlecił, ale także o tym, co do niego doprowadziło. Musimy się dowiedzieć, w jakim kraju żyjemy, i spróbować go naprawić".

„Takie wyzwanie wymaga nowej umowy społecznej o gotowości do zaakceptowania prawdy o morderstwie, nawet jeśli okaże się przerażająca. Możliwe przecież, że dowiemy się o niciach powiązań, które od lat łączą na Słowacji politykę i przestępczość" – pisał Šimečka w „Denníku N".

Stan państwa

Po ostatnich aresztowaniach obywatele znów wyszli masowo na ulice, żądając „uczciwej Słowacji". Czy uda im się osiągnąć trwałą zmianę społeczną i polityczną? Na razie na jaw wychodzą kolejne sytuacje, gdy państwo zawiodło.

Niedawno opisywaliśmy w „Tygodniku" [nr 34/2018], jak wietnamska tajna policja uprowadziła z Europy swego obywatela Trịnh Xuân Thanha – przedsiębiorcę podejrzanego o oszustwa, który ubiegał się w Niemczech o azyl. Z pewnością byłoby to trudniejsze, gdyby nie swoista uprzejmość słowackich władz, które pożyczyły Wietnamczykom rządowy samolot. Ówczesny minister Kaliňák twierdzi, że nie miał pojęcia o porwaniu; użyczenie samolotu miało być tylko przysługą dla zagranicznej delegacji, której przydarzyły się kłopoty logistyczne.

Również w tej sprawie mamy dziś nowe fakty. W ostatnich dniach dwóch słowackich policjantów przyznało, że widzieli moment, jak Thanh był wleczony do samolotu na lotnisku, a prokurator zdecydował o wszczęciu śledztwa. Do czego ono doprowadzi? Czy uda się ustalić przebieg wydarzeń i motywy słowackich decydentów idących na rękę Wietnamczykom?

Zabójstwo dziennikarza i jego narzeczonej oraz porwanie Wietnamczyka to dwie różne sprawy. Ale łączy je jedno: od tego, jak zostaną wyjaśnione, zależy zaufanie Słowaków do ich państwa. ©

AFP / EAST NEWS

Prezydent i piłkarz George Weah (trzeci od lewej) podczas meczu Liberia-Nigeria na stadionie w Monrovii, 11 września 2018 r.

Król Lew i znikające miliony

WOJCIECH JAGIELSKI

George Weah – najlepszy piłkarz w dziejach Afryki, który na początku roku został prezydentem Liberii – w polityce nie czuje się tak pewnie jak kiedyś na boisku. Z państwowego skarbca zniknęło mu właśnie 100 mln dolarów.

Prezydent zezłościł się nie na żarty – oznajmił pod koniec września minister od informacji Lenn Eugene Nagbe. – Powiedział, że poruszy niebo i ziemię, aż znajdzie pieniądze i tych, którzy je ukradli albo zgubili".

Dla piłkarskich klubów, w których grywał 51-letni dziś George Weah – jedyny piłkarz z Afryki, który zdobył tytuł najlepszego gracza świata – kwota 100 mln dolarów nie jest pewnie czymś nadzwyczajnym. W końcu tyle mniej więcej kosztował drużynę Manchesteru United piłkarz Paul Pogba. Tyle też mniej więcej turyński Juventus zapłacił za zbliżającego się do sportowej emerytury 33-letniego Cristiana Ronaldo. I tyle mniej więcej kosztowałby Robert Lewandowski, gdyby monachijski Bayern zgodził się sprzedać go do innego klubu.

Gdyby Weah nadal grał w piłkę i był dziś w takiej formie jak w 1995 r., gdy uznano go za najlepszego piłkarza świata, kosztowałby zapewne jeszcze więcej. Może 150, może 200 mln. Ale w jego czasach takich pieniędzy nie płacono ani za piłkarzy, ani piłkarzom.

Dziś dla Barcelony, Paris St. Germain czy Manchesteru City 100 mln dolarów jest zwykłą sumą, jaką płaci się za transfery zawodników. Ale dla Liberii – wyjątkowo biednej (to jedno z dziesięciu najbiedniejszych państw świata), wyniszczonej wojnami (w latach 1989–2003 zginęło tu ćwierć miliona ludzi) i epidemią eboli (w latach 2014-15) – tych 100 milionów jest fortuną równą niemal dwudziestej części całego bogactwa kraju.

A tyle właśnie pieniędzy – czy też, ściślej: ich równowartość w miejscowej walucie, w dopiero co wydrukowanych w Szwecji i Chinach banknotach – przepadło jak kamień w wodę.

Zaginione po drodze

Sprawa wydała się we wrześniu, gdy napisała o niej miejscowa gazeta „Hot Pepper", lubująca się w aferach. Ujawniła, że zanim w styczniu 2018 r. Weah został zaprzysiężony na prezydenta, część zamówionych przez rząd i wydrukowanych w Szwecji (Liberia nie ma własnej mennicy) liberyjskich dolarów (16 mld w nowiutkich banknotach) dopłynęła w zapieczętowanych kontenerach do portu w stołecznej Monrovii.

Wiosną, gdy Weah już rządził krajem, samolotem z Chin dotarła kolejna partia banknotów, w jutowych workach. Według liberyjskiej gazety zarówno opieczętowane kontenery z portu, jak też worki dostarczone na lotnisko zostały wywiezione w obstawie uzbrojonej eskorty i miały trafić do banku centralnego. Ale po drodze przepadły bez śladu.

Władze próbowały zbyć sprawę milczeniem. Ale gdy we wrześniu gazety i rozgłośnie radiowe podniosły wrzawę, minister ds. informacji Nagbe ogłosił, że Weah nakazał pilne dochodzenie i zwrócił się o pomoc do przyjaciół z USA (Liberia powstała w XIX w. jako pierwsza w Afryce republika, utworzona dla uwolnionych czarnoskórych niewolników ze Stanów i Karaibów; przybysze zza Oceanu sami zniewolili potem tubylców, którzy w niewolę nigdy nie popadli). Pomóc mieli specjaliści

z amerykańskiego Departamentu Skarbu, z FBI, a także z Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Minister sprawiedliwości Frank Musah Dean poszedł krok dalej i obwieścił, że prezydent i jego ministrowie nie wiedzieli, że ich poprzednicy zamówili w Szwecji i Chinach druk pieniędzy, oraz że dopóki sprawa się nie wyjaśni, a zaginione banknoty nie odnajdą, 15 obecnych i byłych dygnitarzy ma zakaz opuszczania kraju.

Pani Ellen jest dotknięta

Wśród przymusowo zatrzymanych w kraju znalazł się Charles Sirleaf, zastępca gubernatora banku centralnego i syn poprzedniczki Weaha na urzędzie prezydenta, Ellen Sirleaf-Johnson. Pracował w banku za jej prezydentury, a Weah utrzymał go na posadzie.

Ellen Sirleaf-Johnson, która panowała w Liberii w latach 2006-18 – jako pierwsza w Afryce kobieta wyniesiona do godności głowy państwa – poczuła się tym dotknięta. Na Zachodzie uważa się ją za wzór dobrej przywódczyni, rządzącej uczciwie i sprawiedliwie, czułej na wolności obywatelskie. W 2011 r. otrzymała Pokojowego Nobla, a w tym roku, wiosną, Nagrodę Mo Ibrahima – fundowaną (5 mln dolarów) przez tego sudańskiego bogacza i filantropa, wyróżniającego afrykańskich przywódców, którzy – jego zdaniem – zasłużyli się dla pokoju i demokracji.

Gdy w Liberii wybuchł stumilionowy skandal, Sirleaf-Johnson przebywała w Waszyngtonie, gdzie odbierała kolejne wyróżnienie (tym razem Nagrodę Demokracji im. Charlesa T. Manatta). Odrzuciła zarzuty o niegospodarność i korupcję. Oznajmiła, że jej następcy wiedzieli o zamówionych w Szwecji i Chinach dostawach nowych banknotów, a jeśli nie mogą się ich doliczyć, to sami odpowiadają za bałagan i nie powinni zrzucać winy na nią i jej ministrów. Powiedziała też, że czuje się rozczarowana zachowaniem jej następcy, którego wyczyny na boiskach przyniosły mu, prócz sławy i majątku, dumny przydomek „Króla Lwa".

Sprawę próbował łagodzić minister finansów Samuel Tweah, który niespodziewanie obwieścił, że jego koledzy z rządu, ministrowie od sądów i informacji, nie mają o niczym pojęcia, a pieniądze nie zginęły, lecz zostały już dawno „wprowadzone do krwioobiegu gospodarki", z korzyścią dla wszystkich.

Młodzi rozczarowani

Stumilionowy skandal i sprzeczne deklaracje ministrów wprawiły Liberyjczyków w złość. Pod koniec września, mimo ulewnego deszczu, przed siedzibą władz, a także przed ambasadami USA, Unii Europejskiej i Unii Afrykańskiej, demonstranci wołali wniebogłosy: „Oddawać nasze pieniądze!".

Wzburzenie zapanowało zwłaszcza wśród młodych, których głosy wyniosły ich idola George'a Weaha na urząd prezydenta. Dla liberyjskiej młodzieży, stanowiącej dwie trzecie niespełna pięcio-milionowej populacji kraju, ten ekspiłkarz jest żywym przykładem kariery „od pucybuta do milionera" – i dowodem, że z nędzy można się wyrwać, by podbić świat. W październiku i grudniu 2017 r. (Weah wygrał w drugiej turze prezydenckich wyborów) głosowali oni masowo na „Króla Lwa", który obiecywał, że będzie rządził mądrze, troszcząc się o młodych i ubogich, oraz że wytępi plagi korupcji i kumoterstwa.

Winą za te ostatnie Liberyjczycy obarczają – tak wychwalaną na Zachodzie – Ellen Sirleaf-Johnson, dobie dwunasto-letnie panowanie przyniosło krajowi pokój i spokój, a także sześcio-procentowy wzrost gospodarczy. Ale skorzystali na tym tylko wybrańcy. Skromne zyski po dawnemu dzielono nierówno, a na intratne posady pani prezydent awansowała swych krewnych – prócz wspomnianego syna Charlesa, drugi jej syn Robert szefował państwowemu koncernowi paliwowemu, a przyrodni syn Fumba kierował służbami bezpieczeństwa. Awansowali też jej przyjaciele, wywodzący się głównie spośród potomków uwolnionych niegdyś niewolników z Ameryki, władających od zawsze Liberią.

Weah jest bowiem dopiero drugim prezydentem tego kraju, który pochodzi z ludów tubylczych. Pierwszy, Samuel Doe, przejął rządy w 1980 r. na drodze zbrojnego przewrotu i mordując poprzednika, aby w 1989 r. stracić władzę i życie również w zbrojnym zamachu.

„Fachowcy" z dawnych lat

Weah po raz pierwszy ubiegał się o prezydenturę w 2006 r., ale wtedy przegrał z Sirleaf-Johnson. Kandydując znów w 2017 r., obiecał zmiany wielkie, szybkie i tylko na lepsze. Ale szybko przekonał się, że więcej swobody miał kiedyś na boisku (nawet wiecznie okrążany przez obrońców z przeciwnych drużyn) niż teraz w polityce i rządzie.

Zdając sobie sprawę z rozczarowania rodaków jej rządami i przewidując, że zagłosują raczej na piłkarza niż na jej wiceprezydenta i kandydata jej partii Josepha Boakaia, ustępująca prezydent odmówiła udziału w kampanii wyborczej. Ostentacyjnie odcinała się od Boakaia, a liberyjskie gazety pisały, że po cichu, słowem i pieniędzmi, wspierała „Króla Lwa". Po wyborach własna partia zarzuciła więc jej zdradę i wykluczyła ze swych szeregów. Ale ta zdrada się opłaciła, bo do swojego rządu Weah wziął dygnitarzy z rządu poprzedniczki i powierzył im kluczowe resorty (m.in. dyplomacji i obrony). A także, jak wspomniano, utrzymał na posadzie syna Charlesa (pozostali bracia stracili stanowiska).

Nie mając dość fachowców we własnej partii, Kongresie na rzecz Demokratycznej Zmiany, Weah zaprosił też do rządu dawnych ministrów i doradców Charlesa Taylora – watażki, który w 1989 r. wywołał w Liberii wojnę, wygrał ją i zdobył dla siebie urząd prezydenta; sprawował go w latach 1997–2003. Obalony w wyniku kolejnej wojny, Taylor odsiaduje dziś w Wielkiej Brytanii wyrok 50 lat więzienia za zbrodnie wojenne (jednak międzynarodowy trybunał skazał go nie za zbrodnie, jakich dopuścił się w Liberii, lecz w sąsiednim Sierra Leone, gdzie też wywołał wojnę, by plądrować tamtejsze pola diamentów).

Tymczasem Weah wziął na swoją zastępczynię byłą żonę Taylora, Jewel, zaś byli ministrowie Taylora doradzają „Królowi Lwu" w sprawach gospodarki.

Słowa i czyny

W styczniu 2018 r., zaraz po objęciu prezydenckiego urzędu, Weah nakazał byłym dygnitarzom natychmiast zwrócić służbowe auta, które przywykli uważać za własne (nie wiadomo, ilu zwróciło). W marcu, po przyjrzeniu się państwowym przychodom i wydatkom, ogłosił, że odziedziczył kraj w ruinie, a jego rząd jest niemal bankrutem. „Bezrobocie i inflacja nigdy nie były tak wysokie, a wpływy do budżetu tak niskie" – mówił w parlamencie.

Oznajmił wtedy, że wobec powyższego rezygnuje z jednej czwartej prezydenckiej pensji. Wezwał też posłów, by wzięli z niego przykład i wyrzekli się części przysługujących im diet. „Pamiętajmy ↦

↦ wszyscy, że zostaliśmy wybrani, żeby służyć ludziom, a nie po to, żeby nimi władać" – powiedział. Posłowie jak to posłowie: bili mu brawo tak hucznie, że kilka razy musiał przerywać przemówienie. Ale żaden z nich nie zgodził się na obniżenie pensji poselskiej, która miesięcznie sięga 15 tys. dolarów (amerykańskich, nie liberyjskich).

Wkrótce potem okazało się, że mianowana przez „Króla Lwa" nowa szefowa portu w Monrovii zatrudniła na kierowniczych stanowiskach trzech braci prezydenta, a on sam sprawił sobie odrzutowiec wz celu odbywania zagranicznych podróży (z pierwszą poza Afrykę zagraniczną wizytą nie wybrał się do USA, jak poprzednicy, lecz do Francji, gdzie zaczynał piłkarską karierę, a gdzie w jego dawnej drużynie Paris St. Germain gra jego 18-letni syn Timothy, reprezentujący jednak nie Liberię, lecz USA – przyszedł na świat w Nowym Jorku).

Na własnym miejscu

W połowie września Weah wybiegł znów na boisko – być może po raz ostatni w prawdziwym meczu. W towarzyskim spotkaniu w Monrovii zagrał w drużynie narodowej Liberii przeciw Nigerii. Wystąpił, aby kibice mogli po raz ostatni obejrzeć koszulkę z numerem „14", w jakiej grał w reprezentacji (w uznaniu jego zasług postanowiono, że żaden inny piłkarz z drużyny narodowej z „czternastką" już nie zagra).

Liberia przegrała jeden do dwóch, a Weah – mimo pięćdziesiątki i rozbratu z regularnymi treningami – wytrzymał na boisku prawie cały mecz. Zszedł na dziesięć minut przed końcem, żegnany owacjami kibiców, którzy jeszcze w sierpniu mieli mu za złe, że najwyższe odznaczenie liberyjskiego państwa przyznał swoim trenerom, Francuzom Wengerowi i Le Roy. Le Roy jako pierwszy dostrzegł jego talent (Weah grał wtedy w Kamerunie) i polecił go Wengerowi, a ten sprowadził „Króla Lwa" do Europy. Wtedy kibice sarkali, że francuscy trenerzy przysłużyli się może jemu, ale Liberii już nie za bardzo.

Teraz, we wrześniu, znów zgodnie oklaskiwali prezydenta-piłkarza. Ten zaś sprawiał wrażenie, jakby na boisku wciąż czuł się lepiej i bardziej na swoim miejscu niż na salonach wielkiej polityki.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Rzadko słońce, częściej deszcz

TEKST I ZDJĘCIA MAREK RABIJ Z BANGLADESZU

W czerwcu lało przez 18 dni, w lipcu przez 22. W sierpniu mokra ziemia zaczęła pod własnym ciężarem wyjeżdżać spod szałasów uchodźców. Dziś nad obozy Rohingów zagląda słońce, ale wkrótce nadciągną cyklony.

Przy głównej drodze prowadzącej do obozu w Balukhali kilkuletni chłopiec próbuje wypuścić na sznurku latawiec, sklecony z torby foliowej rozpiętej na skrzyżowanych patykach. Za jego plecami, ponad wzgórzami pokrytymi gęsto szałasami uchodźców, niebo pociemniało w granat, zwiastując początek kolejnej burzy. Wiatr już się wzmógł, drobne śmieci zalegające między domami fruwają w jego podmuchach. Tylko latawiec nadal nie podrywa się do lotu. Zniecierpliwiony chłopczyk podnosi go i wtedy dostrzega, że folię oblepiła od spodu ciężka błotna maź, biegnie więc z zabawką w stronę najbliższej kałuży.

Kilkanaście sekund później latawiec jest już czysty. Wtedy z nieba spada deszcz.

Rohingowie mówią na niego „Zor"

Nieważne – krótki czy długotrwały, lekki czy intensywny, prosto z nieba czy wpadający zdradziecko z ukosa do domu wraz z podmuchami wiatru. Deszcz: jedno słowo na wiele pogodowych scenariuszy, a raczej na 12-14 letnich tygodni, gdzieś od połowy czerwca aż po październik, gdy róża azjatyckich wiatrów sprowadza nad Bangladesz najpierw deszczowe chmury znad Himalajów, a potem od południowego wschodu, znad parnego Morza Andamańskiego, nad kraj nadciąga monsun.

Temperatura, która w maju dobijała w południe do 43 stopni Celsjusza, stabilizuje się wówczas na poziomie 30-32 stopni w dzień i 26 w nocy. Przez grubą warstwę chmur słońce pali po prostu słabiej. O ile w styczniu bezchmurne niebo widać tu średnio przez 9 godzin na dobę, to w lipcu i sierpniu – tylko przez dwie.

Największe opady monsunowe biuro meteorologiczne Bangladeszu notuje od lat na południowym wschodzie kraju. Ściślej: w wąskim pasie lądu od miasta Cox Bazaar po Teknaf, którym Ludowa Republika Bangladeszu wciska się na południe między brzeg Zatoki Bengalskiej i rzekę Naf, wyznaczającą też granicę z Birmą.

W czerwcu średnio co 41 godzin spada tu 60 cm deszczu na metr kwadratowy, czyli dwa razy więcej niż w centrum kraju. W lipcu opady osiągają roczne maksima, przekraczając już średnio 73 cm na metr kwadratowy w każdy z 22 deszczowych dni.

Opady na zbliżonym poziomie notuje o tej porze roku także Polska – ale w przeliczeniu na cały miesiąc i aż 312 tys. kilometrów kwadratowych powierzchni kraju. Dystrykt Cox Bazaar liczy tymczasem niespełna 2,5 tys. kilometrów kwadratowych. To mniej więcej tak, jakby wszystkie lipcowe ulewy nad Polską spotkały się na wspólnych trzytygodniowych wakacjach w południowej Małopolsce.

Dlatego przez ostatnich kilkanaście tygodni w obozach dla Rohingów, rozciągających się na południe od Cox Bazaar, nie było ważniejszego tematu. Zor podmywał tu zbocza, które przez ostatnie miesiące ogołocono z roślinności, by zrobić szybko miejsce dla 716 tys. uchodźców, przybyłych od jesieni 2017 r. z Birmy, skąd wygnały ich czystki etniczne.

Z lewej: obóz Balukhali, widok ze szczytu jednego wzgórza na zbocza sąsiedniego, z widocznymi osuwiskami gruntu. 2 października 2018 r.

U góry: obóz Kutupalong. Shamsunnahar z dziećmi na podeście, który zbudował jej mąż, bo ze stoku lała im się do domu woda. 1 października 2018 r.

To zor zmiatał wraz z monsunowymi wichurami dachy szałasów skleconych z bambusa i płacht folii, a część dróg dojazdowych do obozu zmienił w grzęzawiska, przez które mogły się przedrzeć z dostawami żywności i leków jedynie wojskowe pojazdy gąsienicowe. I to przez niego zmoczone ubrania butwiały w zawilgoconych szałasach, a zziębniętymi lokatorami targały gorączkowe dreszcze.

Rohingowie nazywają je „Dzor"

Dreszcze: słowo to brzmi podobnie jak deszcz. Pewnie nieprzypadkowo, bo gdy są deszcze, prędzej czy później złapie się przeziębienie przez wiecznie mokre ubranie i wiatr, który potrafi wychłodzić także przy plus 30 stopniach. Albo przypałęta się ostra wirusowa biegunka od wody z najbliższego ujęcia, do którego spłynęły zanieczyszczenia z najniżej położonych terenów obozu, wypłukiwane teraz przez deszcz.

Pomiędzy pagórkami, na których stoją szałasy Rohingów, w porze suchej zebrały się stosy śmieci zmieszanych z ludzkimi ekskrementami i resztami wnętrzności kur, które trafiły pod kuchenny nóż. Ci, dla których miejsca na dom zabrakło w najwyżej położonych partiach obozów, postawili szałasy w obniżeniach terenu, czasem tuż przy takich śmietniskach – i od pierwszych dużych opadów w czerwcu mieszkają praktycznie spakowani, w gotowości do natychmiastowej ewakuacji. W Balukhali niemal cały blok nr 10 (jednostka administracyjna), położony w wąskim i głębokim wąwozie, znalazł się pod wodą po jednej kilkugodzinnej nocnej ulewie. „Dach" nad głową straciło wtedy 500-600 osób.

– Padać zaczęło zaraz po wieczornych modłach, po ósmej – wspomina 60-letnia Noor Hanar. – Około dziesiątej woda wlewała się już do szałasów. Półtorej godziny później sięgała za kolana, o, mniej więcej potąd – kobieta wskazuje na ścianie domu wciąż wyraźny błotny ślad, 60-70 centymetrów nad ziemią. – Dziewięć dni przemieszkałam z sześcioosobową rodziną u krewnych. Wcześniej się tu nie dało nawet dojść. Błoto było po kolana.

Kilka kilometrów na północny wschód, w nieco wyżej położonym obozie Kutupalong, sytuacja była lepsza. Odrobinę.

– O tutaj, spójrz, tak jak wyrosły te rośliny – 25-letnia Shamsunnahar wyciąga rękę w stronę pasa rachitycznych krzaczków, rosnących może metr od drzwi jej szałasu. – Przez cały lipiec woda sięgała aż tam, a nie to było najgorsze. Po zboczu za chatą spływał potok błota. Musieliśmy co kilka godzin wychodzić przed dom i zgarniać je, inaczej by nas przywaliło.

W północnej części obozu Kutupalong, gdzie mieszka Shamsunnahar, najgorszy był koniec lipca. Po dwóch dobach ciągłej ulewy jej rodzina, złożona z ośmiu osób, musiała się wynieść z szałasu na podest z bambusowej kraty, który jej mąż przed monsunem zbudował na zadaszonym ganku chatki. – Siedzieliśmy na niej jak rozbitkowie, z dziećmi, jedzeniem, wodą i rzeczami w nogach – wspomina. – Noc, dzień, noc, dzień, jeszcze jedną noc; i dopiero nad ranem odważyłam się wrócić do środka. Woda już nie płynęła, ale wszystko było zabłocone. Także drewno, więc nie mogłam zapalić ognia.

Pod koniec kwietnia Shamsunnahar urodziła pierwsze dziecko: córkę, której dała na imię Layla. 53-letniemu mężowi pomaga wychować piątkę dzieci z pierwszego małżeństwa. Spotkaliśmy się w lutym, podczas mojej pierwszej wizyty w Kutupalong, kiedy kobieta oczekiwała porodu. Shamsunnahar twierdziła wówczas, że planowanie nawet najbliższej przyszłości to luksus, na który uchodźców, zależnych całkowicie od innych ludzi, po prostu nie stać.

– Cofam to! – twierdzi teraz kategorycznie. – To był mój pierwszy monsun w obozie i już wiem, że do przyszłorocznego trzeba się przygotować, zrobić jakieś zapasy, umocnić dom.

Najważniejsze, bo najtrudniejsze do zgromadzenia, będą zapasy suchego drewna. Przed sezonem deszczowym można było pójść po nie do pobliskiego lasu. To z przydziału od władz obozu wystarcza na 10 dni gotowania. Las jest już jednak przeczesany przez tysiące Rohingów, a w głębi, gdzie łatwiej znaleźć suche patyki, czają się mieszkańcy lokalnych wiosek.

Bandyci po prostu, bo żądają pieniędzy, a jeśli ich nie dostaną, biją do nieprzytomności. Rohingowie pieniędzy nie mają, płacą więc ryżem z obozowych przydziałów: kilogram za pięć kursów po drewno. Do publicznego lasu!

↦

↦ – Od prawie miesiąca palimy tym – Shamsunnahar bierze do ręki brykiet z drobno zmielonych łupin ryżowych, które władze wydają teraz rodzinom z niemowlętami. – Pali się to szybko, ale jeszcze szybciej łapie wilgoć z powietrza i wtedy nie nadaje się na ogień. Mąż do lasu nie pójdzie, złamał rękę, a dzieci boję się puszczać przez tych zbirów. Zresztą na ścieżce do lasu jeszcze tydzień temu człowiek zapadał się po kolana. Takie tam jest błoto.

Rohingowie mówią na nie „Pfont"

Błoto: z najwyżej położonych partii obozów dobrze widać, gdzie jest go wciąż sporo. Osuwiska na tle pagórków odcinają się wyraźną żółcią. Ulice zalane przez błotne potoki wyglądają z daleka jak fragmenty, które na mapie ktoś pogrubił flamastrem. Blok H23 w obozie Balukhali niemal w całości zaznaczyły takie osuwiska gruntu. Ostatnie miało miejsce w połowie września. W sierpniu 650 mieszkańców bloku H23 cztery razy odkopywało sąsiadów zasypanych przez zwały błota.

– Mieszkaliśmy tam – mówi Muhammad Shorif i prosi syna, żeby za niego pokazał miejsce na szczycie stromej skarpy, jakieś 20 metrów powyżej dachu ich nowego szałasu. – Bóg był na tyle dobry, że to się stało rano i wnuki już poszły do szkoły. W pewnej chwili dom jakby przykucnął. Doszedłem do drzwi i zobaczyłem, że ziemia pod nami i obok płynie jak woda. Nagle coś ciężkiego uderzyło mnie w plecy i straciłem przytomność.

Muhammad Shorif spędził pod osuwiskiem ok. 50 minut. Sąsiedzi byli pewni, że go nie odratują. Na szczęście fragmenty ścian utworzyły mu nad głową przestrzeń, w której było sporo powietrza. Mężczyzna, oprócz zwichniętego ramienia, wyszedł z tego bez szwanku.

Według miejscowego przedstawicielstwa Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) między 11 maja a 11 września łącznie 51 tys. spośród 919 tys. mieszkańców obozów odniosło obrażenia spowodowane przez trudne warunki pogodowe. Odnotowano 230 przypadków osunięć gruntu, w których 33 osoby zostały ranne, a jedna zginęła. Ponad 29 tys. szałasów uszkodził wiatr lub ulewy, a 2,9 tys. domostw trzeba było przenieść w inne miejsce. Spośród 42 tys. mieszkańców obozów, których jeszcze przed rozpoczęciem sezonu deszczowego władze wytypowały do natychmiastowej zmiany miejsca zamieszkania, udało się jednak przesiedlić jedynie nieco ponad 6 tys. ludzi. Organizacje humanitarne zapewniają, że przyczyna opóźnień nie leży tym razem po stronie urzędników: to sami Rohingowie reagują niechęcią, a czasem oporem na sugestie przeprowadzki.

– W gruncie rzeczy ich rozumiem – kiwa głową Roger Gaertz, wolontariusz WHO pracujący w obozie Kutupalong. – Po zeszłorocznej traumie, gdy wygnano ich z domów, ci ludzie mają obsesję na punkcie stabilizacji. Ponawiązywali nowe znajomości, odnaleźli krewnych. A teraz przychodzimy z informacją, że się mają znowu przenieść, bo jakiś facet kilka miesięcy temu spieprzył robotę i dopuścił do zasiedlenia teren, który się do tego nie nadawał.

Poczucie zagrożenia? To, jak zauważa Roger, rzecz subiektywna. Dla Amerykanina nocowanie u podnóża kilkunastometrowej piaszczystej skarpy, w której z daleka widać pęknięcia, to szaleństwo. Ale dla kogoś, do kogo strzelano? – Na tamtym wzgórzu – wskazuje Roger – mieszka człowiek, któremu wiatr już dwa razy demolował szałas. On jest przekonany, że Bóg ma wobec niego plan, bo w zeszłym roku birmańscy żołnierze dwa razy wrzucali go do dołu z trupami, ale za każdym razem coś przeszkadzało im dokończyć egzekucję.

Podchodzimy zboczem w stronę chaty mężczyzny. Ziemia o konsystencji kruchego ciasta osypuje się pod stopami przy każdym kroku. Dopiero gdy docieramy do schodów, uformowanych jeszcze w porze suchej, idzie się wygodniej po czymś, co przypomina twardy materac gimnastyczny. Nawet grunt ubity tysiącami stóp po czterech miesiącach ulew nie jest całkowicie twardy.

Mężczyzna, którego dwukrotnie próbowano zabić, siedzi w kucki przed szałasem, rozmawia z żoną skuloną w drzwiach. Gdy podchodzimy z powitaniem, kobieta pozostaje w niezmienionej pozycji. On wstaje. Sura – wyjaśnia wskazując małżonkę – w trakcie ucieczki do Bangladeszu poślizgnęła się na stromym zboczu i spadając, uderzyła plecami w pieniek. Odtąd jest sparaliżowana od pasa w dół. On, Meher Ali, miał jednak dużo szczęścia, bo nie tylko dwukrotnie uszedł z życiem, ale zdołał wraz z krewnymi dotransportować żonę do granicy. A przecież sam ma niesprawną prawą rękę, którą kilka lat wcześniej uszkodzili mu policjanci uderzeniem kolby w bark.

Ich dom jest w opłakanym stanie. Po przybyciu do obozu Meher Ali dostał, jak każdy Rohinga, materiały. Ale budową musiał – również podobnie jak reszta – zająć się samodzielnie. Ciężko buduje się jedną ręką. Pomogli sąsiedzi, ale wiadomo: inaczej człowiek stawia dom dla siebie, a mniej się przykłada do czyjegoś.

– Pierwszy raz zdmuchnęło dach w lipcu, na szczęście w stronę tego szałasu nad nami i wszystkie rzeczy odratowaliśmy – opowiada Sura. – Za to w sierpniu w nocy przyszedł taki wicher, że nagle zatrzeszczało, usłyszałam huk i w tej samej chwili poczułam, jak deszcz zalewa mi twarz. Dobytek poleciał hen, w głąb obozu. Kto znalazł, ten miał szczęście.

– Ale Bóg – włącza się do rozmowy Meher Ali – jest wielki. Zsyła cierpienia, ale daje też pocieszenie. – Kiedy dotarliśmy do obozu przejściowego dla tych, co jeszcze nie mają papierów i przydziału na stałe, przyszedł do mnie starszy człowiek i zapytał, czy nie poślubię jego córki, która właśnie straciła męża – mężczyzna z dumą spogląda na drugą, znacznie młodszą kobietę, która zaciekawiona pojawiła się właśnie za plecami Sury. – Z początku trudno było się moim kobietom dogadać, bo starsza była zależna od młodszej. Teraz jednak, dzięki Najwyższemu, znalazły wspólny język, prawda? – rzuca w stronę żon.

Młodsza kobieta demonstracyjnie znika w głębi domu.

©℗ MAREK RABIJ

Rozmowy z Rohingami tłumaczył MOSTAFA SHIAFUL

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MAREK RABIJ będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 10 października o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

WYJAZD MARKA RABIJA współfinansowany jest z darowizn, które Fundacja Tygodnika Powszechnego otrzymała bezpośrednio oraz za pomocą widżetu FaniPay na stronie www.TygodnikPowszechny.pl. Dzięki szczodrości Darczyńców powstałe reportaże będzie można za darmo czytać pod adresem **powszech.net/bangladesz**.

O projektach, które Fundacja TP finansuje z darowizn, a także o tym, jak wspierać Fundację, mogą Państwo przeczytać pod adresem **powszech.net/fundacja**
Dziękujemy!

WOJCIECH

Bonowicz:
Kaszel

Leżę w łóżku, staram się nie wykaszleć płuc na kołdrę i różne rzeczy mi się przypominają. A przypominają się, bo nie umiem leżeć bezczynnie. Należę do ludzi, którzy jak chodzą, to myślą tylko o tym, żeby się położyć, a jak leżą, bo muszą leżeć, to najchętniej wybraliby się na spacer. Ostatni raz na spacerze byłem całkiem niedawno: w czasie, gdy trwał Festiwal Haupta w Gorlicach, pojechaliśmy z Ulą Zajączkowską do Wysowej, a potem jeszcze Monika Sznajderman zabrała nas do cerkwi w Wołowcu i na okoliczne pola. Od słońca na plecach zrobiło mi się tak gorąco, że w pewnym momencie rozebrałem się do koszuli i może to mnie zgubiło. Przyjemnie było iść w gęstej trawie, gdzie rzepy czepiały się spodni i sznurówek, a pod spodem czuć było zgromadzoną na zapas wodę.

Z Ulą chodzi się dobrze, bo zna wszystkie rośliny z imienia i nazwiska, wie, która jakie ma zwyczaje, potrafi odróżnić osiadłe w danym miejscu od wieków od takich, które dopiero nań przybyły. Rośliny mieszają się jak ludzie, mają swoich pielgrzymów i uchodźców, zresztą ludzkie wędrówki i handle wydatnie im w tym mieszaniu się i przemieszczaniu pomagają. A imiona roślin bywają niezwykłe: to od Uli dowiedziałem się na przykład, że pospolity biedrzeniec to po łacinie *pimpinella*. Może należałoby z dużej litery nazwy roślin i zwierząt pisać? Wiem, że są na tym świecie wielkie problemy, ale te wielkie zazwyczaj zaczynają się od małych: od braku szacunku dla tego, co blisko, w zasięgu wzroku, pod ręką i nogą. Może duże litery coś w sprawie szacunku by pomogły? Patrzysz na tę wątłą pimpinellę i sam się czujesz jak zagubiony biedrzeniec. Człowiek pokorny mniej kłopotów sprawia.

W Wysowej byłem z rodzicami i bratem wiele lat temu, jeszcze za nieboszczki komuny. Zapamiętałem zapuszczony park zdrojowy, basen, w którym pływały pijawki, polany pełne poziomek i cerkwie, przeważnie niedostępne i zaniedbane. No i wszechobecny zapach zgniłych jaj, jak to się wtedy mówiło. Dziś wszystko jest uporządkowane, cerkwie mają nowe dachy i odmalowane ściany, w czyściutkim krytym basenie pluskają się staruszkowie, a wody wydaje się w plastikowych kubkach. Chodzę po parku i popijam drobnymi łykami „Franciszka", najbardziej słoną ze wszystkich tutejszych wód, ryzykując, że jeszcze przed powrotem do hotelu wywróci mi żołądek na drugą stronę. Tylko kuracjuszy mało; może mieli akurat zajęcia przedpołudniowe, kto ich wie.

Ładny dzień był wtedy, ładny jest i dzisiaj, gdy to piszę. Muszę leżeć, muszę się uporać do niedzieli z tym nieoczekiwanym kaszlem. Niby leżę, ale co chwilę wstaję, coś z półki ściągam, coś poprawiam, gazety segreguję, leki zażywam, kotu Leonowi drzwi na balkon otwieram, a potem wpuszczam go oknem, i tak to idzie. Nawet nie wiadomo, kiedy przychodzi popołudnie, najpierw wczesne, potem późne. Patrzę na swoje odbicie w lustrze i widzę ścianę, od której odpadł kawałek tynku.

W półśnie przypomina mi się pewna scena, dawniejsza, choć nie bardzo dawna. Mój znajomy od kilkunastu lat mieszka na Hawajach. Ilekroć wychodzi na ulicę, ludzie uśmiechają się do niego, on odpowiada im uśmiechem, nie potrzebują do tego żadnej masowej imprezy, żadnej erupcji życzliwości, życzliwość jest tam chlebem codziennym. Niedawno przyjechał znów w nasze strony, chodził po ulicach Krakowa i Nowej Huty uśmiechnięty, uśmiechał się do mijanych przechodniów, uśmiechnął się też do starszej pani o pomarszczonej twarzy, a ta przyjrzała mu się uważnie i spytała: „O co ci, k...a, chodzi?". I z takim wspomnieniem wrócił do siebie. A potem kontakt się nam urwał i nawet nie pamiętam, jak miał na imię. ©

REKLAMA

Dla miłośników psów,
dla wielbicieli kotów
i dla tych, którzy
kochają literaturę

Stefan Chwin
Olga Drenda
Piotr Paziński
Małgorzata Rejmer
Piotr Siemion
Paweł Sołtys

Michał Cichy
Wioletta Grzegorzewska
Weronika Murek
Patrycja Pustkowiak
Andrzej Stasiuk
Krzysztof Varga

CZARNE.COM.PL

Po zajęciu austriackiego odwachu na Rynku Głównym. Kraków, 31 października 1918 r.

DRUGIE POWSTANIE KRAKOWSKIE

Jako pierwsze duże miasto, sto lat temu Kraków zrzucił obce rządy. Stało się to w chwili, gdy trwała jeszcze Wielka Wojna, a Polska była pod władzą lub okupacją państw centralnych.

PIOTR HAPANOWICZ

ADAM KARAŚ / MUZEUM HISTORYCZNE MIASTA KRAKOWA

Pierwsza połowa roku 1918 przyniosła duże zmiany w nastrojach ludności Krakowa. Coraz mocniej widoczne były tendencje antyaustriackie, idące w parze z przekonaniem o nieuchronnej klęsce Niemiec i Austro-Węgier.

Nastroje te z całą mocą ujawniły się w lutym 1918 r., gdy państwa centralne podpisały w Brześciu Litewskim (dziś Brześć nad Bugiem) traktat z powstającym państwem ukraińskim, oddając mu część niedawnego zaboru rosyjskiego (tzw. Chełmszczyznę). Także w Krakowie odbywały się wtedy burzliwe demonstracje antyniemieckie i antyaustriackie.

Ale nie tylko o politykę chodziło. Po kilku latach wojny codzienność stawała się coraz trudniejsza. Wprawdzie działania wojenne ominęły miasto (jesienią 1914 r. w walkach wzięły udział jedynie forty z zewnętrznego pierścienia Festung Krakau), ale pogłębiała się bieda i głód, spowodowane coraz większymi trudnościami aprowizacyjnymi i spekulacją. Dawały się też we znaki choroby zakaźne. We wrześniu doszła do Krakowa epidemia grypy zwanej hiszpanką (zabije w Europie więcej ludzi, niż zginęło na frontach I wojny światowej).

Po czterech latach wojny państwo austro-węgierskie przeżywało kryzys. Widać było oznaki załamania administracji cywilnej i militarnej, upadek dyscypliny w oddziałach austriackich; powszechnym zjawiskiem była dezercja.

Czuło się, że kończy się panowanie Austrii, że kończy się epoka.

Cesarz obiecuje, narody wiedzą swoje

Wraz z dobiegającymi kresu działaniami wojennymi na froncie zachodnim, wraz z klęskami wojsk austro-węgierskich na froncie włoskim – także w Krakowie czekano na dogodny moment, by zrzucić austriackie panowanie.

Nie było to jednak takie proste, jak może się to dziś wydawać. Austriacy dysponowali w mieście znacznym garnizonem: liczył 12 tys. żołnierzy, a w oddziałach przeważali Austriacy, Węgrzy i Ukraińcy. W większości były to oddziały tyłowe, skupiające rekonwalescentów, nowo powołanych rekrutów i jeńców zwolnionych z niewoli rosyjskiej. Sporą część stanowiły oddziały wartownicze, strzegące ogromnego kompleksu koszarowo-magazynowego twierdzy.

Jak się miało okazać, chęć przeżycia i powrotu do domu przeważyła wśród tych żołnierzy nad gotowością do dalszej walki. Ale w tym momencie nie było to jeszcze oczywiste.

Zresztą nie tylko galicyjscy Polacy czuli, że monarchia dobiega kresu. Pragnąc ratować swoje państwo, 16 października 1918 r. cesarz Karol I (następca zmarłego w 1916 r. Franciszka Józefa) wydał manifest pod optymistycznym tytułem: „Do moich wiernych austriackich ludów". Deklarował w nim przekształcenie cesarstwa w nowy twór, złożony z autonomicznych „organizmów państwowych" – czyli *de facto* w federację państw, tworzonych przez różne narody.

Ale dla „wiernych" narodów – nie tylko Polaków, także Ukraińców (przygotowujących się do utworzenia własnego państwa w Galicji Wschodniej, ze stolicą we Lwowie) – manifest cesarski był przede wszystkim sygnałem, że należy brać sprawy w swoje ręce.

W magistracie...

28 października w krakowskim magistracie zebrali się na wspólnym posiedzeniu polscy posłowie do galicyjskiego Sejmu Krajowego i do wiedeńskiej Rady Państwa. Podjęli decyzję o utworzeniu Polskiej Komisji Likwidacyjnej – nazwa miała sygnalizować, że chodzi o likwidację władzy austriackiej. W przyjętej uchwale stwierdzano, że ziemie polskie pozostające dotąd w obrębie monarchii austro-węgierskiej należą już do państwa polskiego.

W skład Komisji – *de facto* tymczasowego organu władzy polskiej – weszło 23 posłów, reprezentujących różne polskie ugrupowania w Galicji, od konserwatystów po socjalistów. Pracami Komisji miało kierować Tymczasowe Prezydium w składzie: Wincenty Witos (Polskie Stronnictwo Ludowe, przewodniczący), Ignacy Daszyński (Polska Partia Socjalno-Demokratyczna), Aleksander Skarbek (Narodowa Demokracja) i Tadeusz Teril (Polska Demokracja). Prezydium wydało okólnik do wszystkich władz krajowych w Galicji, aby nie przyjmowały żadnych rozkazów od obcych władz.

Władzę Komisji stopniowo uznawały urzędy i instytucje w Galicji. Szczególnie ważna była tu decyzja dyrektora policji w Krakowie Rudolfa Krupińskiego, który 30 października uznał zwierzchność Komisji i przekazał pod jej władzę kierowany przez siebie aparat policyjny. Także urzędnicy państwowi i samorządowi uchwalili rezolucję, że uważają się już za funkcjonariuszy państwa polskiego.

...i w konspiracji

Równolegle do tych politycznych faktów dokonanych, tworzonych w duchu legalizmu, funkcjonowały też organizacje konspiracyjne.

Było tu kilka ośrodków, bez jednego organu kierowniczego. Ważną rolę pełniła więc Polska Organizacja Wojskowa, która Komendę Główną przeniosła do Krakowa. Działali też konspiratorzy z Organizacji Wolność, utworzonej przez żołnierzy narodowości polskiej w armii austriackiej. Ruch ten rozprzestrzenił się na niemal wszystkie pułki rekrutujące się z Galicji.

Istotną rolę w przygotowaniach konspiracyjnych w mieście odgrywał płk Bolesław Roja, były dowódca 4. Pułku Piechoty Legionów Polskich, a potem dowódca ich III Brygady. Z nim związani byli niektórzy politycy zaangażowani w działalność PKL (Włodzimierz Tetmajer i Zygmunt Lasocki) oraz oficerowie-Polacy z armii austriackiej; wśród nich zwłaszcza ppor. Stanisław Tęcza oraz por. artylerii Karol Haller.

Choć wyzwolenie Krakowa miało okazać się dziełem zbiorowym, na szczególną uwagę zasługuje jedna postać: por. Antoniego Stawarza. Ten oficer armii austriackiej we wrześniu objął dowództwo nad stacjonującą w mieście kompanią karabinów maszynowych austriackiego 57. Pułku Piechoty. W Krakowie rozwinął siatkę konspiracyjną wśród Polaków z armii austriackiej. Do spisku przystąpili kolejni oficerowie: ppor. Ignacy Śnigowski, dowódca kompanii piechoty 57. Pułku, oraz ppor. Jan Banach z 13. Pułku Strzelców. Stawarz nawiązał też kontakt z kompanią piechoty z 56. Pułku w koszarach przy Wielickiej; tu do spisku pozyskano ppor. Franciszka Pustelnika.

Łącznie Stawarz miał więc do dyspozycji dwie kompanie piechoty i dwa plutony karabinów maszynowych. Do tego dochodził oddział zorganizowany z ochotników i dezerterów w podmiejskim wtedy Prokocimiu przez Józefa Badziocha.

Antyaustriackie powstanie

Wystąpienie przeciw Austriakom – można by nazwać je Drugim Powstaniem Krakowskim (po tym pierwszym z 1846 r., nieudanym) – zaplanowano na 31 października. Tego dnia Polska ↦

↦ Komisja Likwidacyjna miała oficjalnie przejąć władzę w mieście i Galicji.

Dzień wcześniej, o godzinie 21, żołnierze-Polacy pod dowództwem Stawarza, wraz z oddziałem uzbrojonych cywilów Badziocha, zajęli dworzec kolejowy w Płaszowie. Było to zręczne posunięcie: ze stacyjnego urzędu wysłano do wszystkich stacji kolejowych w Galicji telegraficzną wiadomość.

Brzmiała tak: „Rewolucja w Krakowie. Rząd Polski objął władzę. Wstrzymać wszystkie transporty, które by chciały wyjechać poza granice kraju, skierować je na Kraków".

Na taką wieść mieli odpowiedzieć spiskowcy w terenie, przystępując do rozbrajania Austriaków. Te działania miały uniemożliwić wojskom austriackim przedostanie się do Krakowa w celu stłumienia wystąpienia w mieście.

Czwartek 31 października był deszczowy. O 4.30 rano Stawarz udał się do ppor. Śnigowskiego do koszar przy ul. Kalwaryjskiej na Podgórzu, gdzie kwaterowały kompania piechoty 57. Pułku i pluton karabinów maszynowych, złożone z Polaków. Po cichu zbudzili swoich ludzi i kazali im zaopatrzyć się w ostrą amunicję. Na czapkach, w miejsce cesarskich bączków, żołnierze przypięli biało-czerwone kokardki – po czym się ukryli.

Dochodziła szósta rano, gdy Stawarz zarządził alarm całego batalionu bez broni. Gdy zaspani żołnierze zebrali się na dziedzińcu, zabrał głos: „Kazałem się tu wam zebrać, gdyż przyszły bardzo ważne wiadomości, których mam rozkaz wam udzielić. Chciałbym jednak, aby mnie wszyscy dokładnie zrozumieli, więc będę mówił do każdego w jego własnym języku. Niech Niemcy ustąpią na lewo, Słowianie zaś na prawo!" – wspominał ten moment w książce, wydanej w 1939 r. I dalej: „Ze stojącego przede mną tłumu wyłoniły się natychmiast dwie różne gromady: na lewo wielka, na prawo mniejsza składająca się z Czechów, Rusinów i Ślązaków".

Stawarz wyjął gwizdek służbowy i wydał jeden długi przeraźliwy gwizd. Na ten sygnał wypadł Śnigowski ze swymi ludźmi i otoczyli przerażonych żołnierzy 57. Pułku. Stawarz powiedział do nich po niemiecku: „Polacy w Galicji, nie mogąc się doczekać dobrowolnego opuszczenia ich ziemi przez zaborców, zmuszeni są użyć w tym celu siły. Oznajmiam wam, iż jesteście rozbrojeni. Wasi dawniejsi dowódcy przestali być dzisiaj nimi, a ja z rozkazu Rządu Polskiego obejmuję tu władzę, tj. tu w koszarach na Podgórzu i okolicy".

MUZEUM HISTORYCZNE MIASTA KRAKOWA

Antoni Stawarz, tu już w mundurze oficera 16. Pułku Piechoty Wojska Polskiego.

Koszary były opanowane: 30 żołnierzy-Polaków bez jednego strzału rozbroiło 400 niedawnych towarzyszy broni. Prawie równocześnie swoją akcję przeprowadził w koszarach przy Wielickiej ppor. Pustelnik, z którym współdziałali por. Hustak (Czech) i por. Ludwik Iwaszko. Tu również obyło się bez rozlewu krwi.

Rozkaz: wyzwolić miasto

Następnie, zgodnie z planem, oddziały z koszar przy Wielickiej i Kalwaryjskiej ruszyły na Rynek Podgórski, po drodze rozbrajając austriackie patrole. Dołączały się do nich pełne entuzjazmu grupy cywilów. Na Rynku Podgórskim Stawarz wygłosił krótkie przemówienie: nakazał wyzwolenie całego Krakowa.

Żołnierze-powstańcy ruszyli z Podgórza na Kraków w dwóch kolumnach, przekraczając Wisłę przez dwa mosty i idąc dwiema trasami.

Pierwszy oddział wyruszył ok. godziny 7.45. Dowodzony przez Pustelnika, składał się z oddziału z Wielickiej, prokocimian Badziocha i grupy cywilów z porucznikiem Iwaszko. Maszerował on z Rynku Podgórskiego do dzisiejszej Limanowskiego, dalej obecną Lwowską na III Most, potem Starowiślną na Rynek Główny. Następnie skierował się na plac Matejki, gdzie pod Pomnikiem Grunwaldzkim zbierali się już mieszkańcy.

Po drodze zajmowano budynki rządowe, rozbrajano patrole, śpiewano pieśni patriotyczne, nawoływano mieszkańców do udziału w manifestacji przeciw zaborcom, strącano austriackie godła.

Pod Pomnikiem Grunwaldzkim Iwaszko przemówił do zgromadzonych: „Już wolnym jest żołnierz-Polak, zrzucił z siebie jarzmo niewoli i służy rządowi narodowemu polskiemu". Odśpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła", po czym pochód ruszył ulicami pod koszary Landwehry (Obrony Krajowej) na ul. Siemiradzkiego. Byli tam więzieni legioniści, peowiacy i obywatele podejrzani przez władze austriackie o sympatię z nimi. Po uwolnieniu aresztantów oddział Pustelnika pomaszerował z powrotem na Rynek Główny, gdzie trwała już wielka manifestacja pod odwachem.

Natomiast drugi oddział powstańczy – dowodzony przez Śnigowskiego i Hustaka – miał wyznaczoną krótszą trasę, dlatego wymaszerował później. Po przejściu Starego Mostu skierował się do dzielnicy Kazimierz, a dalej Grodzką na plac św. Marii Magdaleny, gdzie miało siedzibę dowództwo miasta (*Stadtkommando*). Stąd żołnierze udali się na Rynek Główny i dalej pod gmach Collegium Novum UJ, gdzie dołączyli studenci. Przez okno wyleciał portret Franciszka Józefa, który wisiał w auli UJ. Zgromadzeni na dole rozerwali go na kawałki. Sprzed uczelni oddział znów ruszył na Rynek.

Było parę minut po dziesiątej.

Dramatyczna rozmowa

Stojący na czele austriackiej Komendy Wojskowej w Krakowie gen. Siegmund Benigni, gdy doniesiono mu o rozruchach w mieście, próbował skontaktować się z Wiedniem. W końcu udał się na rozmowy do magistratu, gdzie czekali na niego przedstawiciele Polskiej Komisji Likwidacyjnej i płk Roja. Zaapelowali „w imieniu rządu polskiego", aby Austriacy złożyli władzę na ręce Komisji.

Nastąpiła dramatyczna rozmowa, którą warto przytoczyć:

„– Brygadier Roja obejmuje komendę, którą panowie mu oddacie – oznajmił hrabia Aleksander Skarbek.

– Jak to? – pyta przygnębiony hr. Benigni.

– Bardzo po prostu – rzekł Roja. – Najstarszy oficer polski w każdym oddziale i zakładzie wojskowym odbierze komendę w moim imieniu!

– Ja muszę mieć polecenie z ministerstwa wojny.

– Nie istnieje już – odpowiada hr. Skarbek.

– To od Naczelnej Komendy!

– Za późno, ekscelencjo – oświadcza Roja. – Panowie będziecie zmuszeni oddać władzę!".

Widząc swą bezsilność, Austriacy skapitulowali.

Następnie Roja przybył do austriackiej Komendy Wojskowej (*Militärkommando*) przy Stradomskiej, najważniejszego obiektu sztabowego w mieście. Ogłosił tam przejęcie władzy w Krakowie przez Polską Komisję Likwidacyjną, a przez niego osobiście władzy wojskowej.

Wkrótce na ulicach pojawiły się odezwy sygnowane przez Roję: „Obejmuję z dniem dzisiejszym komendę nad oddziałami polskimi w Krakowie i powiatach zachodniej Galicji aż po Przemyśl".

Tymczasem zajmowano kolejne obiekty: lotnisko wojskowe wraz z samolotami w podmiejskich wtedy Rakowicach (pierwszorzędną rolę odegrał tu kpt. Roman Florer) i urzędy pocztowo-telegraficzne.

Zygmunt zagrał wolność

Trwała jeszcze rozmowa z Austriakami w magistracie, gdy zajęto także odwach przy wieży ratuszowej na Rynku Głównym. Dokonał tego oddział wysłany przez Stawarza, na czele z ppor. Wilhelmem Stecem, ppor. Janem Gawronem i por. Czesławem Zajączkowskim.

Miało to ogromne znaczenie propagandowe: odwach krakowski, czyli siedziba głównej warty garnizonu Twierdzy Kraków, był symbolem władzy zaborczej.

I tutaj obywało się bez walki. Gdy o godzinie 11.25 polski oddział znalazł się na Rynku, komendant austriackiej warty chorąży Alois Mosler przekazał bez oporu odwach ppor. Stecowi. Wydarzeniu temu towarzyszyły już tłumy krakowian, panowała powszechna radość. Na żołnierzy sypał się deszcz kwiatów, orkiestra kolejarzy grała melodie narodowe.

Żołnierze pierwszej polskiej warty otrzymali od Stowarzyszenia Młodzieży Rękodzielniczej „Gwiazda" jego sztandar: z jednej strony miał wyhaftowanego białego orła, a z drugiej namalowany wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Sztandar wywieszono na odwachu. Por. Zajączkowski odegrał na trąbce polską pobudkę wieczorną (nieco nieadekwatnie do pory dnia...).

A potem nad miastem zabrzmiał dzwon Zygmunta.

Publicysta Zygmunt Nowakowski wspominał: „»Zygmunt« grał Polsce wolność". A Klemens Bąkowski odnotował: „Polska jest naprawdę! Kraków jest polski".

Jeszcze w ciągu dnia oddziały polskie – przy wsparciu żołnierzy-Czechów – zajęły większość obiektów wojskowych w mieście, w tym wielkie magazyny. Ich zawartość miała nieocenioną wartość: w kolejnych dniach pomogła wyposażyć pierwsze jednostki regularnego Wojska Polskiego, które już kilkanaście dni później miały wyruszyć na pomoc kolejnemu polskiemu powstaniu z tamtej jesieni 1918 r. – we Lwowie.

Kraków dla państwa

Na tle wydarzeń, które jesienią 1918 r. i zimą 1919 r. rozgrywały się w różnych miejscach – od Lwowa przez Cieszyn po Poznań – wyzwolenie Krakowa było wyjątkowe: odbyło się bez najmniejszego rozlewu krwi.

Dzięki zakończonemu sukcesem temu Drugiemu Powstaniu Krakowskiemu – trzymajmy się tego określenia, bo przecież było to powstanie, zbrojne wystąpienie przeciw obcej władzy – udało się zabezpieczyć wszelkie dobra zgromadzone przez Austriaków: magazyny wojskowe i żywnościowe, koszary i inne obiekty, wraz z ich wyposażeniem. Dla powstającego dopiero państwa miało to ogromne znaczenie. W tym przełomowym momencie Kraków stał się nie tylko ośrodkiem dyspozycyjnym i administracyjnym dla rozległego obszaru, ale też rezerwuarem materiałów wojennych, których początkowo tak bardzo brakowało.

Wspominając swój w tym udział, Antoni Stawarz zapisał: „Byłem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, bodaj jeden raz w życiu!".

© PIOTR HAPANOWICZ

Korzystałem z książek: A. Stawarz „Gdy Kraków kruszył pęta. Kartki z pamiętnika oswobodzenia Krakowa w 1918 roku" (wyd. 1939) oraz J.T. Nowak „Wieża Wolności 1918. W 90. rocznicę wyzwolenia Krakowa" (wyd. 2008).

TP

ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY:

Wielkopolska niepodległa

Dramatyczne wydarzenia, które sto lat temu rozegrały się w Wielkopolsce, zwykle są postrzegane od strony walki zbrojnej – powstania, które wybuchło w Poznaniu w grudniu 1918 r. i zakończyło się sukcesem: włączeniem tego regionu do powstającego państwa polskiego. Tymczasem powstanie to było – tylko i aż – finałem znacznie dłuższego procesu. Zaczął się on już wiele dekad wcześniej, a gwałtownego przyspieszenia nabrał właśnie jesienią 1918 r.
Na czym polegał ten proces? Dlaczego powstanie się udało? Jak w krótkim czasie udało się przekształcić ochotnicze oddziały w regularną Armię Wielkopolską, a cały region – w sprawnie funkcjonujące „państwo wielkopolskie"? I na czym polegała specyfika tego regionu, który jeszcze długo odróżniał się od innych regionów II Rzeczypospolitej?
O tym w naszym dodatku opowiedzą wielkopolscy historycy: Janusz Karwat, Waldemar Łazuga i Marek Rezler. Natomiast krakowski historyk Andrzej Chwalba opowie o tym, jak po roku 1918 wyglądało „sklejanie" Rzeczypospolitej z ziem trzech dawnych zaborów, których mieszkańcy różnili się między sobą nie tylko nawykami i mentalnością, ale nawet wyobrażeniem, czym będzie wolna Polska.

„Tygodnik" z dodatkiem „Wielkopolska niepodległa" w kioskach od środy 17 października.

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO
POZnań
Międzynarodowe Targi Poznańskie
WP WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAJNOWSI NOBLIŚCI

Immunoterapia przeciwnowotworowa, sterowana ewolucja enzymów i przeciwciał, laserowe narzędzia – to osiągnięcia, których twórców uhonorowano w tym roku Nagrodą Nobla.

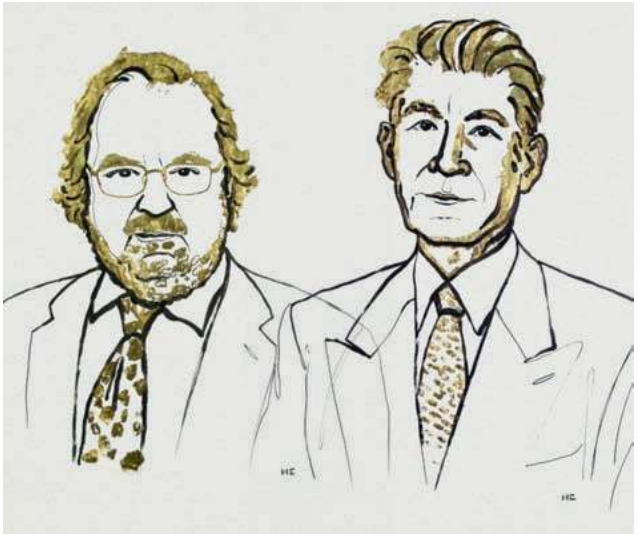

NIKLAS ELMEHED / KOMITET NOBLOWSKI X3

Czwarty rodzaj broni

MEDYCYNA I FIZJOLOGIA

James P. Allison i Tasuku Honjo
„za odkrycie terapii przeciwnowotworowej w oparciu o hamowanie negatywnej reakcji immunologicznej".

Ludzki organizm codziennie narażony jest na kontakt z setkami patogenów. Dlatego nasz układ odpornościowy musi nieustannie czuwać – być w stanie szybko się aktywować podczas infekcji i „uspokajać", gdy zagrożenie zostanie zneutralizowane. Takie działanie możliwe jest dzięki skomplikowanym sieciom zależności, które tworzą limfocyty, makrofagi, granulocyty i inne komórki układu odpornościowego. Ich zachowaniem sterują czynniki pobudzające reakcję odpornościową i inne, ją hamujące. Utrzymanie stanu równowagi jest ważne, bowiem zarówno nadmierna, jak i niedostateczna odpowiedź immunologiczna może być groźna.

Tegoroczni nobliści otrzymali nagrodę za prace nad mechanizmami hamującymi układ odpornościowy. Supresyjne działanie CTLA-4, jednego z białek obecnego na limfocytach T, odkrył w 1994 r. James Allison. Okazało się, że ten receptor po połączeniu z molekułą zwaną CD80 daje negatywny sygnał, hamujący reakcję obronną limfocytu. Z kolei w 1992 r. Tasuku Honjo wyizolował, a później także opisał hamującą funkcję białka PD-1, które łączy się z podobnym białkiem PD-L1, obecnym m.in. na komórkach nowotworowych.

Naukowcy skorzystali z tej informacji na dwa sposoby: nadmiernie hamując i pobudzając układ odpornościowy. Stworzono abatacept – lek, który budową przypomina białko CTLA-4, dzięki czemu hamowana jest odpowiedź immunologiczna w chorobach z autoagresją (kiedy układ odpornościowy atakuje własne komórki, np. podczas reumatoidalnego zapalenia stawów albo cukrzycy typu 1). Jednak Allison i Honjo ruszyli inną drogą, stawiając na immunoterapię nowotworów.

Każdego dnia w naszych organizmach powstają nieprawidłowe, zmutowane komórki, które mogą zapoczątkować chorobę nowotworową. Układ immunologiczny rozpoznaje je i niszczy. Mutacje w DNA, które powodują, że komórka staje się nowotworowa, często skutkują pojawieniem się nieprawidłowych białek na jej powierzchni. Białka te mogą zostać uznane przez limfocyty T za obce, co uruchamia odpowiedź układu odpornościowego i komórka nowotworowa zostaje zniszczona. Zdarza się jednak, że nowotwór ucieka spod nadzoru immunologicznego, np. dzięki produkcji czynników hamujących, i rozwija się choroba nowotworowa.

Takimi czynnikami są CD80 i PD-L1, które we wspomnianym wcześniej mechanizmie hamują nasz układ odpornościowy. Znając już te zależności, pozostało stworzyć takie leki, które pobudzałyby limfocyty T do walki z komórkami nowotworowymi. W 1997 r. Allison wraz ze współpracownikami stworzył odpowiednie przeciwciało – ipilimumab – które blokowało receptor CTLA-4, zaś w 2010 r. przeprowadzono pierwsze badania wśród chorych na czerniaka, uzyskując zaskakująco dobre wyniki. Niezależnie od Allisona, grupa Honjo rozpoczęła pracę nad przeciwciałami ingerującymi w mechanizm PD-1/PD-L1 i w 2012 r. ogłoszono również pozytywne efekty w leczeniu m.in. czerniaka

i raka płuc. Niedawne próby kliniczne pokazują jeszcze skuteczniejsze działanie obu tych terapii jednocześnie.

Niewątpliwymi plusami całej koncepcji immunoterapii przeciwnowotworowej, której ojcowie właśnie zostali laureatami Nagrody Nobla, jest fakt, że w odróżnieniu od chemioterapii przeciwciała i limfocyty atakują tylko zmienione komórki, a także to, że docierają do wszystkich miejsc organizmu. Działają wszędzie, ale na wybrane cele. Jednocześnie skutkiem ubocznym terapii jest zachwianie delikatną równowagą sił. Po zwolnieniu molekularnego hamulca, nadmiernie pobudzony układ immunologiczny może narazić pacjentów na autoagresję.

Medycyna przeszła długą drogę od XIX-wiecznego leczenia guzów toksyną Coleya, która miała pobudzać odpowiedź immunologiczną, przez szczepionkę BCG przeciw gruźlicy, podawaną w raku pęcherza moczowego (stosowaną do dziś), aż do immunoterapii onkologicznej zaproponowanej przez tegorocznych noblistów. Opracowana przez nich metoda immunoterapii jest czwartym filarem walki z nowotworami – obok chirurgii, radioterapii i chemioterapii. To kolejna i zapewne nieostatnia Nagroda Nobla przyznana za walkę z nowotworami. Wyścig zbrojeń trwa.

© BARTOSZ KABAŁA

Narzędzia ze światła

FIZYKA

Arthur Ashkin, Gérard Mourou i Donna Strickland
„za przełomowe wynalazki w dziedzinie fizyki laserowej".

Tegoroczni nobliści z fizyki stworzyli narzędzia niezbędne w każdym warsztacie majsterkowicza. Kombinerki na tyle małe, że można nimi chwycić pojedyncze atomy, i noże tak precyzyjne, że da się nimi ciąć bakterie.

Arthur Ashkin z USA otrzymał połowę nagrody, drugą połową podzielili się Gérard Mourou z Francji i Donna Strickland z Kanady. Obydwa wyróżnienia mają wspólny mianownik w postaci światła laserowego. Ashkin zaprzągł lasery do łapania małych przedmiotów, Morou i Strickland opracowali metody kompresji światła laserowego do bardzo krótkich, silnych impulsów.

Arthur Ashkin rozpoczął pracę nad światłem laserowym bardzo wcześnie, w latach 60. XX w., czyli wkrótce po tym, jak lasery zostały wynalezione (Nagrodę Nobla za wynalezienie laserów przyznano w 1964 r., otrzymali ją wspólnie Charles Townes, Nikołaj Basow i Aleksandr Prochorow). Od samego początku eksperymentował z oddziaływaniem światłem laserowym na małe przedmioty intuicyjnie wyczuwając, że skoro światło może wywierać ciśnienie, to odpowiednio małe przedmioty będzie można przesuwać za pomocą promienia świetlnego. Oświetlał maleńkie kuleczki światłem lasera i udało mu się je podnieść, co już było pewnym sukcesem. Odkrył też, że przedmioty oświetlone światłem lasera wciągane są do wnętrza wiązki, tam gdzie światło jest najintensywniejsze – podobny efekt możemy zaobserwować, umieszczając piłkę pingpongową w strumieniu powietrza wydmuchiwanego np. z rury odkurzacza.

Dzięki temu efektowi Ashkin był w stanie manipulować „pochwyconym" przedmiotem. Dosyć szybko się zorientował, że jest w ten sposób w stanie operować nawet pojedynczymi, żywymi komórkami, pod warunkiem, że precyzyjnie dobierze moc lasera – żeby nie zabić małego organizmu. Co więcej, możliwość skupiania światła lasera sprawia, że da się za jego pomocą przestawiać różne molekuły we wnętrzach żyjących komórek. Chyba najbardziej spektakularnym osiągnięciem przy użyciu tej metody jest zmierzenie sił, z jakimi białka transportowe (np. kinezyna) przenoszą molekuły wewnątrz żyjących komórek. Dzięki odkryciu Ashkina naukowcy są też w stanie operować pojedynczymi atomami, badając ich właściwości kwantowe. W laboratoriach na całym świecie „kombinerki" Ashkina służą do przesuwania, popychania, zatrzymywania czy selekcjonowania małych obiektów: komórek, wirusów, molekuł czy nawet atomów, i wszystko na odległość i bez dotykania.

Mourou i Strickland skupili się na skracaniu i jednoczesnym wzmacnianiu błysków lasera. Nazwa laser to skrót od angielskiego *Light Amplification by Stimulated Emission of Radiation*, czyli wzmocnienie światła poprzez wymuszoną emisję promieniowania. Impuls świetlny w laserze powstaje na skutek swoistej reakcji łańcuchowej – materiał, z którego laser jest zbudowany, najpierw jest pompowany energią. Elektrony w tym materiale przeskakują na wyższe orbity i tylko czekają, by oddać energię, która je rozpiera. Wystarczy mały kamyk, np. foton o określonej energii, by elektrony masowo oddały uwierającą je energię, wypromieniowując fotony o określonej energii. W dodatku reakcję w atomie wyzwalają tylko fotony o tejże energii, dlatego światło laserowe jest monochromatyczne – ma ściśle określony kolor.

Kaskadowa reakcja w materiale, z którego zbudowany jest laser, jest swoistym sposobem wzmocnienia impulsu świetlnego, który do materiału wpada. Od samego początku istnienia laserów szukano sposobów, by je wzmocnić, i dziś nawet testowana jest broń laserowa. Ale problemem było skracanie błysków lasera z jednoczesnym zachowaniem dużej mocy – nie udawało się wzmacniać światła w krótkim czasie bez niszczenia materiału, z którego był zbudowany laser. Mourou i Strickland wpadli na bardzo oryginalny pomysł – postanowili przed wzmocnieniem impulsu świetlnego rozciągnąć go w czasie i przestrzeni, tak by układ wzmacniający miał więcej czasu na dorzucenie swoich fotonów, po czym całość była z powrotem kompresowana do pierwotnej długości. Dzięki temu możliwe jest uzyskiwanie błysków światła o długości rzędu femtosekund. Femtosekundy to biliardowe części sekundy, w takim czasie światło pokonuje dystans ledwie 0,3 mikrometra! Jednocześnie moce tych impulsów laserowych są niewyobrażalnie wysokie.

↦

↦ Taki impuls laserowy jest w stanie dostarczyć sporą porcję energii w bardzo krótkim czasie, więc pozwala np. na bardzo precyzyjne cięcie. Często lasery o ultrakrótkich błyskach są wykorzystywane do operacji, chociażby oka, czy do obróbki powierzchni implantów zębowych. Ale pomagają też w badaniach naukowych, pozwalają dosłownie robić zdjęcia bardzo krótkich wydarzeń, jak reakcje chemiczne – dzięki ultrakrótkim błyskom światła można zaobserwować, jak zmienia się kształt białek wewnątrz komórki. A oprócz tego ultrakrótkie silne lasery znakomicie nadają się do zapisywania danych w nośnikach optycznych – krótki błysk sprawia, że operacja zapisu następuje szybko, a za sprawą nawału danych, z jakim mamy do czynienia, prędkość zapisu ma kolosalne znaczenie.

Technika laserowa na stałe zadomowiła się w wielu dziedzinach naszego życia. A w przyszłości, także dzięki pracom tegorocznych noblistów z fizyki, może odgrywać jeszcze ważniejszą rolę. © MARCIN BÓJKO

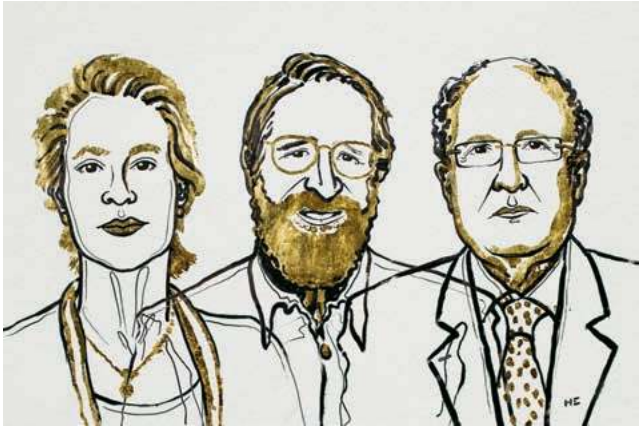

Ewolucja kierowana

CHEMIA

Frances H. Arnold „za kierowaną ewolucję enzymów” oraz **George P. Smith i Sir Gregory P. Winter** „za fagową ekspresję peptydów i przeciwciał”.

Tegorocznym noblistom w dziedzinie chemii udało się wykorzystać mechanizmy ewolucyjne i w taki sposób sterować nimi na poziomie chemicznym, by uzyskiwać związki przydatne w różnych dziedzinach, m.in. w farmacji i biotechnologii.

Połowa nagrody trafiła do Frances H. Arnold z Caltech (USA) za jej prace dotyczące ewolucji enzymów. Są to dość złożone cząsteczki będące katalizatorami, czyli związkami przyspieszającymi rozmaite reakcje chemiczne. Sam pomysł sterowania ewolucją enzymów pochodzi od słynnego laureata Nobla (1967), Manfreda Eigena, twórcy teorii chemicznych hipercykli. W 1984 r. opisał on teoretyczną procedurę kontrolowanej optymalizacji enzymów – iteracyjną maszynę ewolucyjną. Dekadę później prace doświadczalne w tej dziedzinie rozpoczęła tegoroczna laureatka. Poddawała enzymy procesowi losowych mutacji, w ramach których cząsteczki te ulegają konkretnym zmianom strukturalnym. Niektóre z nich prowadzą donikąd, ale pojawiają się czasem takie, które powodują, że enzym staje się bardziej efektywny w działaniu. Wyzwaniem jest oddzielenie ich od całej reszty, która albo wcale nie została zmutowana, albo też mutacja poszła w złą stronę i musi trafić na śmietnik. Laureatka stworzyła właśnie bardzo efektywną metodę „wyłapywania” i oddzielania tych enzymów, które w procesie ewolucji kierowanej na poziomie molekularnym działają lepiej. Następnie te wyselekcjonowane cząsteczki poddawano ponownym losowym mutacjom i znowu selekcjonowano. Taki proces można powtarzać wielokrotnie. Opracowana technika jest względnie prosta, a jednocześnie bardzo uniwersalna. Już pierwsze próby pozwoliły na stworzenie, po zaledwie czterech „nawrotach”, zmutowanego enzymu, który miał 256 razy większą aktywność niż istniejący w naturze. Kolejnych kilka lat żmudnej pracy było niezbędne, aby usprawnić i udoskonalić technikę szybkiej ewolucji.

Ulepszone enzymy, będące naturalnymi katalizatorami konkretnych reakcji, mogą znaleźć zastosowanie w wielu dziedzinach życia. Frances H. Arnold ma już kilkanaście patentów dotyczących m.in. przetwarzania biomasy na rozmaite biopaliwa czy też tzw. zielonej chemii, czyli otrzymywania z dużą wydajnością związków chemicznych w procesach, które nie obciążają środowiska naturalnego.

Drugą połowę tegorocznej nagrody podzielono pomiędzy George’a P. Smitha (University of Missouri, USA) oraz Gregory’ego P. Wintera (Laboratory of Molecular Biology, Cambridge, Wielka Brytania). Oni także wykorzystali podobną jak Arnold metodę przyspieszonej ewolucji chemicznej. Obaj uczeni zajmują się bakteriofagami (wirusami atakującymi bakterie) oraz przeciwciałami.

Fagowa ekspresja peptydów to wyrafinowana technika laboratoryjna, która pozwala na badanie oddziaływań białek, peptydów oraz DNA. Wymyślił ją w 1985 r. George P. Smith. Następnie została zastosowana do tego, aby wymusić ewolucję protein lub białek w określonym kierunku. Drugi z tej pary laureatów zastosował tę technikę do wymuszenia ewolucji konkretnych przeciwciał. W tym przypadku celem było opracowanie technologii produkcji nowoczesnych leków. Pierwszy z nich, adalimumab, pojawił się na rynku w 2002 r. Z powodzeniem zastosowano go w leczeniu niektórych reumatoidalnych zapaleń stawów, w łuszczycy, a także w chorobie Leśniewskiego-Crohna. Badania w kolejnych latach pozwoliły na stworzenie kolejnych leków z serii *-mab* (wszystkie ich nazwy mają tę samą końcówkę pochodzącą od angielskiego *monoclonal antibodies* – przeciwciała monoklonalne). Obecnie trwają badania kliniczne dotyczące przeciwciał neutralizujących toksyny, zwalczających rozmaite choroby autoimmunologiczne oraz pozwalające na walkę z przerzutami w przebiegu chorób nowotworowych.

Odkrycia tych dwóch laureatów pozwolą na opracowanie następnych, znacznie bardziej efektywnych leków stosowanych m.in. w terapii nowotworów. Technikę fagowej ekspresji peptydów można także stosować do otrzymywania jeszcze innych, nowych przeciwciał, które stosuje się w biosensorach. Tego typu czujniki mają bardzo szerokie zastosowanie – od wykrywania metali ciężkich czy pestycydów, przez patogeny oraz substancje rakotwórcze w powietrzu, wodzie czy glebie. Mogą także okazać się przydatne w przemyśle spożywczym, a nawet w walce z bioterroryzmem. © MIROSŁAW DWORNICZAK

40 LAT TEMU KARDYNAŁ KAROL WOJTYŁA ZOSTAŁ WYBRANY PAPIEŻEM

Dał nam siłę

TYGODNIK POWSZECHNY

HISTORIA

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl
Kraków 16 października 2018 nr 1 cena 12,90 zł (w tym 8% VAT)

JUŻ W SPRZEDAŻY!
Premiera nowego tytułu „Tygodnik Powszechny Historia”
„Dał nam siłę”
– na 40. rocznicę wyboru Karola Wojtyły na papieża

- Po 33 dniach pontyfikatu umiera Jan Paweł I. Kardynałowie, ponownie zebrani na konklawe, wybierają na papieża metropolitę krakowskiego Karola Wojtyłę. Jak do tego doszło i jak zareagował świat?
- Akt pokuty za grzechy Kościoła, nowe otwarcie w dialogu z innymi religiami, wyczulenie na biedę, pielgrzymki, próba budowy nowego feminizmu: 27 lat tego pontyfikatu papieża nieodwracalnie zmienia Kościół
- Już za życia mówiono o nim „Jan Paweł Wielki”. Co ze spuścizny papieża przetrwało do dziś?

Wśród autorów:
ks. Adam Boniecki, abp Grzegorz Ryś, Marek Zając, Katarzyna Wiśniewska, Anna Turowiczowa, Agnieszka Sabor, Józefa Hennelowa, Józef Majewski, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk

„Tygodnik Powszechny Historia”
– w dobrych punktach z prasą i salonach prasowych.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

POLONUS

PIOTR UKLAŃSKI, ARTYSTA WIZUALNY:

Nie doceniamy siły obrazów. Umiejętnie zaprzęgnięte do polityki mogą wpływać na ludzi. Dlatego żołnierze wyklęci idą dzisiaj obok husarii. Razem zdobywają na nowo przedmurze chrześcijaństwa.

PIOTR UKLAŃSKI (ur. 1968) jest artystą wizualnym, autorem instalacji, fotografii, wideo i performansów. Stworzył m.in. „Dance Floor" (1996), cykle „Joy of Photography" (od 1997), „Naziści" (1998) i „Real Nazis" (2017). Wyreżyserował film fabularny „Summer Love" (2006) z udziałem Vala Kilmera, Bogusława Lindy i Katarzyny Figury. Na stałe mieszka w Stanach Zjednoczonych.

PIOTR KOSIEWSKI: W krakowskim Muzeum Narodowym można oglądać Twoją wystawę, zatytułowaną „Polska". Wymagający temat, trzeba przyznać!

PIOTR UKLAŃSKI: Mógłbym odpowiedzieć: Polską jako tematem zajmuję się od wielu lat. Ale powód był bardziej bezpośredni. Zafrapował mnie sposób, w jaki u nas po ostatnich wyborach parlamentarnych dyskutuje się o historii, symbolach, tożsamości. Wydawało się, że wszystkie te kwestie dawno już przegadaliśmy, zdekonstruowaliśmy i odłożyliśmy do lamusa. Tymczasem okazało się, że nadal żyjemy w dawnym, romantycznym paradygmacie. Co więcej, ta nasza wiara w moc sfery symbolicznej dziś jest już dość niespotykana.

Jest jeszcze jeden powód: moje zainteresowanie fotografią, która próbowała wykreować naród. Robił to po wojnie np. Jan Bułhak, w zupełnie nowej sytuacji dawnej Polski, z której pozostały zgliszcza, a sam kraj przesunął się o ileś tam kilometrów na Zachód. Symbolem przestał być Niemen i trzeba było przekonać, że Wrocław zawsze był polski. I Bułhak chciał stworzyć imaginarium nowej polskości. Mam ogromny sentyment do pomysłu, że można zaproponować jakąś narodową opowieść i nie bać się używać tak wielkich słów jak „Polska".

W spektaklu „Dawid jedzie do Izraela" w reż. Jędrzeja Piaskowskiego, wspólnym projekcie TR Warszawa i Muzeum POLIN, jeden z bohaterów przekonuje: człowiek jest złożony ze słów, każda jego część jest nazwana: ręka, noga... Ale czy człowiek nie jest też złożony z obrazów?

Z mojego punktu widzenia tak, oczywiście. Może dlatego, że posługuję się językiem obrazów. Ale jeżeli zwrócisz uwagę na tytuły moich prac z cyklu „Polska", to wiele w nich odwołań do literatury, gry z tekstem.

Próbujesz pogodzić obie tradycje?

Próbuję, ale moje zdjęcia można oglądać bez tego słownego komponentu. Jedne miejsca rozpoznasz, inne nie.

Ten zbiór jest bardzo szeroki. Mamy tu i Lwów, i Nowy Jork. Polskość w rozproszeniu.

Tak, znalazło się w nim miejsce na zdjęcia bardzo różnych miejsc. Reaguję na to, co się obecnie dzieje. Np. na pomysł, aby cmentarz Orląt znalazł się na stronie polskiego paszportu. Okazuje się, że takie hasła-banały, jak „Polska od morza do morza", przestały być banałami. Zostały przez polityków zaprzęgnięte do rozmowy o naszej tożsamości.

Bo z tych banałów układa się opowieść, w której wielu ludzi potrafi się odnaleźć?

Być może. Osoby zajmujące się lub interesujące sztuką uczestniczą w dość specyficznym dyskursie opartym na dużej wiedzy, przynajmniej o tym, w jaki sposób operuje się i manipuluje obrazami. Do pewnych ikonicznych obrazów czy haseł podchodzi się wtedy z dystansem. Wiele osób odwołuje się jednak do tych dawnych wyobrażeń, do „Polski od morza do morza" i obrazów nacierającej husarii bez tego dystansu. Są dla nich bliskie. Zresztą zdjęcie pomnika Jagiełły w Nowym Jorku to ukłon w stronę mojej perspektywy. On jest przecież częścią miasta, w którym mieszkam.

Czym zatem dla Ciebie jest polskość?

Dla mnie wciąż pozostaje ta sama. Natomiast bardzo zmieniła się opowieść o niej. Co więcej, jesteśmy w podniecającym momencie: wielkiej wiary w moc kultury. Zobacz, te wszystkie inwestycje w film, kręcenie kolejnych „Dywizjonów 303"...

Ale czy sztuka naprawdę potrafi zmieniać rzeczywistość?

Są dwie szkoły. Według jednej sztuka w ogóle nie ma znaczenia, bo nie przekłada się bezpośrednio na zmianę społeczną. Według drugiej jednak ma, bo np. konstruuje jakąś tradycję wyobrażeń, obrazuje określone kwestie. Ale zobacz – i to kolejny punkt spojrzenia – co sama rzeczywistość potrafi wyprawiać z wypowiedziami artystycznymi, chociażby z moim „Papieżem", czyli zdjęciem, w którym z ludzi „ułożyłem" portret Jana Pawła II. Zamieszczone na billboardzie w centrum Warszawy, w chwili śmierci papieża zostało okryte kirem, a ludzie pod nim ustawiali znicze i kładli kwiaty. Okazuje się, że sztuka może oddziaływać.

A czy sztuka narodowa ma dzisiaj sens?

Tak, nawet bardziej niż kilka lat temu.

W kontrze do wyobrażeń o sztuce współczesnej jako odwołującej się do tego, co uniwersalne, a nie partykularne? Takie sfery jak tożsamość zbiorowa są raczej tematem krytyki, a nie obiektem afirmacji.

A może trzeba myśleć o sztuce narodowej jako o koncepcji przyszłościowej? Jeżeli jest zapotrzebowanie na pomniki i teraz trzeba ich masę postawić, to dlaczego Paweł Althamer nie miałby ich robić?

Oczywiście, że tak!

Tym bardziej że upamiętnił Lecha Kaczyńskiego... w owej brzozie. Kontekst, w jakim działają dziś artyści, jest lepszy niż przed wyborami w 2015 r. Jeżeli rządzący chcą te pomniki budować, to trzeba próbować i zawalczyć o przeszłość.

A czy dostrzegasz wśród artystów chęć uważniejszego przyglądania się rzeczywistości?

Nie przyglądam się tak uważnie życiu artystycznemu, ale wydaje się, że ci, którzy dotychczas przyglądali się rzeczywistości, przestali to robić.

Uciekają od niej?

Przesycenie rzeczywistości polityką wywołuje wstręt. A mnie zawsze interesowała sztuka w publicznej przestrzeni, w tym odnosząca się do kwestii narodowych. Nie miałem więc problemu, by w 2018 r. zrobić taki projekt jak „Polska". Chociaż dziś trudniej stworzyć coś ciekawego, bo przestrzeń balansująca między pewnymi temperaturami, np. między powagą a ironią, strasznie się zawęziła. Wszystko staje się zbyt jednoznaczne.

A czy określiłbyś się mianem artysty narodowego?

Polskiego? Mieszkam w innym kraju, funkcjonuję w tamtejszym kontekście, a jednocześnie mam etniczne nazwisko. Ktoś może się pomylić, uznać mnie za Rosjanina lub Czecha, ale na pewno nie uzna za Amerykanina o anglosaskich korzeniach. Do tego prace z wątkami narodowymi stanowią istotną część mojej twórczości. Myślę zresztą, że tkwi w tych wątkach ogromny potencjał dla sztuki.

A jakie znaczenie miało dla Ciebie to, że jesteś z Polski?

Przyjazd z Polski oznaczał przede wszystkim brak pieniędzy. To oczywiście nie było wyjątkowe, wyłącznie nasze ↦

BARTOSZ CYGAN / MNK

↦ doświadczenie, lecz przyjezdnych z różnych stron świata. Potem długo pochodzenie nie miało dla mnie znaczenia – jest masa młodych artystów-emigrantów, którzy szukają sposobu wejścia do amerykańskiego świata sztuki. Jednak po wielu latach mieszkania w Stanach przeprowadziłem się do Paryża. Status emigranta ponownie stał się istotny, a moje doświadczenia z adaptacją w Ameryce okazały się mało przydatne. Do tego był to rok wstąpienia Polski do Unii Europejskiej i Francuzi wpadli w obsesję na punkcie polskiego hydraulika.

I w 2005 r. w paryskiej galerii Emmanuela Perrotina zrobiłeś wystawę „Polonia".

Można było ją wtedy uznać za kardynalny błąd. W komercyjnej galerii wystawiam prace o symbolice mało czytelnej dla Francuzów – kompletnie niesprzedażne. Jednak wystawa okazała się ciekawa ze względu na ówczesne pytanie: jak Polska na nowo się odnajduje w tej „nowej" Europie. I dziś wraca to pytanie...

Potem była – w 2008 r. w nowojorskiej Gagosian Gallery – wystawa „Biało-czerwona" z bardzo mocnymi, także w skali, pracami. Odwoływałeś się do fundamentalnych kwestii: narodowej tożsamości, tragicznej polskiej historii, religii. Obie wystawy były wręcz nachalnymi manifestacjami polskości. Pokazywana w Krakowie „Polska" jest inna, wręcz wyciszona.

No cóż, artysta się starzeje.

A poważnie?

Zastanawiałem się przed naszą rozmową, czy w tej chwili zrobiłbym „Biało-czerwoną". Prawdopodobnie nie. To była siłowa manifestacja olbrzymich patriotycznych obrazów. Obecny był wątek dumy zrównoważony ironią. W obecnym klimacie politycznym zabrakłoby chyba tego drugiego komponentu.

Ciekawy był odbiór tej wystawy w Polsce. Ktoś nazwał wtedy Ciebie „artystą narodowym". Napisano też, że Twój cykl o powstaniu warszawskim „mógłby znaleźć się w przyszłym Muzeum Historii Polski".

Zawsze mi schlebiało, że te prace można odczytywać na wiele sposobów. Z jednej strony głosy konserwatywne, a z drugiej amerykańscy kolekcjonerzy kupujący obrazy o nazwach, które im nic nie mówią: Mokotów, Wola, Żoliborz. Do tego wystawa wywodząca się niemalże z getta narodowego, pokazywana w globalnej galerii, będącej symbolem artystycznej komercji. Nie ma nic lepszego niż dobre nieporozumienie.

Z czasem zmieniała się także recepcja Twoich prac, czego świetnym przykładem jest wspomniany już portret Jana Pawła II. Zaczęły się wpisywać lub były wpisywane w grunt myślenia o Polsce, który dziś zaczyna dominować.

Otwarcie wystawy „Naziści". Galeria Zachęta w Warszawie, 30 października 2000 r.

MARZENA HMIELEWICZ / AGENCJA GAZETA

Mam nadzieję, że nie obudzę się z ręką w nocniku...

Symbolem Twojego cyklu „Polska" stało się już zdjęcie płonącego drzewa...
...gorejącego drzewa...

...z Księgi Wyjścia. Jednocześnie kojarzy się ono z wojną, z rzeziami na Wołyniu, ale też z Holokaustem.
Nasza ziemia jest przecież zroszona krwią. Co chwilę wojna. Wszystkie przegrane. Tak, można powiedzieć, że celebrujemy nasze klęski. Ale może tak naprawdę je afirmujemy. Nie mamy zbyt wielu zwycięstw, to próbujmy wykorzystać klęski. Polska podczas II wojny straciła 6 milionów obywateli, a jednocześnie tę wojnę wygrała – bo przetrwała.

Stworzono na nowo państwo i na nowo naród.
Ale dlaczego nie rozmawialiśmy na ten temat sześć lat temu, podczas poprzedniego wywiadu dla „Tygodnika"? Czy jeszcze niedawno nie były to istotne tematy?

To prawda. Ale też na pewne kwestie patrzymy inaczej. Sam po latach stworzyłeś nową wersję „Nazistów". Tym razem są to „Real Nazis" (2017).
To jest zbiór zdjęć notabli, żołnierzy...

...i artystów.
...w mundurach nazistowskich. To zdjęcia, jakich nie znamy z książek o wojnie. Wystudiowane, kolorowe portrety. Wyglądają jak filmowe fotosy. Jakby naziści grali aktorów.

Nieustannie wraca pamięć o tamtych czasach. Wyobrażenia zbiorowe, oficjalne narracje, często też tworzone przez kulturę masową mieszają się z pamięcią indywidualną, z przekazem rodzinnym. Wyobrażenia o tamtych czasach i zachowane wspomnienia. Jednocześnie obie prace – „Naziści" z 1998 r. i „Real Nazis" tworzą rodzaj dyptyku.
I bardzo chciałbym je obok siebie zobaczyć. Bo są swym lustrzanym odbiciem.

Powiedziałeś: naziści wyglądają jak aktorzy. To pokazuje siłę, estetyczną ponętność totalitaryzmów.
A jednocześnie nie bardzo wierzę, że komuś można opowiedzieć o przeszłości. Można jedynie pokazać wyobrażenia o niej. Który obraz nazisty jest prawdziwszy? Wymuskanego, pozującego do zdjęcia czy wieszanego na stryczku? Są jedynie recepcje wyobrażeń o przeszłości, do których jesteśmy przyzwyczajeni.

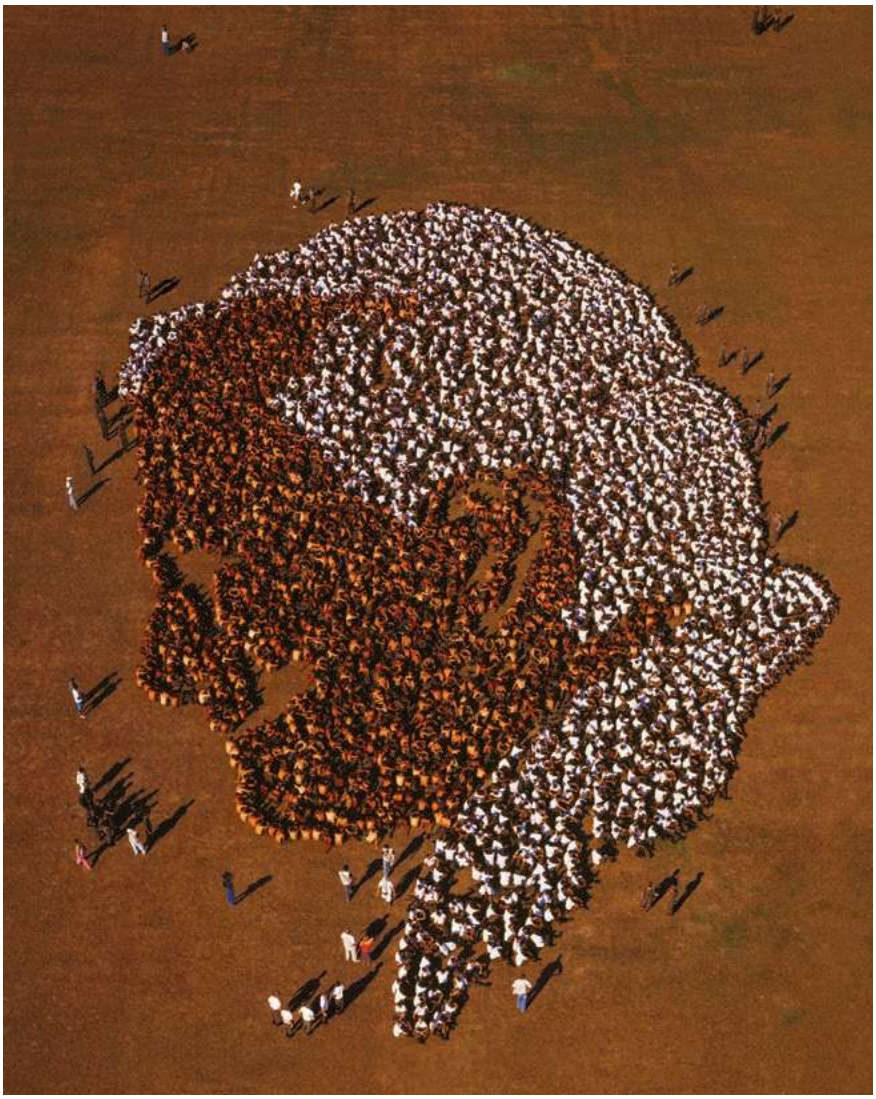

PIOTR UKLAŃSKI / WŁASNOŚĆ MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Bez tytułu (Jan Paweł II), 2004 r.

Zaciekawiło mnie coś innego. Piotr Cywiński, dyrektor Muzeum w Auschwitz, zwrócił uwagę, że następuje kolejna zmiana myślenia o opowiadaniu o II wojnie światowej i Holokauście. Długo nie pokazywano oprawców, lecz skupiano się na ofiarach.

To była świadoma decyzja historyków, by sprawcom nie dawać przestrzeni i relegować ich obraz. W rezultacie istniejący w kulturze obraz nazisty przeszedł do świata fantasmagorii. Dyrektor Cywiński wskazał konieczność, by oprawców pokazywać, i tym samym ujawniać twarz zbrodni. W mojej pracy to nie są abstrakcyjne twarze. Każda z nich jest podpisana nazwiskiem.

Tworząc „Real Nazis" wspomniałeś o swoim dziadku Stefanie Grzelaku, więźniu SS-Arbeitslager Friedrichshafen. Bardzo wyraźnie pojawił się wątek autobiograficzny. Dlaczego?
Bo to konkret, osadzenie w rzeczywistości. Tworząc „Nazistów" sięgnąłem po zdjęcia aktorów, by pokazać, że nazizm, Holokaust stają się fikcyjnym tematem. Są pisane scenariusze, aktorzy przebierani itp. W nowej wersji sięgnąłem po historyczne zdjęcia. Co ciekawe, w jednej recenzji o mojej pracy przeczytałem, że pomieszałem zdjęcia nazistów i aktorów. Chociaż wszystko na wystawie było opisane, okazuje się, że nasza kolektywna pamięć jest ↦

MATERIAŁY PRASOWE / MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Bez tytułu (Twierdza w Kamieńcu Podolskim jako przedmurze chrześcijaństwa), 2018 r.

↦ tak bardzo fragmentaryczna. Ludzie nie do końca rozróżniają, co jest realne, a co fikcją.

Nie doceniamy siły obrazów?

Owszem, jeżeli dziś widzi się maszerujących narodowców, to natychmiast przypominają się obrazy z przeszłości. Ona wydobywa się niczym dżin z czarodziejskiej lampy. Nie doceniamy siły obrazów – tego, jak umiejętnie zaprzęgnięte do polityki mogą wpływać na ludzi. Żołnierze wyklęci pojawiają się obok husarii. Razem zdobywają na nowo przedmurze chrześcijaństwa.

Starasz się, aby tworzone przez Ciebie obrazy miały podobną, perwersyjną siłę? By uwodziły i zwodziły jednocześnie?

Oczywiście!

W latach 90. ubiegłego stulecia dyskutowano w Polsce o tym, czy artysta chcąc zrobić karierę musi sięgnąć po międzynarodowy idiom artystyczny, zrozumiały dla innych, i niejako zagubić siebie.

Czy się zagubiłem?

A może przeciwnie?

Zagubiłem się i wracam do Polski, by się odnaleźć?

Nie! Chodzi o to, że realny problem jest inny: jak o sobie opowiedzieć językiem zrozumiałym przez innych, nie tracąc własnej tożsamości.

Masz rację, bo twórczość musi być osobista. Tylko jest pytanie: jak robić, by była czytelna dla innych. Czytelność prac tak naprawdę zależy od widza: z jakim zasobem wiedzy przychodzi, czy przeczyta tytuł pracy, czy będzie chciał sprawdzić, co on znaczy, czy przeczyta tekst w katalogu? Chciałbym, ale nie wierzę, że to, co robi artysta, jest całkowicie zrozumiałe dla odbiorców. I nie widzę w tym problemu.

Ale może w ogóle tożsamość nas dogoniła? Popatrz na ubiegłoroczne Documenta w Kassel czy tegoroczne Biennale Sztuki w Berlinie. Wcale jej nie odrzucamy, tylko próbujemy na nowo definiować.

Właśnie. Jest u nas grupa artystów, która np. potrafi spojrzeć na garderobę patriotyczną z frywolnością, elementem subwersywnej ironii. Wcześniej sięganie po nią to był obciach. A oni są w stanie zrobić z niej coś innego, wykorzystać obciach, pozszywać różne wątki, dodać elementy np. *queer*. Może dopiero młode pokolenie, dwudziestoparolatkowie, może sięgnąć bez obciążeń po narodowe wątki? To, co robią, przypomina mi działania Cezarego Bodzianowskiego z połowy lat 90. Interesował go kapitalizm wchodzący wówczas do Łodzi i np. robił performans w galeriach handlowych. Był jedynym artystą, który zmierzył się z transformacją, jednocześnie nurzając się w niej po nos.

Jednocześnie Cezary Bodzianowski odrzucał kompleks gorszości. Chodził ubrany tak jak nie należy. Miał nieodpowiednie wąsy. Zwiastował „Janusza", dzisiejszy postrach mainstreamu.

No i ten jego berecik z antenką! Takich panów z wąsami i noszących podobny berecik było mnóstwo, ale my nie chcie-

liśmy ich widzieć. A on podstawiał nam lustro, w którym odbijała się niechciana rzeczywistość.

Wracając do „Polski". W tym zbiorze fotografii są zarówno zdjęcia ptaków czy kwiatów, jak i pomników. Próbujesz tworzyć – albo odtworzyć – wizualną pamięć Polaków, w której mieści się dawna Polska i PRL, historyczne pamiątki i natura?

Wprost nawiązuję do powstających dziś masowo książek fotograficznych zatytułowanych „Polska". Ciekawi mnie, co stoi za dokonywanymi w nich wyborami. Oczywiście, one najczęściej powstają na turystyczny użytek i mają czysto komercyjny cel. Jednak w nich też jest zawarta jakaś koncepcja Polski. Bliska mi.

W 2016 r. napisałeś niewielki tekst, w którym stawiasz zasadnicze pytanie: kim są właściwie Polacy? Jak sam byś na takie pytanie odpowiedział?

Nie podjąłbym się tego. Ale interesujące jest to, że nagle chcemy raz jeszcze zadać sobie to pytanie. Pojawiają się kolejne publikacje, które próbują zrozumieć, co się stało. Dlaczego doszło do tak ostrego zwrotu. I nie tylko prawa strona zaprzęga symbole, by nas na nowo wymyślić. Lewa strona też z wyraźnym wysiłkiem próbuje rozpoznać, czy jesteśmy inni, niż myśleliśmy. A może po prostu zapomnieliśmy o tym, jacy jesteśmy? Jakbyśmy nie mieli ciotek czy kuzynek, które pracują w supermarketach. Dziadków i babć, którzy otrzymują 250 złotych renty.

Prawica, lewica, liberałowie nawet próbują teraz odpowiedzieć na pytania, czy powodzi się tylko mieszkańcom dużych miast? A może także mniejszych i wsi, a podziały przebiegają inaczej? Dlaczego wiele osób, które wyjechały z Polski np. do Anglii zarabiać, wraca do kraju nie tak „unowocześnionych", jak by się wydawało? Dlaczego nie są otwarci, a wręcz przeciwnie, bardziej ksenofobiczni niż przed wyjazdem itd. Może teraz przechodzimy wielką narodową psychoterapię, na którą wcześniej nie było czasu, bo trzeba było zarabiać pieniądze.

© Rozmawiał PIOTR KOSIEWSKI

Fotografia ojczysta w 2018 roku

PIOTR KOSIEWSKI

Zdjęcia Uklańskiego układają się w opowieść o Polsce w pigułce. Godzącej różne tradycje, historie, pamięci.

W Krakowskim Muzeum Narodowym znalazły się 53 fotografie Piotra Uklańskiego. Niewielkie, oprawione w proste drewniane ramy i neutralne *passe-partout*. Jedne są czarno-białe, inne kolorowe. Są wśród nich zdjęcia wawelskiej katedry i Pomnika Bohaterów Warszawy, kołobrzeskiego bulwaru Jana Szymańskiego i myszołowa włochatego, cmentarza Orląt Lwowskich i czerwonych maków. Wszystkie składają się na cykl zatytułowany „Polska".

„Za fotografię ojczystą należy uważać zdjęcia obrazujące polski krajobraz i architekturę, budowle zabytkowe, typy ludowe, sceny rodzajowe charakterystyczne dla społeczności polskich miast i wsi" – przekonywał Jan Bułhak w 1938 r. na łamach „Przeglądu Fotograficznego". I dodawał, że „zdjęcia te powinny obrazować naszą ziemię ojczystą i ludzi ją zamieszkujących z najlepszej strony oraz posiadać wartość artystyczną i piętno narodowe".

Ten klasyk naszej fotografii stworzył wzorzec opowiadania o Polsce za pomocą zdjęć. Nie tylko słynnych zabytków i pomników, ale zwykłej zabudowy czy przyrody. Dokumentował nasz kraj, ale też kreował o nim wyobrażenia. Widział w swych pracach sztukę, ale chciał, by „fotografia ojczysta" znalazła się w prasie, przewodnikach turystycznych, a nawet informatorach reklamowych. Bo tylko wtedy będzie kształtowała wyobraźnię polskiej wspólnoty.

Zdjęcia Uklańskiego wydają się pochodzić z różnych czasów i odwołują się do różnych stylistyk – od Jana Bułhaka, przez Edwarda Hartwiga i Adama Bujaka, po dzisiejszych dokumentalistów. Zarazem Uklański sprawdza, czy fotografia także dziś może tworzyć opowieść o Polsce i kreować narodowe mity. Stawia pytania o siłę oddziaływania obrazów.

Poszczególne zdjęcia nie są podpisane. Zostajemy sam na sam z tymi wyobrażeniami: jedne z łatwością można rozpoznać, inne na pierwszy rzut oka niewiele z Polską łączy. Trzeba dopiero sięgnąć po towarzyszący fotografii folder. Dopiero wtedy okazuje się, że słowo także odgrywa ważną rolę. Są tu odwołania do kluczowych dla naszej kultury tekstów. Przywoływany jest „Herostrates" Jana Lechonia z pamiętną frazą „A wiosną – niechaj wiosnę, nie Polskę, zobaczę" i biblijne wersety. Tytuł opowiadania Tadeusza Borowskiego „Proszę państwa do gazu", ale też i książki Marii Janion „Do Europy tak, ale razem z naszymi umarłymi". Nawet najbardziej z pozoru sielankowe fotografie niejednokrotnie niosą ze sobą inne, trudne, często dramatyczne treści.

Wszystkie te zdjęcia układają się w opowieść o Polsce w pigułce. Godzącej różne tradycje, historie, pamięci. Jest w niej miejsce dla powstań, kresowych mitów, II RP, dramatu II wojny i czasów PRL. Dla Świątyni Opatrzności Bożej i dla Pomnika Żołnierzy Armii Czerwonej. Polska tożsamość – przypomina wystawa w krakowskim Muzeum Narodowym – jest bardziej skomplikowana i wielowątkowa, niż chciałaby tego dominująca dziś rządowa narracja.

Na wystawie jest jeszcze jedno, 54. zdjęcie. Znacznie większe od pozostałych i oddzielnie powieszone. Otwiera, a zarazem zamyka wystawę. Przedstawia płonące drzewo. Jego tytuł odnosi się do wersu z Księgi Wyjścia: „Rzekł mu [Bóg]: »Nie zbliżaj się tu! Zdejm sandały z nóg, gdyż miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą«". ©

POLSKA. *Piotr Uklański, Muzeum Narodowe w Krakowie, wystawa czynna do 30 grudnia 2018 r., kurator Adam Mazur.*

Buty Kieślowskiego

ANITA PIOTROWSKA

Wizerunek człowieka szorstkiego i nieprzystępnego, a przy tym skrywającego w sobie tajemnicę, czynił z niego guru o zasięgu globalnym. Jego agnostyczne „nie wiem" brzmiało niczym najgłębsza mądrość.

Kiedy rodzime kino autorskie znów nabiera znaczenia, kiedy Paweł Pawlikowski sięga po prestiżowe laury, a Wojciech Smarzowski bije rekordy kasowe, ukazuje się pasjonująca biografia najważniejszego, jeśli mierzyć światową miarą, polskiego twórcy po 1989 r. Wpisana w historię PRL-u i ustrojowej transformacji, opowiada o naszych kompleksach i aspiracjach – ale także o cenie, jaką przyszło zapłacić temu, który znalazł się na samym szczycie.

Katarzyna Surmiak-Domańska, autorka m.in. świetnych książek „Mokradełko" i „Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość", z tym samym reporterskim temperamentem na 600 stronach rozmontowuje spiżowy pomnik Krzysztofa Kieślowskiego, by odnaleźć w środku żywego człowieka, z jego wielkością i wszelkimi słabościami. Jedno jest pewne: po lekturze „Zbliżenia" inaczej oglądać będziemy jego filmy. Zobaczymy ukryte w nich ślady mocowania się z samym sobą i uwikłania w różne systemy władzy (komunistyczny w Polsce, kapitalistyczny na Zachodzie). Charyzma, jaką od zawsze przypisywano temu twórcy, z czasem stała się dla niego ciążącym zobowiązaniem, ale autorka biografii nie daje się swojemu bohaterowi uwieść.

Granice pragmatyzmu

Od dziecka był „stary": widział i wiedział więcej, we wszystkim doszukiwał się sensu. Równocześnie jako chłopiec słaby i chorowity (gruźlica zabrała mu ojca) skazany był na liczne przeprowadzki, pobyty w sanatoriach i prewentoriach, ustawianie na nowo swojej pozycji w grupie. Lecz choć marzył mu się jakiś „męski fach", w szkole strażackiej wytrzymał tylko kilka miesięcy. Za to w warszawskim liceum technik teatralnych od razu wskoczył na pozycję lidera, chętnie eksperymentował z teatralną formą, a przed komisją wojskową odegrał swój życiowy spektakl, poprzedzony wielodniową głodówką.

Już z tych wczesnych epizodów wyłania się portret artysty-ekstremisty. W wyborach politycznych pozostanie Kieślowski zdecydowanie bardziej ostrożny. Kiedy podczas studiów w łódzkiej filmówce wpadnie w sam środek „antyinteligenckiej rewolucji" 1968 r., chociaż opowie się po stronie „komandosów", po latach będzie krytykował swoją młodzieńczą naiwność – wmanipulowanie idealistycznego buntu w brudną walkę o władzę, jak twierdził.

Już wówczas jednak miał opinię bardziej pragmatyka niż romantyka, a praca nad pierwszymi filmami przyniosła kolejne otrzeźwienia. Przyjmując zlecenie na monumentalny dokument „Robotnicy 1971: Nic o nas bez nas" z okazji VI Zjazdu PZPR, niedługo po tragedii Grudnia, liczył jeszcze na przemycenie jakiejś prawdy o ówczesnych nastrojach. Tymczasem brutalnie okaleczony przez cenzora film stał się progierkowską laurką emitowaną w TVP pod zmienionym tytułem, co zmusiło jej rzekomych twórców, Kieślowskiego i Tomasza Zygadłę, do usunięcia swoich nazwisk z czołówki. Znów reżyser uświadomił sobie, że został wmanewrowany w polityczną awanturę.

Całą perfidię systemu miał poczuć dopiero wtedy, gdy zrozumiał, że nagrane przez niego materiały mogą być wykorzystywane przeciw konkretnym ludziom. Wkrótce potem to właśnie on (wraz z Zygadłą) potajemnie skopiuje nagrania rozmów strajkujących robotników stoczni z partyjną wierchuszką. Przemycone za granicę i wyemitowane w Radiu Wolna Europa tzw. taśmy szczecińskie pokazują światu prawdziwą twarz systemu. Po tym epizodzie, w którym Kieślowski chcąc nie chcąc odegrał naraz dwie role: „pożytecznego idioty" i odważnego wywrotowca, będzie musiał przewartościować swoje myślenie na temat pozycji dokumentalisty w autorytarnym państwie.

Dwuznaczna charyzma

Nie mogąc być rzetelnym kronikarzem rzeczywistości, gardząc fabularnym „opowiadaniem bajek", Kieślowski wzorem wielu innych filmowców tego okresu zaczął uciekać w metaforę. Kameralny „Szpital" (1977), rejestrujący codzienne zmagania warszawskich lekarzy z niedostatkiem i prowizorką, stawał się filmem o degrengoladzie państwa. Dokument jako taki zaczął jednak objawiać swoją drugą, demoniczną twarz. Już po nakręceniu „Pierwszej miłości" (1974) czy „Z punktu widzenia nocnego portiera" (1977) reżyser spostrzegł, jak bardzo obecność kamery wpływa na życie jego bohatera, jak dalece go zmienia, każąc wejść w rolę zaprojektowaną przez dokumentalistę. Zwłaszcza drugi z filmów, który uczynił z portiera służbisty wcielenie totalitarnego zła, skłaniał do refleksji na temat granic ingerencji filmowca w tożsamość drugiego człowieka.

Oszukany i skrzywdzony miał prawo poczuć się także bohater dokumentu „Nie wiem" (1976), czyli zdegradowany dyrektor fabryki, który rozpracował grubą aferę korupcyjną. W obliczu nieprzewidzianych konsekwencji Kieślowski próbuje osobiście zapółkować oba filmy, ostatecznie jednak przyjmuje do wiadomości kolejną gorzką lekcję: ustawienie kamery bardzo łatwo może stać się gestem politycznym, a zarazem niebezpieczną w skutkach operacją na żywym organizmie.

O wielkiej władzy dokumentalisty nad ludzkim losem mówi w książce reżyserka Maria Zmarz-Koczanowicz, jego była studentka, zwracając uwagę na psychologiczne i socjotechniczne umiejętności Kieślowskiego w podporządkowywaniu sobie bohaterów. Sam w porę dostrzegł tę ciemniejszą stronę swej charyzmy i dlatego w latach 80. wycofał się z dokumentu.

Wybory i przypadki

W jego wczesnych filmach fabularnych, „Personelu" (1975), „Spokoju" (1976) czy „Amatorze" (1979), ciągle jeszcze miesza się rzeczywistość i fikcja, naturszczycy i aktorzy profesjonalni, a Jerzy Stuhr osiąga upragniony ideał „aktorstwa behawioralnego", bliski dokumentalnej autentyczności.

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI / FORUM

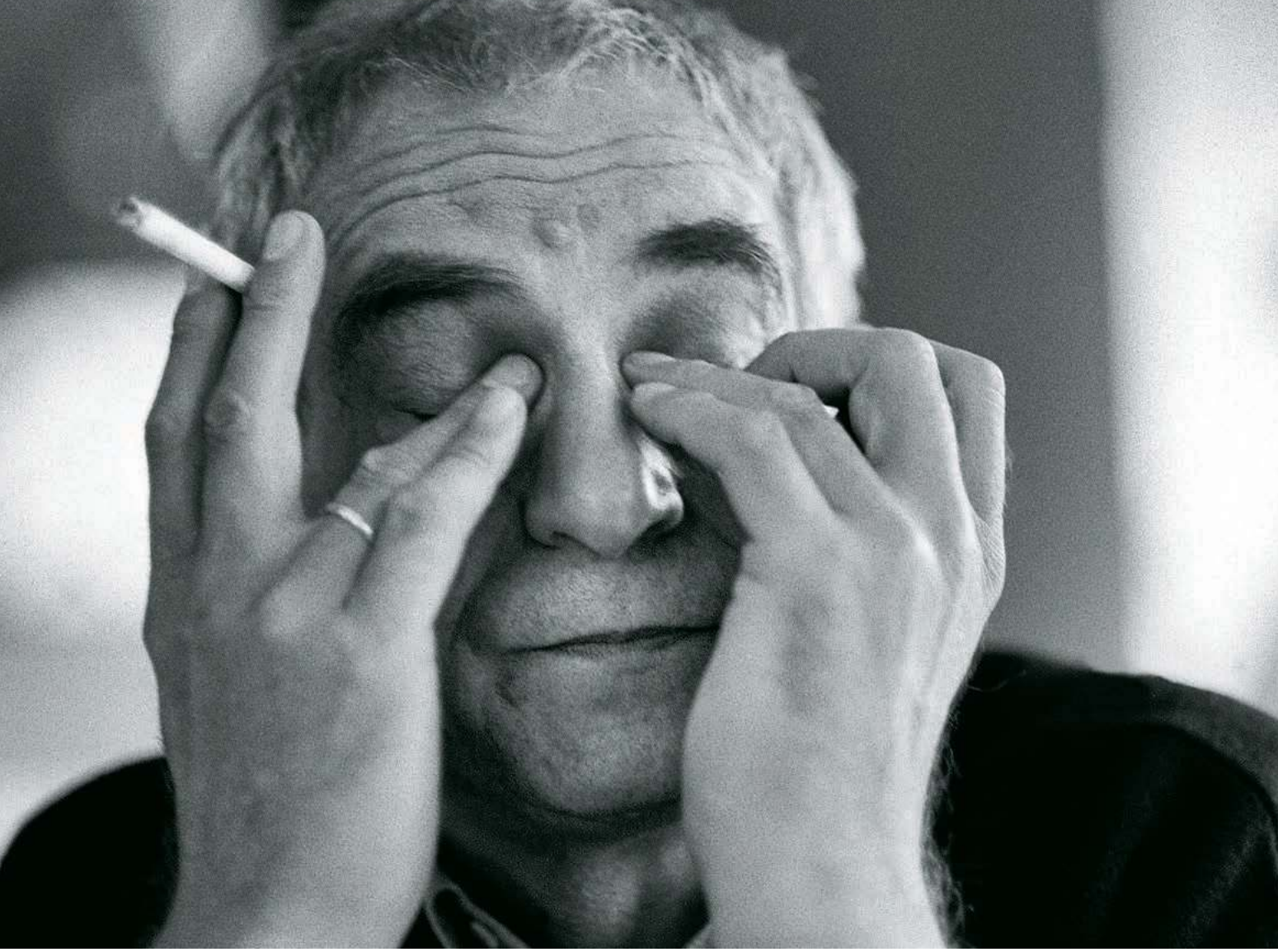

Krzysztof Kieślowski, 1995 r.

W tym czasie pojawia się już nieśmiało coś, co wraz z Hanną Krall, przyjaciółką i przyszłą depozytariuszką jego spuścizny, nazwał Kieślowski nadwyżką metafizyczną – kiedy w tym, co niby zwyczajne, pospolite czy nudne, ukazują się prześwity jakiegoś innego wymiaru. Tak oto twórca, który do niedawna uważał się za jednego ze zwykłych „inżynierów" zatrudnionych w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, przestaje mieścić się w kolejnej szufladce. Tej z napisem „kino moralnego niepokoju".

W „Amatorze" dostrzega Surmiak-Domańska metaforę tego nurtu, który stanowił dla władzy wentyl bezpieczeństwa, niegroźny przejaw koncesjonowanej wolności, a jednocześnie dla samego Kieślowskiego stał się refleksją na temat własnej twórczości dokumentalnej, wplątanej w polityczne gry. Pamiętny finał, w którym bohater kierował kamerę na siebie zamiast na rzeczywistość za oknem, w przededniu Solidarności został odebrany przez część środowiska filmowego jako akt niemalże zdrady. „Tak jakby mówił: słuchajcie, nam nie wolno sądzić władzy, spójrzmy lepiej na siebie" – wspomina Jacek Petrycki. To jeden z tych fragmentów życiorysu reżysera, kiedy zdaje się on postacią dwuznaczną czy wręcz podejrzaną. Legalistą? Lojalistą? A może stoi przed nami człowiek po prostu odarty ze złudzeń, który widząc, że system jest nie do ruszenia, trzyma się zasady „róbmy swoje" i poszukuje szczelin w murze? Jednym z wielu mocnych punktów tej biografii jest brak kategorycznych osądów – nawet wtedy, gdy reżyser zostaje przyłapany przez autorkę na jakimś przekłamaniu, przemilczeniu czy głębokim wyparciu.

Samotnym wilkiem będzie Kieślowski również podczas solidarnościowego karnawału. Jest sceptyczny wobec zbiorowej euforii, a jako filmowiec nie zamierza ścigać się z publicystyką. Gdy w „Krótkim dniu pracy" (1981) zagląda w duszę sekretarzowi partii, znów naraża się kolegom po fachu, coraz bardziej radykalnym w swojej opozycyjności. Za symboliczne zwrócenie kamery na samego siebie uważa się w jego twórczości film „Przypadek" (1981, premiera 1986) – nawet data urodzin bohatera jest tu zbieżna z urodzinami Kieślowskiego. Spośród trzech wariantów losu bohatera: partyjnego, dysydenckiego i politycznie neutralnego, przypisywany jest reżyserowi właśnie ten trzeci, oznaczający brak zaangażowania, skupienie się na pracy i rodzinie.

Stan wojenny przyjmuje Kieślowski z rezygnacją, ale przecież on, urodzony czarnowidz, już dawno zdążył go przewidzieć. Pielgrzymująca do niego zagubiona młodzież chciałaby dalej widzieć w nim guru, reżyser czuje się jednak coraz bardziej niepewnie. Podpisuje listy protestacyjne, pomaga potrzebującym, lecz boi się coraz bardziej o los swoich najbliższych. Opisując ten stan bezczynności i zniechęcenia, autorka biografii rozprawia się przy ↦

okazji z legendami narosłymi wokół reżysera w owym czasie. Gdy uczestnicząc w rozprawach sądowych, Kieślowski odkrywa, że obecność kamery może wpływać na złagodzenie wyroku, raz jeszcze okazuje się, że była ona dla władzy jedynie listkiem figowym, służącym „wybielaniu" komunistycznych sądów.

Kristoff „Kiśl" Kieslosky

Z Kościołem katolickim też nie jest mu po drodze: zamówiony przez Episkopat film „o papieżu bez papieża" nigdy nie powstanie – irytowały reżysera wypytywania zleceniodawców o ślub kościelny. Ze „Zbliżenia" wyłania się portret artysty, który desperacko poszukuje własnego tonu na przekór uwikłaniu w rozmaite zależności – choć wielokrotnie, również wtedy, gdy staje się artystą światowego formatu, będzie gubić ten wyjątkowy ton na rzecz rozmaitych kompromisów.

Kiedy jednak nakręci całkowicie bezkompromisowe „Bez końca" (1984), w którym próbował oddać posępną aurę stanu wojennego za pomocą „metafizycznego naddatku", i który, zdaniem Agnieszki Holland, był jednym z najbardziej osobistych w jego dorobku, ta szczerość nie zostanie doceniona, a krytyczne głosy spadną nań z obu stron barykady. Na dodatek niektórzy koledzy, na przykład Antoni Krauze, długo nie będą mogli mu zapomnieć, że w czasach politycznego bojkotu tak szybko wrócił do gry.

Realizację serialu „Dekalog" też postrzegano w środowisku krytycznie – „to nie był czas na takie filmy". Co więcej, świat również nie czekał na filmy Kieślowskiego. „Bez końca" i „Przypadek" zostały zignorowane przez zachodnie festiwale, „Dekalog" długo uchodził za serial „wyznaniowy" i dopiero triumf w Cannes „Krótkiego filmu o zabijaniu" zapoczątkował, jak pisze autorka, siedem lat tłustych. Nagroda Feliksa (późniejszej Europejskiej Nagrody Filmowej) rozpoczęła pochód polskiego reżysera przez czerwone dywany, kina i ekrany telewizyjne na całym świecie. Zaczęła się moda na Kieślowskiego, która z czasem zamienia się w snobizm i fanatyczne wręcz uwielbienie.

Reżyser miał do tych hołdów stosunek sceptyczny. Zdawał sobie sprawę z przyprawianej mu „gęby". Po śmierci bądź zamilknięciu największych mistrzów kina to on został namaszczony na proroka „z dalekiego kraju". Po upadku muru berlińskiego, w obliczu jednoczenia się kontynentu, polski reżyser stał się ikoną wolności, równości i braterstwa. Kolejne jego filmy, już realizowane za granicą, „Podwójne życie Weroniki" i trylogia „Trzy kolory", były odbiciem metafizycznych tęsknot, coraz silniej odczuwanych przez mieszkańców zeświecczonej Europy.

Potrafił być wspierającym bratem, jak i autorytarnym ojcem. Sprawiał, że ci, którzy grzali się w jego świetle, pozostawali jednocześnie w jego cieniu.

Publiczny wizerunek człowieka szorstkiego i nieprzystępnego, a przy tym skrywającego w sobie pewną tajemnicę, czynił z Kieślowskiego guru o zasięgu globalnym. Jego agnostyczne „nie wiem" brzmiało niczym najgłębsza mądrość. Surmiak-Domańska opisuje ten okres w jego karierze jako z jednej strony erupcję zabójczego pracoholizmu, ciągłe podnoszenie sobie poprzeczki, jak i nadludzki stres, okupiony bezsennością i dziesiątkami wypalanych papierosów.

Mimo komfortowych warunków pracy nie było w nim żadnej radości tworzenia – „tylko mozół i nuda", by zacytować Edwarda Żebrowskiego. Do tego doszedł jeszcze lęk przed odrzuceniem, nakręcany przez pojawiające się tu i ówdzie nieprzychylne recenzje, zarzucające mu „kieszonkową religijność" i kaligrafizm.

„W zasadzie ja zawsze kręcę filmy o tym, że nic się nie da zrobić" – twierdził. Z kart książki wyłania się arcypolski portret prymusa, próbującego za wszelką cenę sprostać wyśrubowanym oczekiwaniom, a jednocześnie człowieka coraz bardziej zgorzkniałego, wątpiącego i świadomego zbliżającego się końca. Złota Palma dla „Pulp Fiction" Quentina Tarantina w 1994 r. i zarazem sromotna porażka filmu „Czerwony" była znakiem ostatecznego wyczerpania – zarówno samego reżysera, jak i pewnego modelu kina, co nie przeszkodziło mu znaleźć potem legionu naśladowców, od Iranu po Meksyk.

Warto też dziś pamiętać, czym było kino Kieślowskiego na tle polskiej mizerii lat 90. Nawet jeśli wchodząc w międzynarodowy obieg, zapadło ono na chorobę zwaną festiwalozą, a canneński juror Kazuo Ishiguro, późniejszy noblista, dopatrzył się w nim „zwykłej filmowej kalkulacji", nie zapominajmy, że twórca „Przypadku" uważał się bardziej za rzemieślnika niż artystę. I trudno odmówić mu mistrzostwa przynajmniej w tej pierwszej kategorii – jakkolwiek pod koniec życia upatrywano w nim przede wszystkim kogoś na kształt wielkiego demiurga kina, a on sam chwilami za bardzo utożsamiał się z tym wyobrażeniem.

Dostajemy do ręki migotliwy obraz artysty, złożony z wielu warstw, tworzony przez autorkę z dala od magla towarzyskiego, obraz pełen smaków i zapachów minionych epok i nakładających się na tę biografię innych fascynujących życiorysów, obraz zbudowany z wielokrotnych odbić, narracyjnych haczyków i zaskakujących puent. Koniec końców czyni on z kosmopolitycznego „Kristoffa Kieslosky'ego" jakże swojskiego i bliskiego nam „Kiśla". Staje przed nami nerwowy, przygarbiony, z coraz bardziej podkrążonymi oczami – nic dziwnego, że Piotr Dumała tworząc w animowanym „Doktorze Charakterze" archetyp polskiego inteligenta, świadomie czy nie, wykorzystał podobiznę Kieślowskiego. Potrafił być wspierającym bratem, jak i autorytarnym ojcem. Sprawiał, że ci, którzy grzali się w jego świetle, pozostawali jednocześnie w jego cieniu, lecz przede wszystkim to od siebie samego wymagał najwięcej i sam dla siebie stał się depresyjnym cieniem.

„My, Polacy, zanim zaczniemy zmieniać świat, powinniśmy najpierw wyczyścić sobie buty". Ów trzeźwy obserwator rzeczywistości, niezależnie od ustroju politycznego, próbował brać ją pod włos, to znów przebijać się na drugą stronę. Potrafił „zmieścić się w systemie" i niepostrzeżenie go przeskoczyć. Często jednak wchodził w buty jakby nie swoje, za duże lub za małe. Książka Surmiak-Domańskiej pozwala zobaczyć go w nie zawsze czystych butach, ale wreszcie we właściwych proporcjach.

© ANITA PIOTROWSKA

Katarzyna Surmiak-Domańska **KIEŚLOWSKI. ZBLIŻENIE** *Agora, Warszawa 2018.*

KIJORA FILM

Kadr z filmu „Krzyżoki" w reżyserii Anny Gawlity

Usłyszmy się

ANITA PIOTROWSKA

Polski dokument artystyczny skazany jest na obieg prawie wyłącznie festiwalowy. Nie musi tak być. Producenci i twórcy biorą sprawy w swoje ręce.

Gdyby Kieślowski kręcił swoje dokumenty dzisiaj, nie byłoby mu łatwo przebić się z nimi do kin czy telewizji. Na duże ekrany trafiają tytuły, które przede wszystkim mają dobrze się sprzedać: portrety znanych ludzi, dokumenty muzyczne czy sportowe. Telewizja publiczna, nawet będąc producentem filmu dokumentalnego, ociąga się z jego emisją, a tym samym z przypisaną jej misją. Ten trend chce odwrócić inicjatywa „Ucho na dokument", dzięki której w kilkudziesięciu kinach zobaczymy w najbliższym półroczu trzy nagradzane, ciągle świeże tytuły i spotkamy się z ich twórcami.

„Opera o Polsce" Piotra Stasika to średniometrażowy film, o którym na pewno warto rozmawiać, a nawet się spierać. Twórca „Dziennika z podróży" czy nominowanego do Europejskiej Nagrody Filmowej „21 x Nowy Jork" zabiera nas w podróż po Polsce współczesnej i mitycznej zarazem. Ojczyzna reżysera kojarzy się z tajemniczym plemieniem odprawiającym swoje codzienne i odświętne rytuały. Migawki z festynów, stadionów, religijnych procesji, wiejskich i miejskich pejzaży, układają się w niepokojący kolaż. Wypisy z książek Andrzeja Stasiuka mieszają się z wypowiedziami słuchaczy Radia Maryja, fragmentami blogów, komentarzy internetowych, z homiliami, raportami GUS-u i różnej maści ogłoszeniami drobnymi. Niczym w „Elementarzu" Wojciecha Wiszniewskiego, klasyku polskiego dokumentu kreacyjnego z 1976 r., anonimowi Polacy zostają postawieni wobec pytań najprostszych i najważniejszych. Filmowani statycznie, frontem do kamery, w swym naturalnym otoczeniu, wyglądają niczym dalecy i niechciani krewni – choć, jak przypomina film, „innej ojczyzny mieć nie będziemy". W tym gorzkim liście miłosnym pisanym do Polski sonorystyczna muzyka Artura Zagajewskiego wchodzi ze słowem i obrazem w zgrzytliwy dysonans, jednocześnie zgęszczając je i wprawiając w ruch na modłę błędnego koła, inspirowanego – jakże by inaczej – malarstwem Jacka Malczewskiego. Nad wszystkim zaś unosi się złowieszczy totem w postaci martwego orła rozpiętego na krzyżu. Czy to Polska właśnie?

Muzyczność filmu Stasika wprowadza w klimat drugiego z dokumentów. Pełnometrażowy „Festiwal" Anny Gawlity i Tomasza Wolskiego nawiązuje bowiem do najlepszych tradycji dokumentu obserwacyjnego spod znaku Fredericka Wisemana i w tym duchu przygląda się od kuchni pewnej ważnej imprezie (zdjęcia kręcone były podczas prób i koncertów festiwalu Chopin i jego Europa). Dla twórców nie jest jednak istotny wymiar „eventowy" czy występujące przed kamerą gwiazdy (prócz Janusza Olejniczaka, w „obsadzie" pojawia się Fabio Biondi czy Vivica Genaux). Z dużą swobodą, a nawet dozą poczucia humoru, kamera penetruje garderoby, windy, korytarze, pomieszczenia techniczne i sale prób, odsłaniając świat raczej niedostępny dla przeciętnego melomana. Przed nami cała maszyneria, głęboko ukryta podczas koncertu, ale także towarzyszący jej „czynnik ludzki": te wszystkie wielojęzyczne rozmowy, żarty, atmosfera wyluzowania... Z niedoskonałości wykuwa się doskonałość, oglądana przez nas konsekwentnie zza kulis.

W objazdowych pokazach polskiego dokumentu wezmą także udział „Krzyżoki" Anny Gawlity – perełka krótkiego filmu etnograficznego. W czarno-białych, świetnie zrytmizowanych kadrach reżyserka przypatruje się pradawnej tradycji wielkanocnej z okolic Opola, gdzie grupa konnych pielgrzymów wozi od wsi do wsi figurę Zmartwychwstałego Chrystusa w celu przebłagania dla urodzajnych plonów. Dostajemy zatem trzy całkowicie różne próbki polskiej twórczości dokumentalnej ostatnich lat, różnie pojmujące kategorię muzyczności. Przyjmijmy je za dobrą wróżbę. ©

Najbliższe pokazy w ramach „Ucha na dokument": 13.10 – Poznań, 17.10 – Bydgoszcz, 03.11 – Wrocław („Festiwal"), 12.10 – Poznań, 29.10 – Bydgoszcz, 04.11 – Wrocław („Opera o Polsce" + „Krzyżoki"). Więcej na Facebooku Kijora Film, producenta filmów i współorganizatora projektu.

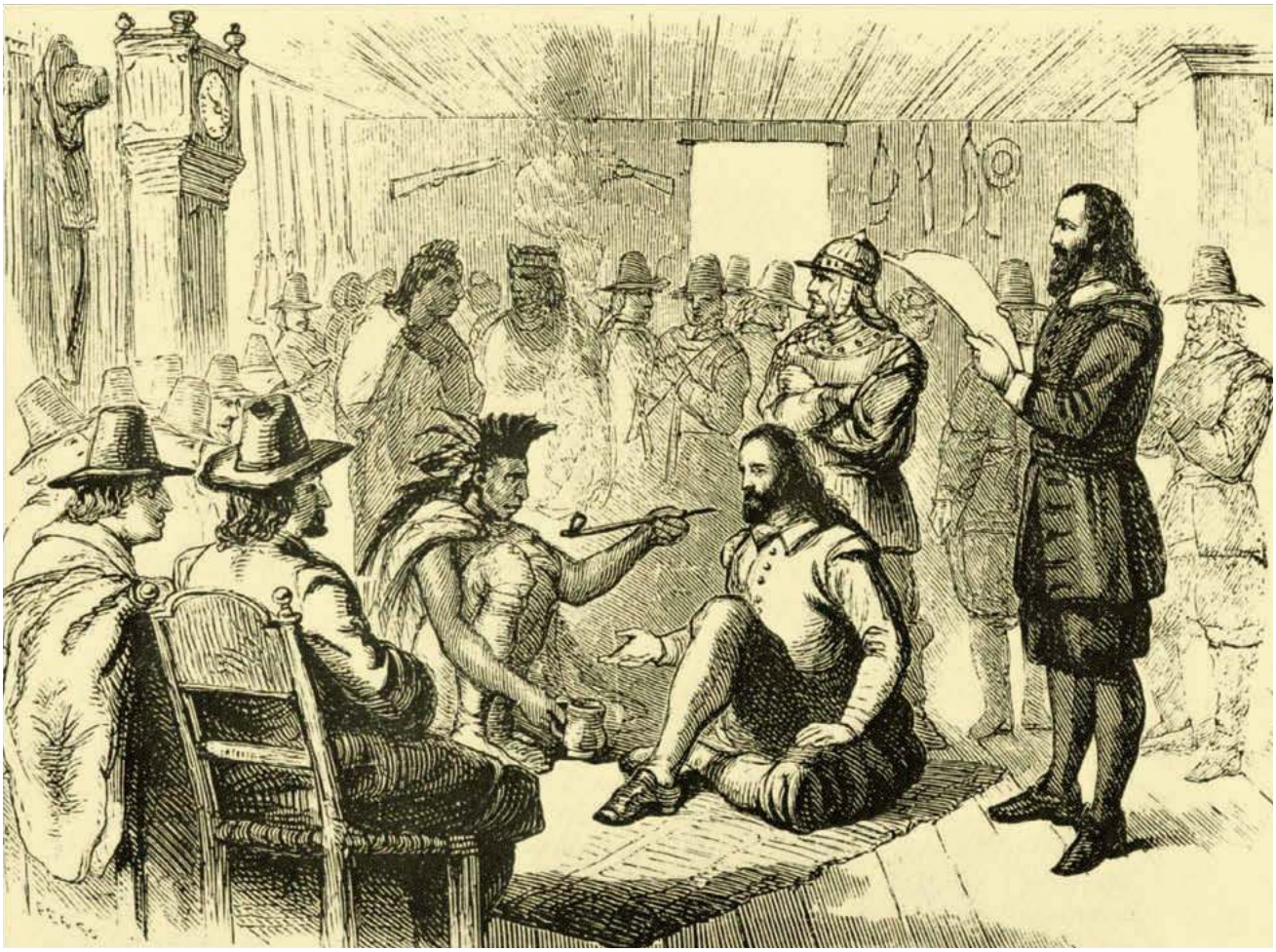

CALIFORNIA STATE LIBRARY / DOMENA PUBLICZNA

Wódz Pokanoketów Massasoit i przywódca Pielgrzymów John Carver z fajką pokoju, rycina sprzed 1898 r.

Nowy utracony świat

BARTOSZ HLEBOWICZ

Wszystko było inaczej, niż nam się wydaje. Indianie przełamali nieufność i przyjęli białych pielgrzymów. Ci odpłacili im szacunkiem i wsparciem w konfliktach z innymi plemionami. Takie były zapomniane początki wspólnej, tragicznej historii.

Wydaje nam się, że dobrze znamy tę historię. Gdy tylko pierwszy biały postawił stopę na amerykańskiej ziemi, uznał, że należy do niego. Wykarczował więc lasy, zbudował osady i forty, a półdzikich mieszkańców (bo jednak okazało się, że jakieś ludzkopodobne istoty Amerykę zamieszkiwały) wytępił, niedobitki umieszczając w rezerwatach, w których po dziś dzień gnuśnieją ich potomkowie.

Proces ten miał być nieunikniony, a w połowie XIX w. amerykańscy ideolodzy pisali wręcz o „oczywistym przeznaczeniu" białego człowieka, któremu sam Bóg powierzył misję „ucywilizowania" dzikiego kontynentu. Tym próbom zawładnięcia amerykańską ziemią sprzeciwiali się co kilkadziesiąt lat wybitni tubylczy mężowie stanu: w XVII w. Król Filip znany też jako Metacom, w XVIII w. wódz Pontiac, a w XIX w. Tecumseh, Siedzący Byk czy Cochise. Każdy z nich miał próbować budować koalicję rdzennych amerykańskich ludów, by powstrzymać napór białego człowieka. I marzenia każdego z nich rozpadały się w pył.

Nowy początek

Nathaniel Philbrick, historyk z wyboru i świetny znawca geografii wybrzeża południowej Nowej Anglii (co jest ogromnie ważne dla tej opowieści), sięga w książce „Mayflower" do samych początków anglosaskiej kolonizacji Ameryki. Relacja o wzlocie i upadku kolonii Plymouth, drugiej – po Jamestown w Wirginii – stałej kolonii angielskiej w Ameryce Północnej, służy mu do nakreślenia nieco bardziej skomplikowanej wersji historii.

Opowiada o prześladowanych w Anglii religijnych separatystach, zwanych Pielgrzymami (radykalne skrzydło purytanów), którzy z bólem serca opuszczają ojczyznę i w 1608 r. znajdują schronienie w tolerancyjnej Holandii. Potem decydują się na szaleńczą przeprawę przez ocean, by zachować angielską tożsamość i w Ameryce szukać szansy zbudowania nowej wspólnoty, niezależnej od hierarchii, czerpiącej wiarę wprost z Biblii i pie-

lęgnującej przymierze z Bogiem. Philbrick znakomicie przedstawia polityczną walkę Pielgrzymów o przetrwanie w Europie i zdobycie środków na kupno dwóch statków (ostatecznie do Ameryki pożeglował tylko jeden, tytułowy Mayflower). Opisuje także nieustanne zatargi z grupą angielskich inwestorów finansujących podróż do Ameryki, które zaciążyły na losie kolonii.

Opis samej podróży pozwala dostrzec niezwykłą determinację i dramat Pielgrzymów. Ta grupka dzielnych ludzi zeszła na ląd dopiero po przeszło dwumiesięcznej, wycieńczającej podróży przez ocean i kolejnych siedmiu tygodniach błąkania się wzdłuż południowych wybrzeży Nowej Anglii. Stało się to jesienią 1620 r. W ciągu następnych czterech miesięcy spośród 102 osadników zmarło aż 52. Pielgrzymi wcale nie myśleli o wyrywaniu od tubylców ziemi „ogniem i mieczem", lecz o handlu, nawiązywaniu relacji, sojuszach politycznych, przetrwaniu...

Służyło temu przymierze z Massasoitem, sachemem plemienia Pokanoketów, zawarte w marcu 1621 r. Jeden z jego punktów brzmiał: „Jeśli ktoś wypowie mu [Massasoitowi] wojnę, wspomożemy go. Jeśli ktokolwiek wypowie wojnę nam, on wspomoże nas".

A jesienią tego roku miała miejsce wielka, trwająca kilka dni uczta, w której setka Pokanoketów z Massasoitem na czele dzieliła się z dwukrotnie mniejszą społecznością Plymouth świeżo upolowanym jeleniem, koloniści zaś z Indianami – kaczkami i gęsiami (najpewniej) oraz zebranymi plonami. 250 lat później uczta ta stała się zwieńczeniem „wynalezionej tradycji" – Dniem Dziękczynienia, czyli ustanowioną przez prezydenta Abrahama Lincolna narodową celebracją pobłogosławionej przez Boga wspólnoty. To wielkie amerykańskie święto jest dzisiaj okazją do największej na świecie skumulowanej rzezi. W grudniu radykalnie maleje pogłowie indyków, które lądują na amerykańskich stołach.

Massasoit zawarł pakt z kolonistami, gdyż zaledwie kilka lat wcześniej straszliwa zaraza osłabiła jego lud do tego stopnia, iż stał się niemal wasalem swych tradycyjnych wrogów, Narragansettów, których epidemia ominęła. Właśnie dzięki tej zarazie, co do której źródeł i nazwy badacze do dziś snują nowe hipotezy, Pielgrzymi w istocie przybyli na ląd, który był tajemniczym pustkowiem. Zastali wyludnione wioski indiańskie i bielejące kości niezliczonych trupów.

Pielgrzymi i Pokanokeci pozostali wierni danemu sobie nawzajem przyrzeczeniu przez pół wieku.

Wódz, który nie chciał wojny

Dlaczego więc Filip, syn Massasoita, zdecydował się zaatakować potomków ludzi, z którymi jego ojciec zawarł przymierze? Już samo jego imię, nadane mu przez kolonistów, świadczyło przecież o zażyłości między tubylcami a Anglikami. Indianie z Nowej Anglii zmieniali imiona w ważnych momentach życia. Prosząc kolonistów, aby to oni je wybierali, okazywali szacunek dla przybyszów, zresztą odwzajemniany.

Jak doszło do wojny, która przyniosła tragiczne skutki dla Indian, ale i wśród kolonistów spowodowała ciężkie straty? Zginęło wtedy około pięciu tysięcy Indian, tysiąc wywieziono do Indii Zachodnich jako niewolników, kolejne dwa tysiące uciekło z ziem ojczystych na zachód i północ. Populacja tubylcza w południowej części Nowej Anglii zmalała o 60-80 proc. Była to kolejna hekatomba rdzennych mieszkańców tej części Ameryki w ciągu zaledwie dwóch pokoleń, po eksterminacji Pekotów dokonanej przez kolonistów z Connecticut w 1637 r. i po zarazie, która spustoszyła wioski indiańskie w latach 1616-19, a więc tuż przed przybyciem Mayflower.

Za zwycięstwo w wojnie z Filipem kolonia Plymouth również słono zapłaciła. W ciągu 14 miesięcy wojny (1765-66) straciła, przypomina Philbrick, prawie 8 proc. mężczyzn (dla porównania, wojna secesyjna przyniosła śmierć 4-5 proc. męskiej populacji USA). Około 30, czyli jedna trzecia, osad kolonistów w Nowej Anglii została spalona przez Indian. Gospodarka kolonii znalazła się w ruinie, a 15 lat po wojnie kolonia Pielgrzymów w Plymouth straciła swoją niezależność i została inkorporowana do kolonii Massachusetts. Również z samych ideałów założycielskich utworzenia harmonijnej, oddanej Bogu wspólnoty nic nie zostało. Pielgrzymi bardzo szybko znaleźli się w mniejszości, a zresztą już drugie ich pokolenie, wychowane na amerykańskiej ziemi, zapomniało o wizji ojców.

Dlaczego? Philbrick stawia tezę już na wstępie: za wybuch wojny odpowiedzialne były jednostki, które nie potrafiły jej zapobiec – Król Filip i Josiah Winslow, gubernator kolonii Plymouth, syn jednego z głównych sygnatariuszy porozumienia z Indianami sprzed pół wieku, Edwarda Winslowa. Był to w istocie lokalny konflikt między wodzem Pokanoketów a kolonią Plymouth, który przeistoczył się jednak w konfrontację wyniszczającą cały region. Autor podkreśla obcesowość, z jaką w przededniu wojny Josiah Winslow potraktował Aleksandra, brata Filipa, i proces, który zorganizował, by powiesić Tobiasa – bliskiego współpracownika Filipa, a także upokorzenie Filipa przez władze kolonii, które w latach 1761-62 zmusiły Pokanoketów do oddania broni palnej i płacenia trybutu. Mimo że sam Filip nie palił się do walki, „kolonia nie dała mu wyboru: jeśli miał nadal być sachemem Pokanoketów, musiał iść na wojnę" – podsumowuje autor.

Łowca Indian

Być może należałoby się spierać z Philbrickiem o niektóre szczegóły i interpretacje. Np. dwaj główni bohaterowie mogą momentami wydawać się przerysowani: Filip jawi się w jego opowieści jako chwiejny lider i tchórz, a jego główny adwersarz, Benjamin Church, jako rozsądny i zarazem brawurowy przywódca, którego czyny przypominają „głupie historyjki o tym, jak to rycerze biją olbrzymów na pęczki", jak ujął to współczesny mu purytański kronikarz Cotton Mather, zastrzegając jednakże, że w istocie jego dokonania były „niezwykłe i wspaniałe".

To Church wpadł na szatański – i szatańsko skuteczny – pomysł, by do walki z Filipem wykorzystać Indian, czemu długo przeciwstawiały się władze Plymouth z Josiahem Winslowem na czele. I to właśnie sprzymierzeni Indianie wytropili i zabili Filipa oraz kilkuset innych zbuntowanych Indian.

Church zresztą, tak jak John Smith w Wirginii, który nieraz ratował z opresji swoją kolonię, stał się prototypem ikonicznego bohatera amerykańskiego – przyjaciela i zarazem łowcy Indian. Żyje z nimi, uczy się ich stylu walki, lubi ich, a plotka głosiła, że Church miał nawet romans z Awashonks, sachemką Sakonnetów (choć jest zapewne równie wiarygodna jak ta, którą rozpuścił Smith o swoim związku z Pocahontas). Na koniec wiedzę o dzikich wykorzystuje przeciwko nim, by utorować drogę białym ↦

↦ kolonizatorom. Jak później cała seria bohaterów, którzy już za życia stawali się mitycznymi herosami: Daniel Boone, Davy Crockett, Kit Carson czy Buffalo Bill. „Regresja w imię postępu", by użyć lapidarnej maksymy amerykańskiego historyka Richarda Slotkina.

W rzeczywistości Philbrick nie oszczędza nikogo. Wypomina kolonistom bezmyślne zaatakowanie neutralnych Narragansettów, równie bezsensowne podpalenie ich fortu, bezwzględność oddziałów z Connecticut, które prawie nie brały jeńców, internowanie przyjaznych kolonistom chrześcijańskich Indian na Deer Island czy okrutne egzekucje indiańskich wodzów, kończące się odrąbywaniem głów i ćwiartowaniem ciał.

Philbrick nie zapomina też, że to Church wydał rozkaz poćwiartowania ciała Filipa, ze słowami „niech ni jedna z kości jego nie zostanie pogrzebana". Trudno też nie zauważyć jego poczucia wyższości wobec tubylców, gdy do pojmanych wrogów mówił: „Chodźcie, wyglądacie dziko, ponuro i mamroczecie, ale to nic nie znaczy. Ci moi najlepsi żołnierze niedawno byli równie dzicy i ponurzy jak wy teraz. Gdy spędzicie ze mną jeden dzień, pokochacie mnie jak oni".

Nic nie jest oczywiste

Historia snuta przez Philbricka nie jest jednoznaczna. Nie ma tu w nadmiarze ani mężnych tubylców, ani chciwych Europejczyków wyłudzających indiańską ziemię (Indianie, przynajmniej na początku, sprzedawali ją chętnie, bo mieli jej w bród, drudzy dobrze płacili).

„Prawdziwi siedemnastowieczni Indianie i Anglicy byli zbyt sprytni, zbyt szczodrzy, zbyt chciwi, zbyt odważni – czyli zbyt ludzcy – by ich zachowania odpowiadały tym założeniom" – pisze autor. U Philbricka nie ma drogi na skróty, łatwych diagnoz i jeszcze łatwiejszych oskarżeń formułowanych dziś wobec uczestników wydarzeń sprzed 400 lat. Jest konkret, wielowątkowa narracja i nieustanna zmiana perspektyw. Poznajemy – na tyle, na ile to możliwe – racje poszczególnych sachemów, czasem współpracujących z Anglikami, czasem prowokujących ich do starcia; chrześcijańskich Indian; dostrzegamy różnice w postawach purytańskich kolonistów.

Philbrick między wierszami przekazuje taką oto interpretację początków Ameryki: wcale nie było tak, że od początku byli „biali" i „Indianie" – „my" i „oni", najeźdźcy i obrońcy, kaci i ofiary. Pokanokeci dość chętnie przełamali nieufność i przyjęli Pielgrzymów, Pielgrzymi odpłacili im szacunkiem i wsparciem w konfliktach z innymi grupami indiańskimi. Philbrick pokazuje też, że nie istniało poczucie wspólnoty interesów wśród Indian. W wojnie Filipa po stronie kolonistów opowiedziało się wiele indiańskich grup, tradycyjnie wrogich Pokanoketom, decydujący o klęsce Metacoma był zaś atak Mohawków ze stanu Nowy Jork.

Zerwane przymierze

Otrzymujemy pierwszorzędną opowieść, pieczołowicie odtwarzającą wydarzenia z początków kolonizacji Nowej Anglii, ułatwiającą zrozumienie zarówno Indian (tych, co zdecydowali się zaatakować kolonię, tych, co jej bronili, i tych, którzy zachowali neutralność), jak i Pielgrzymów. Sam długi opis wojny Króla Filipa zaskakuje realizmem: autor mniej uwagi poświęca zasadzkom i spektakularnym bitwom, a więcej wojennej, „nudnej" codzienności. Wojna okazuje się przede wszystkim paleniem domów osadników i szarpaną walką różnych niepowiązanych ze sobą grup tubylczych. Filip głównie unika walki i ucieka, a Pielgrzymi popełniają jeden za drugim strategiczne błędy. Ostatnia część narracji przypomina grecką tragedię. Wojna zamienia się w łowy na zaszczute zwierzę. Filip toczy już tylko beznadziejną walkę o odwleczenie wyroku. Po kolei on i jego najbliżsi współpracownicy zostają wyłapani i straceni. Rodzinę Filipa, razem z tysiącem innych „buntowników", Josiah Winslow wysyła niewolniczymi statkami na Karaiby.

Na koniec Church wraca ze swoimi żołnierzami do Plymouth. Wierni właśnie odbyli Dziękczynienie. Church niesie głowę Filipa, którą mieszkańcy zatykają na palisadzie fortu. Będzie tam tkwić przez kolejne 20 lat.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

Nathaniel Philbrick **MAYFLOWER. OPOWIEŚĆ O POCZĄTKACH AMERYKI,** *przeł. Jan Szkudliński, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2018*

Wiersze pierwsze

MONIKA OCHĘDOWSKA

Literatura dziecięca zdominowała polski rynek książki – to dla najmłodszych wydano w zeszłym roku rekordowo dużo tytułów.

Pamiętacie? Psom zdarza się smucić z tego powodu, że nie wolno im wejść do ogrodu. Co gorsza, szczególnie jesienią, jak na złość woda nie chce być sucha, a dokuczliwie brzęcząca mucha potrafi wlecieć do ucha. Psie smuteczki od kilkudziesięciu lat nieprzerwanie zamieszkują brzeg błękitnej rzeczki.

OD POŁOWY 2019 R. ZAJMĄ TAKŻE CAŁKIEM POKAŹNY METRAŻ na oddziałach położniczych, w całym kraju zostanie tam bowiem rozdanych 360 tys. książek z wierszami dla dzieci. Wśród autorów dedykowanego maluchom zbioru „Pierwsze wiersze dla...", przygotowanego przez Instytut Książki przy wsparciu MKiDN w ramach kampanii „Mała książka – wielki człowiek", znaleźli się m.in. Wanda Chotomska, Julian Tuwim, Danuta Wawiłow i Jan Brzechwa, autor „Psich smutków".

Doskonale znani i zapamiętani także dzięki popularnej serii „Poczytaj mi, mamo", na której wychowało się pokolenie odbierające właśnie czytelnicze wyprawki dla swoich pociech. W latach 80., kiedy seria Naszej Księgarni cieszyła się największą popularnością, poszczególne książeczki cyklu publikowane były w nakładach sięgających nawet 500 tys. egzemplarzy. Dziś – obok ministerialnej czy-

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".**
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY INSTYTUTU KSIĄŻKI

tanki – do pobicia tego rekordu przymierza się gang Słodziaków Renaty Piątkowskiej. Sprzedawana w jednej z sieci handlowych książka „Co się stanie na leśnej polanie..." w ciągu zaledwie miesiąca rozeszła się w liczbie 350 tys. sztuk – prawie połowa w zamian za zbierane podczas zakupów naklejki.

Popularne narzędzie marketingowe „zbieraj i wymień na nagrodę" wykorzystuje też Instytut Książki, który poza wierszykami dla maluchów przygotował także wyprawki dla odwiedzających po raz pierwszy bibliotekę trzylatków. Za każdą wizytę zakończoną wypożyczeniem książki mały czytelnik otrzyma naklejkę, a po zebraniu dziesięciu – dyplom. Pomysłodawcy akcji za wzór stawiają sobie kampanie brytyjskiej fundacji BookTrust, która często posługuje się, skutecznym w przypadku dzieci i wykorzystywanym m.in. przez niemiecki system oświaty, elementem oczekiwania i nagrody. W ramach akcji „Letterbox Club" mali Irlandczycy i Szkoci przez pół roku otrzymują pocztą kolorowe paczki pełne nie tylko książek, ale matematycznych łamigłówek czy przyborów szkolnych. Dzięki BookTrust wiele dzieci po raz pierwszy w życiu dostało nie tylko zaadresowaną do siebie przesyłkę, ale w ogóle własną książkę.

Literatura dziecięca zdominowała polski rynek książki – to dla najmłodszych wydano w zeszłym roku rekordowo dużo tytułów. Podczas gdy beletrystyka stanowiła 29 proc. wszystkich pozycji wydawniczych w 2017 r., aż 26 proc. tego kawałka tortu to literatura dla czytelników poniżej 13. roku życia (dane Biblioteki Narodowej). Książki dla dzieci stają się naszym towarem eksportowym – nagradzane na międzynarodowych targach i konkursach, jak słynne „Mapy" Aleksandry i Daniela Mizielińskich, które kilka lat temu znalazły się w szóstce najpiękniejszych graficznych książek dziecięcych „New York Timesa" – są dostępne we wszystkich większych księgarniach świata.

WIERSZE KLASYKÓW SĄ WYDAWANE RZADZIEJ NIŻ PROZA, ALE CHĘTNIE KUPOWANE. Ważne miejsce w ofercie wydawniczej kierowanej do dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym zajmują także książeczki o zwierzętach, co tłumaczy popularność przygód słodkiego gangu Piątkowskiej. I choć można zarzucić autorce, że głównym utrapieniem „żeńskiej" części stworzonych przez nią przyjaciół z leśnej polany są matrymonialne perypetie (Mysz zamartwia się zagubieniem zaręczynowego pierścionka, a locha Władysława dywaguje, co na siebie włożyć podczas ślubnej ceremonii), wszędobylska mucha Honorata gubiąca w locie prążkowane rajtuzy z pewnością zjedna sobie względy małych i dużych czytelników, o kolejny smuteczek przyprawiając jedynie nostalgiczne czworonogi. ©℗

WARTO ZOBACZYĆ W TV [11 – 19 X]

1. Pozostając w cieniu

Dokumentalny, reż. Don Hardy Jr., USA/ /Austria/Niemcy/ /Holandia 2015, Canal+ Discovery, 11 X, 18.00, 13 X, 21.10

Amerykański zespół The Residents to jedno z najbardziej tajemniczych zjawisk muzycznej sceny. Od ponad 40 lat grają eksperymentalnego rocka, nagrywają awangardowe teledyski, ale tożsamość członków grupy pozostaje nieznana. Film przypomina jej historię i towarzyszy w jubileuszowej trasie koncertowej.

2. Czarna Pantera

Science fiction, reż. Ryan Coogler, USA 2018, HBO, 14 X, 20.10, 15 X, 14.25, 17 X, 20.10, 18 X, 12.40

Reżyser tego filmu przeszedł ciekawą drogę: od kina niezależnego do kasowej superprodukcji, lecz w każdym swoim filmie pozostawał wierny problemom afroamerykańskiej mniejszości. Tym razem z komiksu o superbohaterze stworzył widowisko, w którym „czarna duma" staje się integralną częścią kultury popularnej.

3. Ostatni w Aleppo

Dokumentalny, reż. Feras Fayyad, Steen Johannessen, Syria/ /Dania 2017, TVP1, 16 X, 1.05

Barbarzyńską porą pokazany zostanie jeden z najbardziej poruszających dokumentów ostatnich lat. Opowiada o grupie wolontariuszy, którzy na przekór wszystkiemu nie opuścili ogarniętego wojną miasta. Ryzykując własne życie i los swoich bliskich, aktywiści Białych Hełmów wyciągają spod gruzów syryjskie ofiary bombardowań.

4. „Dzicy" – ludzkie zoo

Dokumentalny, reż. Bruno Victor-Pujebet, Pascal Blanchard, Francja 2017, ARTE po polsku, dostępny do 28 XI

Do II wojny światowej tego rodzaju miejsca stanowiły w Europie, ale także w USA i Japonii, masową atrakcję. Film pokazuje, w jaki sposób publiczne prezentacje „ludzkich eksponatów" karmiły się rasistowską ideologią, a zarazem usprawiedliwiały politykę kolonialną.

Nagroda Conrada – nominacje 2018

JUŻ PO RAZ CZWARTY ogłaszamy nominowanych do Nagrody Conrada – wyjątkowego wyróżnienia literackiego, bo wspierającego pisarki i pisarzy po debiucie. Do tegorocznego finału zakwalifikowanych zostało pięć książek, które ukazały się w 2017 r. Laureatkę bądź laureata, podobnie jak w poprzednich edycjach, wyłonią już nie jurorzy (którzy odpowiadają za wskazanie pięciu nominowanych), lecz sami czytelnicy. Już teraz można oddawać głosy przez stronę internetową Festiwalu Conrada. Kto zwycięży, dowiemy się ostatniego dnia tegorocznej jego edycji (28 października) podczas uroczystej gali.

NAGRODA CONRADA jest brakującym ogniwem na mapie polskich wyróżnień, gdyż wspiera młodych twórców, którzy jeszcze nie weszli do szerokiego obiegu literackiego. Co roku w Polsce ukazuje się kilkadziesiąt debiutów literackich. Taka liczba jest przytłaczająca nawet dla osób profesjonalnie związanych z rynkiem książki. Los debiutantek i debiutantów jest bardzo trudny, a prawdziwym wyzwaniem jest druga książka. Nagroda Conrada ma za zadanie ułatwić jej laureatom pracę nad kolejnym dziełem.

PATRONEM NAGRODY jest Joseph Conrad, jeden z najwybitniejszych pisarzy nowoczesnych, który rozpoczął swą międzynarodową karierę literacką po wyjeździe z Krakowa. Dla odmiany wyróżnieni twórcy przyjadą do Krakowa, a laureat nagrody będzie mógł skorzystać z programu rezydencyjnego Instytutu Książki, by w mieście Conrada pracować nad kolejnymi projektami literackimi. Sama nagroda wynosi 30 tysięcy złotych i została ufundowana przez Miasto Kraków, które od 2013 r. nosi tytuł Miasta Literatury UNESCO. Partnerami nagrody są Instytut Książki, Fundacja Tygodnika Powszechnego oraz Krakowskie Biuro Festiwalowe.

GRAŻYNA MAKARA

GRZEGORZ BOGDAŁ (ur. 1984) jest pisarzem i korektorem w „Tygodniku Powszechnym". Publikował opowiadania w „Chimerze", „Twórczości" i „Piśmie", jest autorem scenariuszy do filmów krótkometrażowych. Mieszka w Krakowie. „Floryda" była nominowana do Nagrody Literackiej Gdynia, Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza oraz Górnośląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz".

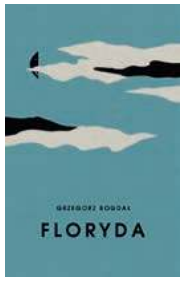

Na „Florydę" składa się pięć niezwykłych, zupełnie różnych od siebie monologów. Łączy je nietuzinkowość samych opowiadających, którzy swoje, zdawałoby się, zwykłe egzystencje potrafią przekuć w obezwładniające nas żelaznym uściskiem historie. Ustami swoich narratorów Bogdał za każdym razem kreuje przed nami misternie zaplecione, ale też niepokojąco dziwne światy, po których przechadzka nigdy nie jest bezkarna.

KAPITUŁA NAGRODY:

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI (przewodniczący), URSZULA CHWALBA, INGA IWASIÓW, GRZEGORZ JANKOWICZ, ZOFIA KRÓL, MICHAŁ NOGAŚ, KRZYSZTOF KOEHLER, JOANNA SZULBORSKA-ŁUKASIEWICZ (sekretarz)

LESZEK ZYCH

MARTYNA BUNDA
(ur. 1975) jest pisarką i dziennikarką. Ukończyła politykę społeczną na Uniwersytecie Warszawskim. Związana z tygodnikiem „Polityka". Urodzona i wychowana na Kaszubach. Za „Nieczułość" otrzymała Gryfię, Ogólnopolską Nagrodę Literacką dla Autorki, jak również nominację do Nagrody Literackiej Nike oraz do Nagrody Literackiej Gdynia. Dwukrotnie nominowana do nagrody Grand Press za teksty reporterskie.

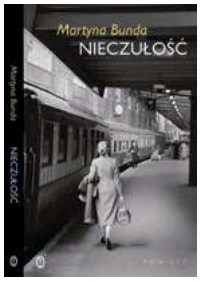

Powieść Bundy to rozpisana na cztery kobiece głosy saga opisująca życie trzech pokoleń kaszubskiej rodziny. Od lat 30. aż po późny PRL śledzimy losy Rozalii i jej trzech córek, a wielka historia miesza się nieustannie z tą mniejszą, bardziej intymną. Jednak książka ta jest przede wszystkim zapisem nierównej walki z rzeczywistością dotkniętą brakiem czułości, a przez to skąpaną w mroku melancholii.

KARINA SZYMCZUK

WERONIKA GOGOLA
(ur. 1988) jest pisarką i tłumaczką. Dorastała w Olszynach na Podkarpaciu, o których pisze w swojej debiutanckiej książce. Skończyła ukrainoznawstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tłumaczy ze słowackiego i ukraińskiego (m.in. powieści Maroša Krajňaka i Jána Púčeka). „Po trochu" znalazło się w dwudziestce książek nominowanych do Nagrody Nike.

Książka Gogoli to niezwykła wyprawa. Autorka zabiera nas do rodzinnej wsi z czasów swojego dzieciństwa i z każdym kolejnym krokiem odsłania przed nami nowe fragmenty tamtej rzeczywistości. Zbiór prozatorski „Po trochu" to przefiltrowane przez pamięć opowieści o ekscentrycznych ciociach i wujkach, niełatwym dorastaniu na wsi w czasach transformacji, a także o wszechobecnej, ale przez to dobrze oswojonej śmierci.

KARINA SZYMCZUK

ADAM ROBIŃSKI
(ur. 1982) jest dziennikarzem. Związany m.in. z „Rzeczpospolitą" i „National Geographic Polska", stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego". Finalista Nagrody im. Barbary N. Łopieńskiej za najlepszy wywiad prasowy. „Hajstry" zdobyły Nagrodę Magellana w kategorii Książka reportażowa, a także zostały nominowane do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy i Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza.

W czasach powszechnej i łatwo dostępnej turystyki zapomnieliśmy o wymagającej, ale jakże wdzięcznej sztuce krajoznawstwa. W swojej książce Robiński przemierza Polskę wzdłuż i wszerz. Omija utarte szlaki, próbując za to wydeptać własne ścieżki: wędruje przez polską Saharę, płynie największą z dzikich rzek, a godzinę jazdy od Warszawy odnajduje Arktykę. W ten sposób udaje mu się (a nam razem z nim) zobaczyć więcej i lepiej.

MONIKA SOŁTYS

MAT. PRASOWE X 5

PAWEŁ SOŁTYS
(ur. 1978) jest wokalistą, pisarzem, dziennikarzem muzycznym, autorem tekstów piosenek i kompozytorem. W świecie muzycznym znany jako Pablopavo. Wydał kilkanaście płyt, zagrał około tysiąca koncertów. Za „Mikrotyki" otrzymał Nagrodę Literacką im. Marka Nowakowskiego, Nagrodę Literacką Gdynia, znalazł się także w finale Nagrody Literackiej Nike oraz otrzymał nominacje m.in do Paszportów „Polityki".

Tytułowe „Mikrotyki" to krótkie utwory prozatorskie – czasem anegdota, czasem obrazek z życia miasta, kiedy indziej pełna, wielowątkowa opowieść skondensowana do kilku stron. W swoim tomie Sołtys opowiada podwórkowe ballady i historie z bocznych ulic Warszawy. Czasem można znaleźć w nich miłość, częściej melancholię, ale zawsze pojawia się w nich napięcie, które trudno nazwać i jeszcze trudniej zapomnieć.

TP

JUŻ ZA TYDZIEŃ, W ŚRODĘ 17 PAŹDZIERNIKA, ZNAJDĄ PAŃSTWO OSTATNI TEGOROCZNY DODATEK POŚWIĘCONY

Festiwalowi Conrada

a w nim: esej Macieja Gduli o polskich elitach, opowieść o mapach Magdaleny Barbaruk, a także portrety kolejnych festiwalowych gości: Elisabeth Åsbrink, Yanick Lahens i Kristiny Sabaliauskaitė. Zapraszamy do lektury i na Festiwal. Zaczynamy 22 października w Krakowie!

JAN

Klata:
Midas mimo woli

Banksy, Banksy, Banksy. Jak go nie kochać? Intelekt, talent, poczucie humoru.

Wywrotowy, ironiczny, niezwyciężony, nienagannie bezkarny, od lat oddający się igrcom na krawędzi, ku uciesze milionów entuzjastów myślenia w poprzek. Poszukiwany żywy lub martwy, postrach wszystkich dozorców tego świata.

Nieokiełznana inwencja i śmiałość, połączona z wrażliwością na paradoksalność zła, przemocy i głupoty na świecie. Wszystko to na wyciągnięcie ręki, czyli rzut okiem. Uliczny geniusz.

Człowiek (a może grupa ludzi?), który przebiegunował świat sztuki, wyśmiał snobizm, napiętnował chciwość, przenicował hierarchie, osiągając przy tym równie nieprawdopodobną, co surrealną popularność i rozpoznawalność. Jak na człowieka (a może grupę ludzi), którego oblicza nikt nie widział – całkiem nieźle.

Nieprzenikniony, enigmatyczny, amorficzny, nieuchwytny, nieprzekupny, niezwyciężony. Bezkompromisowy, bezwzględny, bezlitosny, bezczelny, brawurowy. Przenikliwie przekłuwający nadęte balony, przerażająco przeszywający, do cna nadwrażliwego jestestwa.

Na nice przewracający hierarchie, podający w wątpliwość wszystkie świętości, wyśmiewający tyranię pieniądza oraz tzw. rynek.

W zeszłym tygodniu Banksy postanowił zadać ostateczny cios na aukcji Sotheby's w Londynie. Po wylicytowaniu „Dziewczynki z balonikiem" za 1,04 mln funtów, szczęśliwy nabywca oraz cały świat ujrzeli, jak obraz popełnia samobójstwo, tnąc się na strzępy. Genialne, prawda? Kapitalne, boki zrywać, ale ich wkręcił. System rozmontowany, nokaut po prostu... Gdyby nie fakt, że po zniszczeniu wartość obrazu skoczyła do ok. 2 mln funtów.

Podobno niektórzy usłyszeli, jak tuż przed przepuszczeniem przez niszczarkę ukrytą w ramach obrazu Dziewczynka z Balonikiem wyszeptała: „Jam częścią tej siły, która wiecznie dobra pragnąc wiecznie robi kasę". ©

Lektor:
Hillary jako Medea

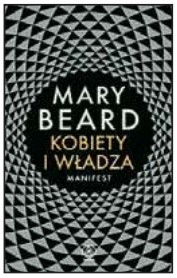

▪ *Mary Beard*
KOBIETY I WŁADZA. MANIFEST
Przełożyła Ewa Hornowska.
Dom Wydawniczy Rebis,
Poznań 2018, ss. 134.

Zaczyna się od Homera, gdy w „Odysei" młody Telemach ucisza Penelopę, która ośmieliła się zabrać głos w obecności tłumu zalotników: „Matko moja (...) Słowo do mężów należy". Mary Beard – uczona z Cambridge, badaczka i popularyzatorka historii starożytnej, autorka świetnej, wydanej i u nas „Historii starożytnego Rzymu", a przy tym barwna postać brytyjskiego życia publicznego – ten właśnie fragment uczyniła punktem wyjścia pierwszego z dwóch wykładów, w których tropi greckie i rzymskie korzenie współczesnej mizoginii. Pokazuje kształtowanie się żywych do dziś wzorców i struktur kulturowych, wykluczających głos kobiecy z przestrzeni publicznej bądź bagatelizujących jego znaczenie, a także chroniących patriarchalny porządek.

Owszem, „dramat ateński w szczególności, a grecka wyobraźnia w ogóle wyposażają naszą wyobraźnię w całą serię obrazów niezapomnianych kobiet". Tyle że nie są one wzorcami do naśladowania: „przedstawia się je jako uzurpatorki, a nie pełnoprawne władczynie. Przejmują władzę w sposób nieuprawniony, prowadzący do chaosu, nadwątlenia państwa, do śmierci i zniszczenia. Są potwornymi hybrydami, które w ogóle nie zaliczają się do kobiet w greckim rozumieniu". Straszliwym uosobieniem tej ideologii jest Klitajmestra w „Agamemnonie" Ajschylosa. Amazonki, wzięte współcześnie na sztandary przez ruch feministyczny, też są – tłumaczy autorka – mitem męskim i przestrogą przed kobiecym zagrożeniem dla cywilizowanego świata. Rozdział – realny, kulturowy i symboliczny – między kobietami a władzą pojawił się dawno i nie było w historii Zachodu epoki, w której by nie występował – pisze Beard. A pewien szczególnie drastyczny symbol kwestionowania rządów kobiet jest i dziś używany: to... obcięta głowa Meduzy. Otoczona wężowymi splotami krzycząca twarz ze sławnego obrazu Caravaggia zastępowana bywa twarzą Angeli Merkel czy Hillary Clinton. W pewnym zaś memie internetowym z czasów ostatniej kampanii prezydenckiej w USA przerobiono renesansową rzeźbę Benvenuta Celliniego: „scena, w której Perseusz-Trump wymachuje głową Meduzy-Clinton, z której kapie i sączy się krew, stała się elementem oswojonego amerykańskiego uniwersum dekoracji", trafiła na T-shirty i kubki do kawy. Brrr... Bardzo to pouczająca książeczka i mam nadzieję, że Mary Beard rozwinie w przyszłości temat. ©℗

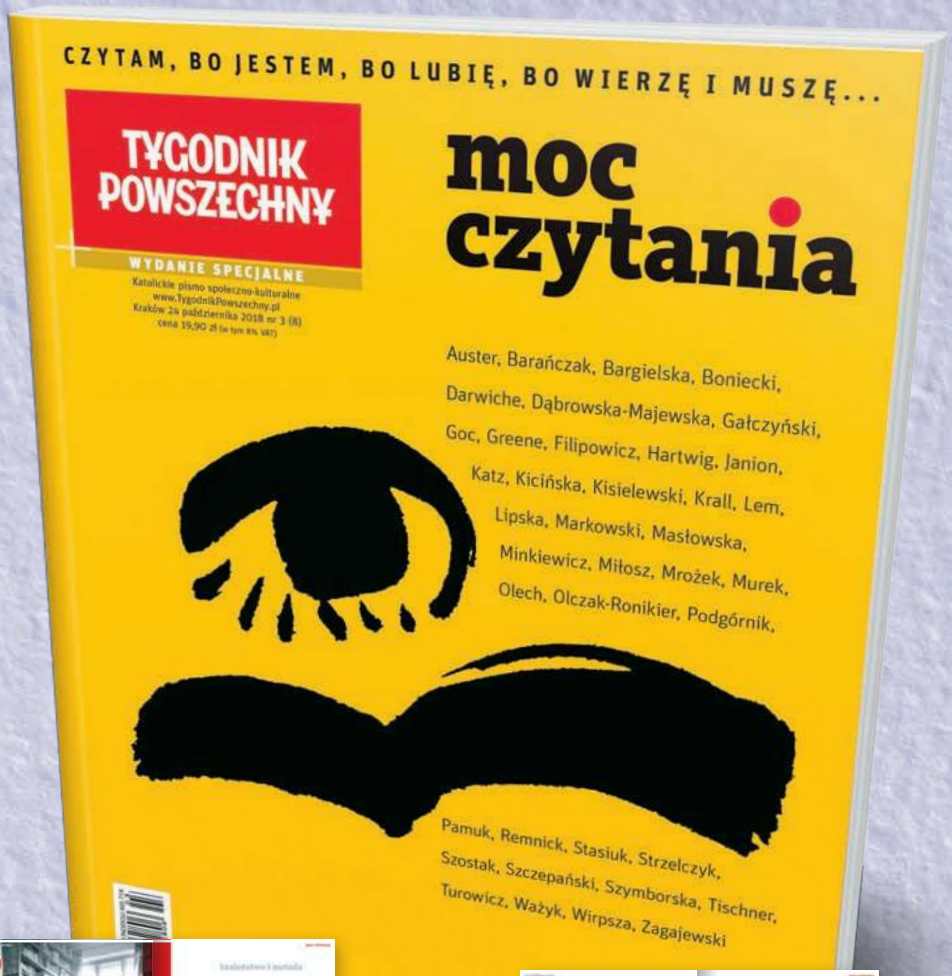

Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Masłowska, Miłosz, Mrożek, Murek, Olech, Olczak-Ronikier, Pamuk, Stasiuk, Szostak, Szczepański, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów? Weź, czytaj!

„Moc czytania" dostępna już od 24 października w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą

10 LAT TYGODNIK POWSZECHNY zawsze razem CONRAD FESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

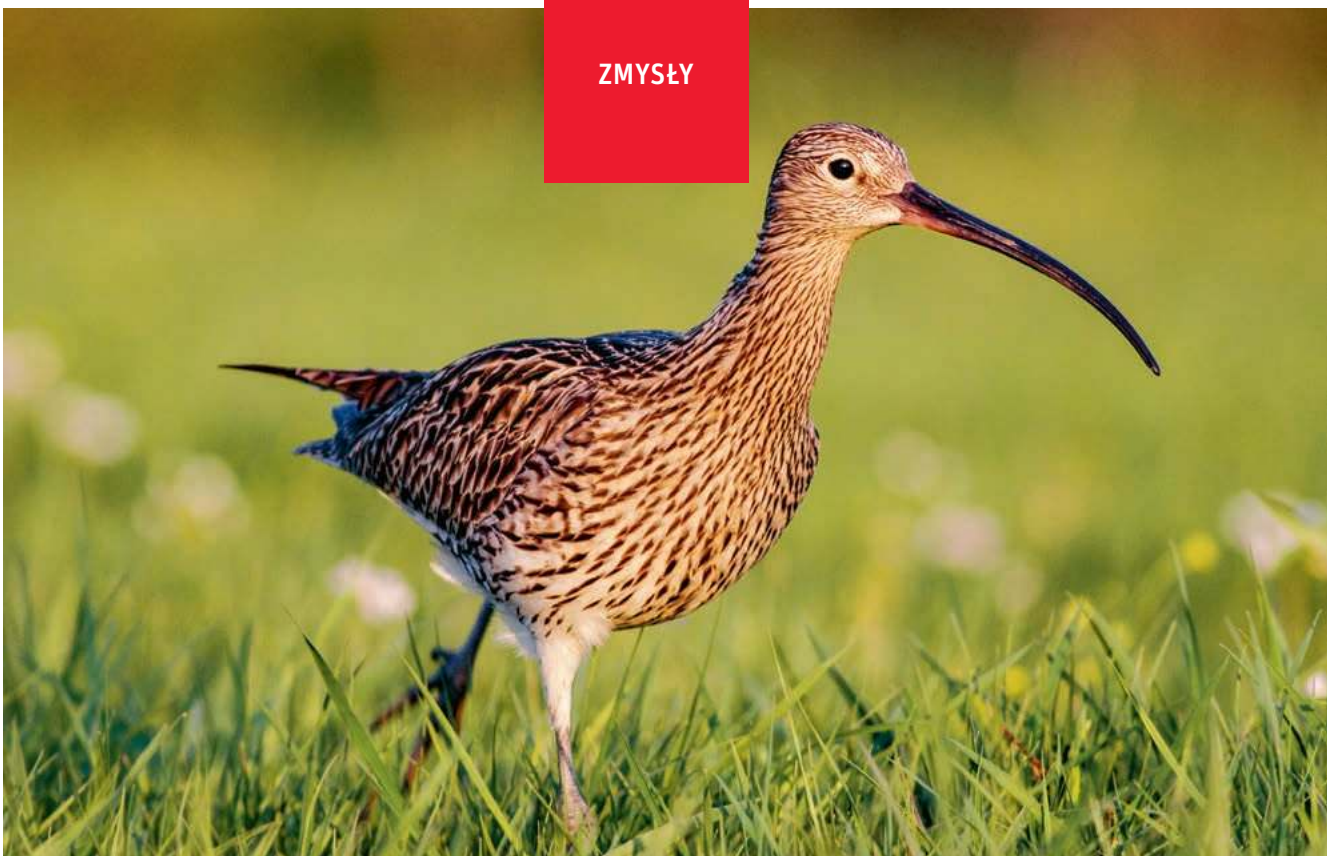

KRZYSZTOF NAWROCKI / MAT. PRASOWE

Kulik i wyimaginowana wspólnota

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Najwięcej ptaków zabija się w sytej Unii, gdzie podstawowe potrzeby obywateli są zaspokojone. Absolutny rekordzista to Włochy, gdzie co roku ginie średnio pięć i pół miliona ptaków.

Ostatnio widziałem je na początku kwietnia. W jasnym, ale lekko już przymglonym świetle średniego popołudnia. Od rana byłem na nogach, to był czas, żeby wreszcie wyciągnąć się na wygrzanej, lekko falującej trawie. Powoli zaczynał się przypływ. Słońce miałem z prawej, już trochę za plecami. Idealnie oświetlało całe stado. Kuliki odpoczywały. Niektóre spały ze swoim wielkim, absurdalnie długim, zagiętym dziobem schowanym pod skrzydłem. Przesuwałem oko lunety po pulchnych wrzecionowatych sylwetkach, studiowałem brązowe wzory na grzbiecie. Ochrowy ton piersi zdawał się w tym świetle prawie pomarańczowy. Ptaki stały blisko siebie, bez ruchu, bez dźwięku. Widziałem tylko, jak przymknięta powieka podnosi się czasem czujnie do góry.

Tu, w zatoczce Mookbaai na holenderskiej wyspie Texel są bezpieczne. Podziwiamy je z szacunkiem. Kto wie, może jest wśród nich kulik, który wykluł się na podmokłej łące gdzieś w dolinie Noteci czy Omulwi? W tej małej zatoczce odpoczywa więcej ptaków, niż liczy cała kurcząca się dramatycznie polska populacja gatunku. W naszym kraju zostało ledwie 250 par, o połowę mniej niż jeszcze kilkanaście lat temu. Ptaki, na które patrzę, nabierają jeszcze sił. Potem wędrówka na lęgowiska.

KULIK JEST WYBREDNY, NIE ZADOWOLI SIĘ BYLE CZYM, najchętniej zakłada rodzinę na nadrzecznych łąkach, koszonych ekstensywnie, nie za rzadko, nie za często. Jeszcze kilkanaście lat temu nawet nie trzeba było kosić, trawę zgryzały krowy, dziś najczęściej uwięzione w oborach. Kiedy kulik już znajdzie swoją łąkę, przychodzi pora miłości. Z prostego nawoływania „ku-lik, ku-lik" przechodzi w wibrujące, raz to zwalniające, raz przyśpieszające fletowe trele. Jan Sokołowski w „Ptakach ziem polskich" komplementował, że „miękkością, głębią i pełnią tonu kulik wielki wybija się ponad wszystkie inne gatunki, nie wyłączając ptaków śpiewających". Samiec popisuje się lotem tokowym i goni wybrankę, błyskając białym spodem skrzydeł. Potem, jak to w życiu, szukanie miejsca na gniazdo, małego dołka gdzieś na środku łąki.

Na tym etapie, w dziewięciu polskich ostojach gatunku zjawiają się ornitolodzy działający w ramach Krajowego Planu Ochrony Kulika Wielkiego. Program finansowany jest głównie z funduszy unijnych. Znalezienie gniazd na czas to pierwsze, wcale nie najtrudniejsze zadanie. Teraz trzeba dogadać się z właścicielem terenu, by nie zwałował albo nie skosił łąki zbyt wcześnie. Prace agrotechniczne to jedno z głównych zagrożeń dla ku-

lików. Poza tym wiele lęgów pada łupem lisów, dlatego gniazda otacza się elektrycznym płotem. To wszystko jednak nie wystarczy, mimo tych środków zaradczych straty są duże. Ornitolodzy podbierają więc wysiadującym kulikom jaja i wkładają je do inkubatora.

Na miejsce jaj do gniazd trafiają drewniane, pomalowane na oliwkową zieleń, nakrapiane atrapy. Tuż przed kluciem kolejna podmiana, tak by pisklęta wykluły się już na wolności. Ta ostatnia prosta wcale nie jest łatwa, ale dorosłe kuliki bronią młodych z wielkim poświęceniem. Nie przepuszczą krukowi, drapieżnemu błotniakowi czy pasącej się obok krowie. Ale młody kulik nauczy się latać dopiero po sześciu tygodniach, a przecież lisy nie próżnują.To wcale nie koniec.

KIEDY MŁODE PODROSNĄ, TRZEBA JE SCHWYTAĆ i zaobrączkować. To niełatwe, jeszcze nie latają, ale są za to mistrzami kamuflażu, ostrzeżone przez rodziców zastygają bez ruchu i zlewają się z łąkową roślinnością. Dorosły kulik próbuje też odpędzać ornitologów. Niektóre młode oprócz obrączki dostają specjalne plecaczki z nadajnikiem GPS. Dzięki niemu lepiej poznamy ich zwyczaje migracyjne, będziemy mogli chronić ich ulubione miejsca odpoczynku i żerowania. Wiemy na przykład, że dwa młode ptaki znad Biebrzy żerują właśnie po dwóch stronach kanału La Manche. Jeden we Francji, drugi w Anglii. Ale ich sytuacja różni się diametralnie.

Na Wyspach Brytyjskich wymierzą w kulika najwyżej lunetę, ale Francja to jedyne państwo Wspólnoty, w którym polowania na te ptaki są dozwolone. Tylko w latach 2013-14 na jej północnym wybrzeżu myśliwi zastrzelili 7 tys. kulików wielkich. To nie szacunki, domysły ekologów, tylko oficjalne dane Biura ds. Łowiectwa i Przyrody. W zeszłym roku do Polski dotarła informacja o zabiciu dwóch zaobrączkowanych w naszym kraju, odchowanych z wielkim trudem kulików. Francja to także jedyny kraj wspólnoty, w którym można legalnie chwytać ptaki w pułapki. Unia zabrania stosowania takich nieselektywnych metod łowieckich, bo pułapka przecież zupełnie nie wie, czy łapie gatunek łowny, czy chroniony.

OD LAT FRANCUSKIE WŁADZE POZOSTAJĄ GŁUCHE na apele organizacji przyrodniczych i unijnych urzędników. Lobby myśliwskie jest potężne, to niemal 1,5 mln obywateli. Pewnie dlatego we Francji wciąż można polować na 67 gatunków ptaków. Wiele z nich jest poważnie zagrożonych i ich liczebność spada dramatycznie. Francuzi strzelają do turkawki. Jej populacja w ciągu ostatnich 30 lat zmniejszyła się o 80 proc. Polują też na czajki, których w ciągu dekady zrobiło się mniej o 70 proc. Zabijają krwawodzioby, które w krajach Unii są narażone na wyginięcie. Wszystko w majestacie krajowego prawa. Czy to jakaś czarna dziura, odosobniony, patologiczny przypadek?

Światło na tę ponurą rzeczywistość rzuca obszerny raport zespołu Anne-Laure Brochet zrealizowany dla BirdLife International. Szacuje się, że w objętych monitoringiem 26 krajach regionu śródziemnomorskiego, obejmującego Europę Zachodnią i Południową, Bliski Wschód i kraje Afryki Północnej, ginie co roku około 25 mln ptaków. Ogromna ilość, ale prawdziwie szokująca informacja brzmi: przeszło 40 proc. zabija się w krajach Unii Europejskiej. To znaczy, że najwięcej ptaków ginie nie w biednych, pogrążonych w kryzysach humanitarnych państwach. Nie w krajach, których władze mają na głowie pilniejsze problemy niż ochrona przyrody, a większość mieszkańców codziennie walczy o przetrwanie. Najwięcej ptaków zabija się w sytej Unii, w której nikt raczej nie cierpi z głodu, działają, lepiej czy gorzej, instytucje państwowe, a podstawowe potrzeby obywateli są zaspokojone. Polowania w krajach Wspólnoty to raczej rodzaj okrutnego, masowego sportu. Bo zabija się nie tylko gęsi czy kaczki, ale mnóstwo drobnicy, niewielkich ptaków wróblowatych. Jeżeli ktoś w Europie je maleńkie piegże, to wyłącznie jako perwersyjny delikates. Absolutnym rekordzistą są tu Włochy, w których co roku ginie średnio 5,5 mln ptaków. Kraje europejskiego południa mają długie i żywotne tradycje myśliwskie, ale i kłusownicze. Trudno czasem odróżnić jedno od drugiego. Na Cyprze na skalę przemysłową łapie się drobne ptaki w nielegalne pułapki klejowe. Wabi się je puszczanymi z głośników głosami pobratymców. Pokrzewki, muchołówki, świstunki wpadają w specjalnie uformowane zarośla pokryte specjalnym, gęstym klejem. Z takich gałązek już nie odlecą.

WPŁYW POLOWAŃ NA ŚRODOWISKO BYŁ NIEDOCENIANY. Uważano, że ważniejsze są inne problemy: przekształcenia ekosystemów, niszczenie siedlisk, chemizacja rolnictwa. Dziś staje się jasne, że istotną przyczyną spadków liczebności wielu gatunków ptaków jest właśnie polowanie. Aktualny status kulika wielkiego na kontynencie europejskim to „narażony na wyginięcie". Ludzkość skutecznie uporała się już z jego dwoma kuzynami. Kulik eskimoski, zabijany tysiącami, jest dziś uznawany za gatunek wymarły, kulika cienkodziobego nie obserwowano od przeszło dekady. Być może istnieje jeszcze gdzieś jakaś śladowa populacja, ale raczej bez szans na ratunek.

Na początku roku szereg polskich organizacji przyrodniczych wystosowało do francuskiego ministerstwa środowiska apel o wycofanie kulika wielkiego z listy ptaków łownych. Sygnatariusze powoływali się na obowiązujący państwa członkowskie artykuł 7. Dyrektywy ptasiej. Mówi on o tym, że polowanie nie może niweczyć wysiłków podejmowanych dla ochrony gatunku na obszarze jego występowania. Dziś Wspólnota płaci za ochronę kulika, której nie potrafi egzekwować we Francji. Apele wysłały również organizacje z innych krajów unijnych. Francuskie ministerstwo środowiska zezwoliło jednak na strzelanie do kulików na wybrzeżu morskim.

Tylko kulik wielki może powiedzieć z pełnym przekonaniem, że Unia to „wyimaginowana wspólnota, z której dla nas niewiele wynika". ©

Korzystałem z artykułu prof. Ursa N. Glutz von Blotzheima „Nielegalne polowanie na ptaki w Unii Europejskiej: rozbieżność między słowem pisanym a skutecznym działaniem", „Chrońmy Przyrodę Ojczystą" 74 (2)/2018.

Szczegóły dotyczące Krajowego Planu Ochrony Kulika Wielkiego: **www.ochronakulika.pl**

RDC POLSKIE RADIO

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 10 października o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

PAWEŁ

Bravo: *Dobre jedzenie dla wszystkich*

Cztery siedemdziesiąt. Tyle euro i centów wynosi dzienny wsad do kotła dla pacjentów jednego z największych szpitali w Berlinie. Niewiele jak na budżety, do których bywa przyzwyczajony szef „gwiazdkowej" kuchni, gdzie nawet krótkie menu degustacyjne uczyni nas lżejszymi o stówę, a i to pod warunkiem, że do picia poprosimy kranówkę. A jednak Patrick Wodni, jedna z młodych niemieckich gwiazd, zdecydował się karmić pacjentów kliniki Havelhöhe. Nie całkiem bez związku z tym ryzykownym eksperymentem jest fakt, że placówka stosuje w leczeniu zasady antropozofii. Czyli podejście holistyczne i kładące nacisk na człowieka jako skupisko różnych energii, których choroba stanowi zakłócenie, a lekarz nie patrzy tylko na jeden popsuty organ lub proces, lecz docieka źródeł globalnej nierównowagi w człowieku. Niby to rzecz oczywista, ale w scjentystycznym kontekście mentalnym polskiej medycyny nadal pachnie trochę podejrzanie.

Na szczęście nie musiałem dotąd sprawdzać na własnej – niewątpliwie integralnej – osobie skuteczności tego podejścia. Wiem tyle, że inspirowane tą samą myślą Rudolfa Steinera rolnictwo biodynamiczne daje istotnie lepsze i zdrowsze plony, bardziej odporne na choroby i szkodniki, więc niepotrzebujące trucia. Wina z takich upraw są zazwyczaj wybitne. Nie leżałem zatem w Havelhöhe i nie mogłem się przekonać, jak się rzeczy mają w stołówce pana Wodniego, czytałem tylko, że radykalnie zmniejszył liczbę mięsnych posiłków – z dwóch dziennie do trzech tygodniowo – przez co lud szpitalny nieco szemrał. Poza tym jego nowe rządy wyglądają raczej banalnie: zamiast rozcinać worki z mrożonkami i półproduktami kucharze zajmują się obróbką surowych warzyw i produktów mącznych od zera. Może to bardziej pracochłonne i wymagające uwagi, ale pozwala ludziom w fartuchach utożsamić się z pracą.

Lud więc szemrał, ale się pogodził. Czy dlatego, że lżejszy o ileś kotletów pacjent czuje przypływ kreatywnej energii, jak życzą sobie steinerowscy uzdrowiciele? Wątpię, ale faktem jest, że za obecnymi przemianami diet stoi pedagogika w duchu dbania o własny organizm jako całość. „Chodzi o to, żeby w codziennym odżywianiu ludzie nauczyli się działać we własnym interesie; musimy stworzyć struktury, w których znajdzie się znów miejsce na dbałość o własny interes. Musimy przestać traktować odżywianie jako tylko czynnik generujący koszty, lecz coś, co kształtuje nasze życie w pozytywny sposób" – mówił Wodni w wywiadzie dla gazetki berlińskiego festiwalu pod hasłem „Dobre jedzenie dla wszystkich", którym współkierował i dzięki któremu mogłem go poznać.

Mania uważnego czytania wszystkiego jak leci, nawet ulotek reklamowych i festiwalowych gazetek, bywa sowicie wynagradzana. Otóż w tej pozornie złożonej z frazesów wypowiedzi Wodni wykłada prosto regułę myślenia leżącą u podstaw „zielonych" ruchów nawołujących do przemian w stylu życia i konsumpcji. Ogarnij własny interes. Bądź dobry dla siebie. Apogeum egocentryzmu i skupienia na oderwanym ze wspólnoty „ja". Po to chodzimy na jogę, zajęcia z ekspresji w ruchu, rytuały z szyszkami i medytacje w alpejskiej oborze. Po to szukamy sposobów na odżywianie zgodne z naszym wewnętrznym programem – co może oznaczać wynajdowanie najdzikszej egzotyki i wcinanie pacyficznych wodorostów albo, całkiem odwrotnie, powrót do barszczu na domowym zakwasie z buraków kupionych u chłopa z powiatu.

Wielce sprytna to strategia ocalenia nadwyrężonych wspólnotowych więzi, które w sferze posiłków i tak się jeszcze jako tako bronią (relacje międzypłciowe i rozmnażanie uwolniły się od wspólnotowego balastu – na dobre i na złe). Jeśli chcesz przemówić do białego, sytego mieszczucha, ponegocjować z nim rezygnację z odrobiny wygody i zasobności, wytrącić go z transu, w jaki wprawił go kalkulacyjny zmysł kapitalizmu, to musisz najpierw go otworzyć na swoją perspektywę, stosując kategorie, jakie zna i lubi. Mów mu więc, że to wszystko dla jego niepowtarzalnego, wyjątkowego na skalę kosmiczną dobra. A wtedy przy okazji może zacznie wykonywać gesty realnie wpisujące go na powrót w lokalną sieć zależności.

Na berlińskim festiwalu, kolosalnej orgii spożywczego multikulti, z setkami stoisk z każdego zakątka świata, najbardziej zaskakująco i świeżo wyglądało parenaście straganów owocowo-warzywnych brandenburskich rolników. Dynie, ziemniaki, jabłka i seler. Przy wejściu gromadka stylowo umorusanych dzieci posthipisowskiej elity kreatywnej (to wśród nich jest najniższy odsetek szczepień ochronnych, regularnie generują miniepidemie odry) tarza się w zwałach słomy albo doi z piskiem wielką plastikową krowę. Jej wymiona zrobiono ze specjalnej gumy, więc przypominają istotnie te prawdziwe, wcale nie jest łatwo je opanować. A że leci z nich woda? No cóż, jeszcze nie są gotowi na całkiem naturalną naturę. ©℗

Późnojesiennego króla dodatków, czyli selera z jabłkiem i majonezem, zwanego sałatką waldorfską – ale nie na cześć szkół stosujących tak samo nazwaną metodę, tylko nowojorskiego hotelu Waldorf-Astoria – można urozmaicić kiszoną wersją warzywa. Pokrojony w zapałkę seler układamy bardzo ściśle w słoju, przesypując ziarnami gorczycy albo – czego spróbowałem w Berlinie i było pyszne – tymiankiem. Zalewamy dwu-trzyprocentową solanką, dociskamy ciężarem (ja stosuję np. napełnioną wodą butelkę po winie), odstawiamy najpierw w dość ciepłe miejsce na dwa dni, potem w chłodniejsze, po kilku dniach powinno być gotowe. Do sałatki oprócz majonezu, wiórków jabłka i pestek granatu dla dekoracji można dodać wyciśnięty ząbek czosnku marynowanego w miodzie (obrane ząbki trzymamy w płynnym miodzie kilkanaście tygodni, aż zbrązowieją).

ISTOCK / GETTY IMAGES

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

STANISŁAW

Mancewicz: *O męskości*

Wydaje się, że wreszcie nastała pełna zgoda w sprawie znormalizowania polskiej specyfiki konwersacyjnej. Prawica ze sporym opóźnieniem, głośnym oświadczeniem Gospodarza, przyjęła ostatecznie, że normą każdej polskiej rozmowy, elementem podstawowym spotkań, też tych na najwyższym szczeblu, jest nieustanne przeklinanie. Nazywa on to męską rozmową, choćby także toczyła się ona w obecności i przy żywym udziale kobiet. Porozmawiamy sobie zatem dziś standardowo, po męsku, o rozmawianiu bądź przemawianiu.

Z początku warto zaznaczyć, że poziom rozmowy nie zależy od częstotliwości przekleństw, zależy rzecz jasna od argumentacji i zawartości informacji. Teoretycznie. Wysłuchanie opublikowanej ostatnio rozmowy obecnego prezesa Rady Ministrów pokazało, że zaiste argumentów i informacji ten człowiek ma maluśko i rzeczywiście jej najatrakcyjniejszym elementem było przeklinanie. Wydaje się, że z prywatnej – było nie było – pogaduchy wysokich urzędasów kraju tego można by zaczerpnąć jakieś ciekawe fakty, dowiedzieć się czegoś niedostępnego człowiekowi szaremu, zagubionemu w śmietniku informacyjnym. Oto jednak nic, dosłownie nic z tego, o czym tak zażarcie debatowano w tej pechowej knajpie, nie było dla nas zaskakujące, nowe, nie do wyklikania w byle jakim portalu czy do przeczytania w dowolnie żenującej gazecie. Wziąwszy też wszelkie planowane i realizowane protekcje do posad, co jest przecież powszechną i nikogo niedziwiącą normą. Mamy zatem do czynienia z tzw. opozycją: na nagraniu, wtedy jeszcze niepremier Polski, bredzi na dowolny temat, co nas jednak dziecięco zadziwia, przeklinając przy tym jak furman, co nas po męsku nie dziwi. Tu musimy wcisnąć wtręt, że mianowicie największą atrakcją tego zdarzenia jest jednak Ryszard Czarnecki, który nie biorąc udziału w rozmowie i nie będąc w tej restauracji, dał się nagrać. Nazwać by to wypadało zdobyciem pucharu świata oldbojów. Sumując – wszystkie nagrania polskich polityków, jakie dotychczas kiedykolwiek udostępniono, nasuwają wniosek generalny: nagrywanie ich jest marnowaniem czasu, wysiłku technologicznego, energii elektrycznej i pieniędzy. Sami podobnie bredzimy, mamy podobne pomysły, a w przeklinaniu – mówiąc nieskromnie – jesteśmy nawet lepsi. Znacznie lepsi.

Zważywszy na brak treściwości przemyśleń naszego premiera, uznaliśmy, że podobnie jak Gospodarz, który odniósł się z takim entuzjazmem do męskości swego pupila, mamy wolną rękę w ocenianiu, ale też w projektowaniu mowy idealnej.

Oto wyobraźmy sobie stuprocentowo męskie orędzie premiera, dajmy na to na temat gospodarki, które składałoby się z samych przekleństw, gdzie także spójniki byłyby samymi wulgaryzmami. Przy jędrności i elastyczności naszego języka jest to osiągalne, zwłaszcza dla człowieka trenującego polszczyznę na licznych ringach RP, a zwłaszcza na bańce w knajpie. Pojmowalność i siła takiego przekazu wzrosłyby nieprawdopodobnie, oczywiście wyłącznie na wewnętrznym rynku politycznym, bo tylko ów się liczy. Umiłowane masy, jak kraj długi i szeroki, przywierałyby do radioodbiorników, jak nie przymierzając przywry. Oczekiwano by na mowę premiera z niecierpliwością, graniczącą z histerią, kraj by stanął, w czasie takiej mowy nikt by nie orał, nie siał ani nie żął. Uwielbienie przekroczyłoby wszelkie znane nam uwielbienia, w tym do disco polo.

Zaletą takiego zabiegu byłaby całkowita niemal niepojmowalność na arenie międzynarodowej. Premier mógłby w swym ojczystym języku przemawiać bez szkody dla polityki, stanu gospodarki i wizerunku Polski, gdzie by tylko go zaniosło. A to w Knesecie, a to w ONZ albo i w Parlamencie Europejskim. Tłumaczenie przemówienia na języki obce byłoby niesłychanie trudne, zatrudniano by do tego, bez sukcesu oczywiście, tysiące polskich kryminalistów, czekających w straszliwej nudzie na ekstradycje do Polski, co będzie już niebawem niemożliwe z racji nieuznawania polskiego wymiaru sprawiedliwości za cywilizowany. Wszystko to wydaje się pomysłem niemożliwym, jednak zachęta Gospodarza do bycia męskim stawia sprawę w innym świetle. To jest realne. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

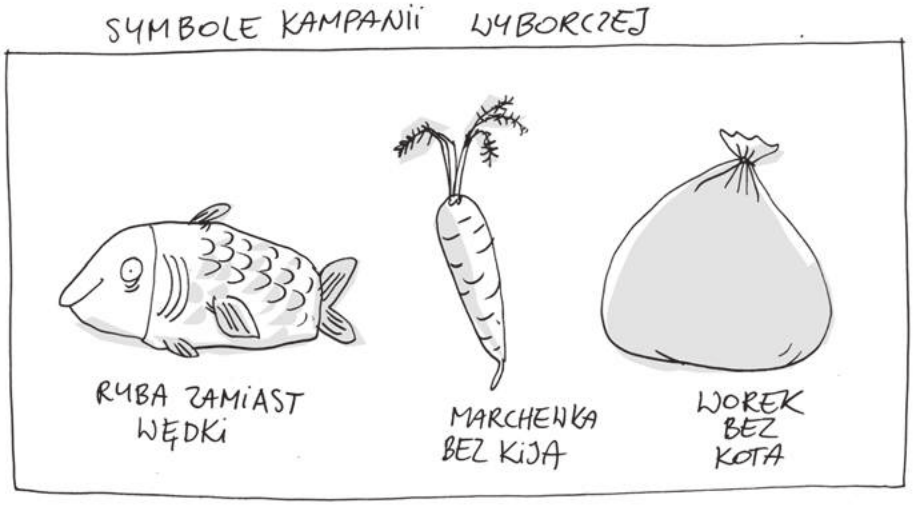

REKLAMA

PREMIERA
PAŹDZIERNIK
2018

PIERWSZA KSIĄŻKA

O KULISACH POLSKIEJ DYPLOMACJI

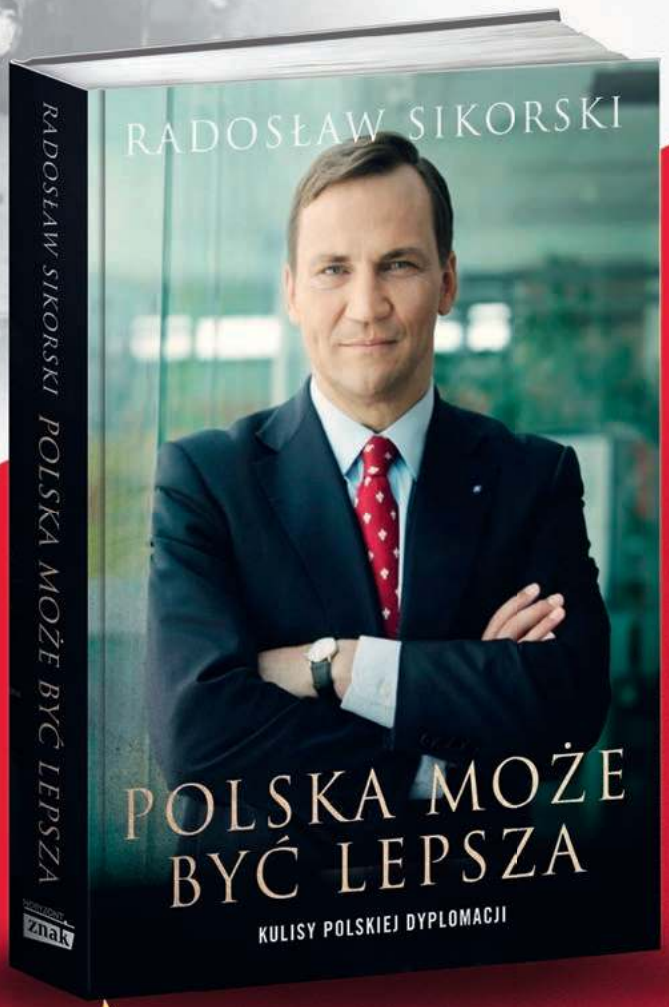

REKLAMA

DZIKOŚĆ JEST W KAŻDYM Z NAS

NOWY JEEP® RENEGADE. BORN TO BE WILD.

Teraz w leasingu 4×4 za 444 zł netto miesięcznie*.

* Usługa leasingu jest skierowana wyłącznie do przedsiębiorców.

Rata netto na poziomie 444 zł została skalkulowana w ofercie Leasing 4×4 dla następujących parametrów: samochód Jeep® Renegade Longitude GSE T3 Turbo 120 KM M6 w cenie 81 300 zł z VAT; okres leasingu: 48 miesięcy; czynsz inicjalny: 40%; 47 rat netto: 443,94 zł; wykup: 35%. Podane warunki obowiązują przy skorzystaniu z ubezpieczenia GAP oferowanego przez FCA Leasing Polska Sp. z o.o. Wykup gwarantowany przez wybranych dealerów sieci FCA Poland S.A. Usługa leasingu skierowana jest wyłącznie do przedsiębiorców. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Przyznanie leasingu uzależnione jest od pozytywnej oceny zdolności finansowej potencjalnego leasingobiorcy. Szczegóły dotyczące oferty leasingowej i ubezpieczeniowej w salonach grupy FCA oraz na www.fcaleasing.pl. Jeep® jest zastrzeżonym znakiem handlowym firmy FCA US LLC. Jeep® Renegade – emisja CO_2 od 127 do 173 g/km, zużycie paliwa od 4,8 do 6,6 l/100 km (w cyklu mieszanym, specyfikacja B). Informacje o odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji na stronie http://jeep.mopar.eu/jeep/pl/pl/recykling.

FCA LEASING Polska

Jeep®
THERE'S ONLY ONE